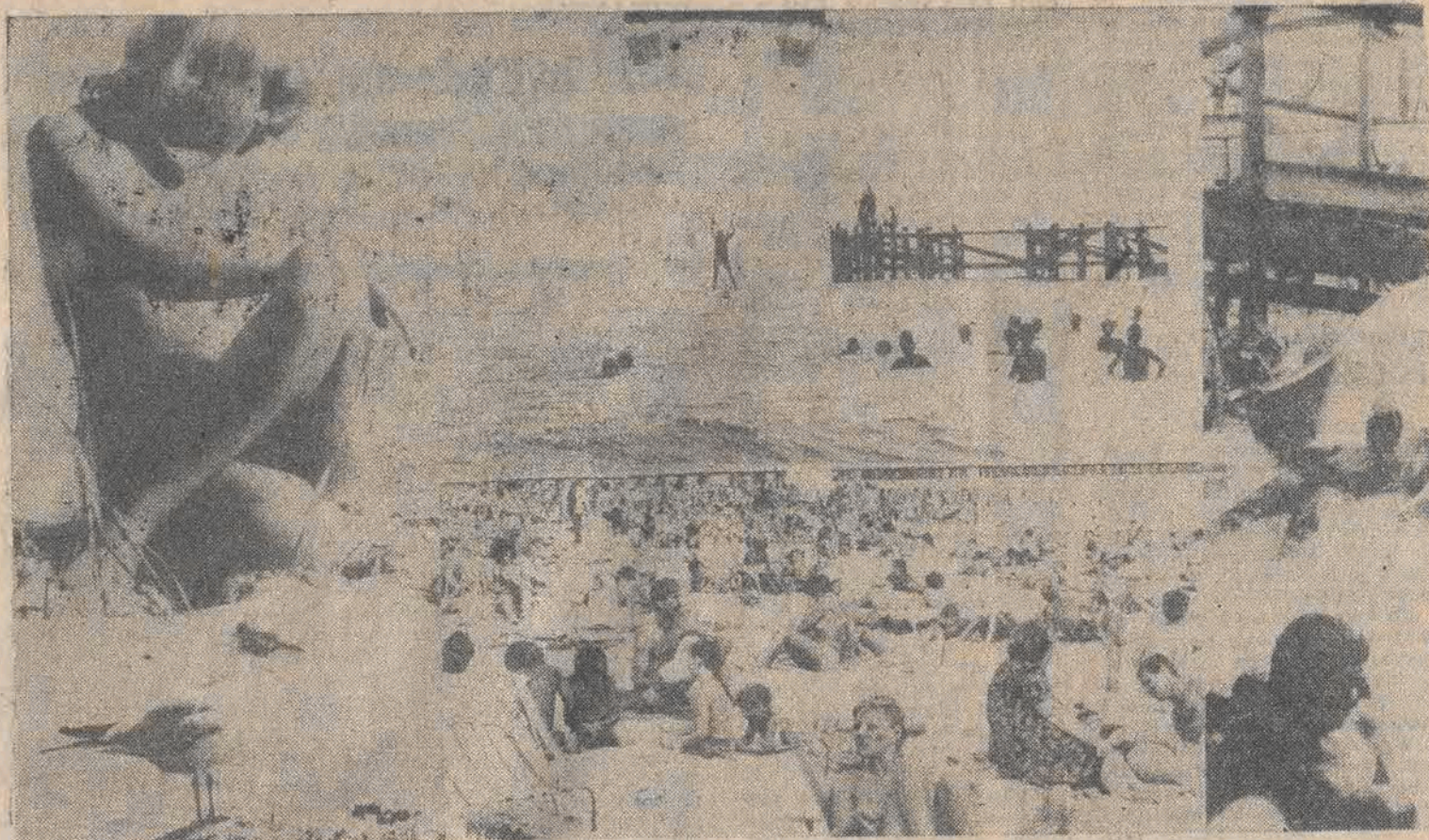




Lato '88 na Środkowym Wybrzeżu

Kiedy człowiek jest na luzie

MAREK BŁASZKOWSKI

W Rowach padało.
— To są przelotne deszcze —
tłumaczył wczoraj —
mniejszy przeleci, większy przy-
leci.

Mijam bramę jednego z łódz-
kich ośrodków wczasowych.
Na tablicy wymalowana po-
kraczka kobieta w kostiumie
kąpielowym i napis „Życzymy
miłego pobytu w Rowach”.
Kierownik ośrodka patrzy w
niebo.

— Będzie deszcz — mówi. —

A, dziennikarz? To nie wolno
mi rozmawiać. Dyrektor zabro-
nił.

W świetlicy idzie film wi-
deo. Starcie Tytana. Sala wy-
pełniona. W Rowach są i pry-
watne kina wideo. Erotyki,
filmy karate. No i oczywiście
można się do woli
zachwycać supermeż-
czyzną — Schwarze-
negerem. Wygląda na
to, że wideo to je-
dyna rozrywka.

5

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

- Czy wszystkim chodzi o to samo? — str. 3
- Jan Duch opuszcza Rzym — str. 11
- Niebezpieczne igraszki erotyczne — str. 6
- Koniec łódzkiej dintojry — str. 10

Łódź Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 35 (1587)

ROK XXXI

27 SIERPANIA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

Jarocin '88

Ten festiwal zdycha...

ZBIGNIEW KRASINKIEWICZ

1.

Jarocin przylął blisko 12 tysięcy widzów z całego kraju, pragnących odczekać niepowtarzalną atmosferę jarocińskiego festiwalu. W ciągu 4 dni zagrało blisko 90 zespołów. Po raz pierwszy wystąpili zespoły zagraniczne — z Czechosłowacji, Związku Radzieckiego i Holandii. Przez wszystkie dni poczynaniom muzyków na dwóch scenach przyglądali się wysłannicy gazet nie tylko polskich.

2.

— Zabij puma — kurwę, skuna! — skanduje grupa około 20 skłków maszerująca całą szerokością ulicy w kierunku rynku. Kilku punków błyskawicznie znika w najbliższych bramach.

— Zabij skina — skurwysyna! — dwóch wyrośniętych, odzianych w skóry, punków podbiega do zataczającego się skinheada. Twarz i ostrzyżona do gołej skóry głowa zabarwiają się po chwili na czerwono. To początek zadymy.

Za chwilę dwie duże grupy obrzucają się obelgami, kamieniami, butelkami. Gdy nadjechała niebieska „Nysa”, błyskająca kogutem, wtopili się w tłum. Tak było pierwszego dnia przez kilka godzin. Później panował spokój.

— Te brudasy nie zasługują na życie — mówi się o punkach. — Szerzą syf i lenistwo.

— To cymbały — mówi Michał o skinach. — „Wynalazki”, jak woda brzoza czy autowidol wykarzy im mózgi. Pieprzą bez sensu o ideologii. Faszyzm, świat dla białych. To wszystko gówno, chodzi tylko o agresję. Psują całą imprezę, szukają tylko zadymy. A my chcemy posłuchać muzyki i tańczyć pogo.

Do Jarocina zjechali przedstawiciele wszystkich kontestujących grup. Niektórzy z nich demonstrują niedzielną nonkonformizm. Po opuszczeniu rodzinnego gniazda przywdziewają stosowny uniform, modyfikują fryzurę. Oportunizm? Ukłon w kierunku jarocińskiego rytuału czy realizacja skrywanych tęsknot?

— Farbowani normalni — tak o nich mówią rastanami, punki, hippisi. Skłków to nie interesuje.

Wśród „strojów organizacyjnych” od 2–3 lat pojawiają się w Jarocinie pomarańczowe szaty — znak, że przybyli wyznawcy Kriszny. Wyróżniają się poza kołorem strojów słodką i delikatnością wymowy, a także ogolonymi głowami.

„Krisznownicy” nierzadko okazują swoją obojętność dla trywialnego biegu doczesnych spraw — potrafią na przykład usiąść w środku tłumy, przymknąć oczy i słowami, rodem z sanskrytu, śpiewać mantry oraz chwalić doskonałość bóstw odległych czasowo, kulturowo i prze-



Rys. Maja Berezowska.

Prosto z Gdyni. Prywatny teatr to nie stragan z warzywami, ale kto to pojmie?

Teatr na golasa

MAREK KOPROWSKI

„Nie chcą mnie obsadzać?! — pomyślała ze złością Hanna Bitner-Szymańska — „Więc ja sama siebie obsadzę. I to we własnym teatrze!”

Od lipca 1988 roku, gdy światła na widowni zgasną, pani Hanna wychodzi przed kurtynę i wita gości w swoim teatrze „Meluzyna”, pierwszej w Polsce prywatnej scenie zawodowej. Stojąca obok asystentka w czerni od szyi do stóp, zdmuchuje z dłoni confetti na pierwsze rzędy, odwraca się i... widownia zamiera. W wyciętym w sukni okienku w kształcie serca, w rytm drobnych kroczków porusza się wdzięcznie... golutki tyłek!

Teraz zaczyna się właściwy spektakl: wariacje na temat Boccaccia, pt. „Seksameron”. Panie: Hanna Bitner-Szymańska i Teresa Halina Lub napisały wszystko od początku, w dodatku wierszem. Zachowany został właściwie tylko pomysł oryginału, cała reszta jest zmieniona.

Otóż, czterech szlachciców, młodych, przystojnych (jeden starszy) ucieka przed zarazą do siedziby najstarszego, żeby tam przečkać czas pomoru. Okazało się, że w pałacu są młode, urocze szlachcianki, przywiezione przez kuzynkę właściciela w tym samym celu. Postanawiają uprzyjemnić sobie czas pobytu opowiadaniem różnych historyjek, w których najczęściej występuje stary niedojda mąż, młoda ponętna żonka, no i ten trzeci. Są rodzice oszukiwani przez córkę i jej kochanka, jest imitacja chutliwego anioła, zbłądzeni mnich i wiele innych atrakcji. W każdym razie są to historyjki soczyste erotyczne. Żeby było atrakcyjniej, opowiadający postanowili opowiadać inscenizować, z własnym udziałem w rolach głównych.

Jak więc przeżył się widać, spektakl ocieka seksem. Ale, od razu trzeba powiedzieć, nie daje się zwieść różnym pokusom „przegięcia pały” (excusez le mot), czy przekroczenia cienkiej linii odgradzającej rubasność od pornografii. Dobry smak jest zachowany nawet wtedy, gdy dziewczęta wdzięcznie śpiewają o tym, jak to tirlil tirlil, panna pięknie gra na flecie, co odnosi się do sytuacji scenicznej (niewidocznej, bo za parawanem). Jest to zasługa reżysera spektaklu, Marceliego Kochańczyka. Mnóstwo nagości na scenie, zarówno męskiej i żeńskiej, frywolne, bardzo odważne niekiedy teksty — i wszystko utrzymane w ryzach. Nagość nie jest po to w tej sztuce, by tylko epatować widza, jest, bo tak wynika z akcji, bo być musi. Nielatwo zachować umiar, gdy można korzystać ze wszystkiego. A to udało się i reżyserowi i aktorom.

Nie tak, jakby chciał sepieniący i lekko zaśliniony jegomość, który w przerwie mówił do bileterki:

— Byłem na premie i pysedłem dzisiaj. Dlaczego nie pokazują psodów? Powinny pokazywać psody.

Tego gościa nie interesuje sam spektakl. Jego interesują „psoddy”. A swoją drogą, o jakie przody mu jeszcze chodzi, gdy biustów — i to pięknych, nagich biustów — jest dość na scenie od początku do końca widowiska?

Domyślam się, że nie był to łatwy spektakl dla wykonawców, ze względu na przełamywanie pewnych barier obyczajowych. Jeśli tak rzeczywiście było, nikt z aktorów nie dał tego po sobie poznać. Bawili się grając, a kilka epizodów wykonano wręcz bravurowo. W ogóle całe przedstawienie zagrane jest z dużą kulturą, swobodą i poczuciem humoru. Należy wymienić wszystkich bohaterów „Seksamerona”, bo zgodnie na to zasługują. A więc panie: Hanna Bitner-Szymańska, Urszula Kowalska, Hanna Miskiewicz, Violetta Zalewska i Jolanta Zarzycka-Saar — i panowie: Dariusz Darewicz, Zbigniew Jankowski, Janusz Marzec i Wojciech Namliotko. Wszyscy są aktorami Teatru Dramatycznego

6

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,
fotoreporter 36-80-99,

publicysta: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,

Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy

Kwieciński, Bogda Madej,
Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,
Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałęsiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Białecki,

Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gądoński,

Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasył

Kocznowo (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,

Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy
Panaszewski, Karol J.

Strzyński, Maciej Swierkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerw-
nej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rekwizytów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewódz-
kich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — insty-
tucje i zakłady pracy zloka-
lizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch”, opłacają
prenumeratę w urzędach pocztowych
i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamieszka-
łe nie w miejscowościach,
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach pocztowych
i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzędach
pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumeratora.
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki
za granicę przyjmuje RSW
„Prasa-Książka-Ruch” Centrala
Kolportażu Prasy i Wydawnictw,
ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa,
konto PKO BP XV Oddział w
Warszawie 1658-201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę
począta zwykła jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenu-
meraty na kraj i za granicę —
od dnia 10. listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1. każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenu-
meraty roku bieżącego.

Zam. 2654. S-10.

Przegląd prasy

Polska jest w zasadzie pań-
stwem jednonarodowym. Wśród
37,9 mln obywateli Polacy stanowią
98,5 proc., a mniejszości
narodowe zaledwie 1,5 proc.
ogółu ludności. Najnowsze dane
obrazujące strukturę etniczną
naszego społeczeństwa podaje
w miesięczniku „MAGAZYN
RODZINNY” (nr 172) Ryszard
Błasiewicz.

„Z informacji uzyskanych w
Departamencie Społeczno-Ad-
ministracyjnym MSW wynika,
że obecnie w całej Polsce, a
głównie w województwach pół-
nocnych i zachodnich, żyje o-
koło 200 tys. Ukraińców (350—
450 tys. według Ukraińskiego
Towarzystwa Społeczno-Kultu-
ralnego, 350 tys. według szacu-
nków radzieckich i 180—500
tys. według różnych źródeł za-
chodnich). Białorusinów za-
mieszkuje przede wszystkim w
województwie białostockim 180
tys. (350—450 tys. według Biał-
oruskiego Towarzystwa Społecz-
no-Kulturalnego w Polsce,
200—250 tys. według szacu-
nków radzieckich, 180—300 tys.
według źródeł zachodnich). Lit-
winów pozostało przede wszyst-
kim na Suwalszczyźnie 7,5—8
tys. (6—7 tys. według źródeł
radzieckich, 6—8 tys. według
źródeł zachodnich). Żydów, któ-
rych w kraju przeżyło II woj-
nę światową około 30—40 tys.
(z ZSRR powróciło około 130
tys.), po dwóch emigracjach: w
latach pięćdziesiątych i po
1968 r. jest obecnie około 15—20
tys. Towarzystwo Społeczno-
Kulturalne Żydów w Polsce
liczy 2100 członków, 3,5 tys.
Kongregacja Wyznania Mojże-
szewskiego. Żyje w naszym kra-
ju blisko 30 tys. Czechów i
Słowaków (Spisz i Orawa), 4,5
tys. Greków, 2,5 tys. Niemców,
istnieją także niewielkie sku-
piska spolonizowanych Tatarów
Ormian i Karaimów. Na koniec
nie można zapomnieć o 25 ty-
siących Cyganów, którzy w ur-
zędowych spisach nie są trak-
towani jako odrębna nardo-
wość”.

JAK BYŁO DAWNIEJ?

W 1930 roku szacowano, że
wśród 32 mln mieszkańców
Polski żyje 10 mln 672 tys.
przedstawicieli mniejszości na-
rodowych. Poszczególne grupy
liczyły: Ukraińcy — 5150 tys.,
Żydzi — 3200 tys., Białorusini
— 1500 tys., Niemcy — 650 tys.,
Litwini — 100 tys., Rosjanie —
100 tys., Czesi i Słowacy — 27
tys. osób. Później mieliśmy
trochę Tatarów, Ormian i in-
nych.

Po wojnie, na początku 1946
roku spis ludności wykazał, że
na ogólną liczbę blisko 24 mln
mieszkańców Polski było około
20,5 mln Polaków, 2228 tys.
Niemców i 399 tys. przedsta-
wicieli innych grup etnicznych.
Wobec 417 tys. osób prowadzo-
no postępowanie weryfikacyjne
bądź rehabilitacyjne.

Na podstawie układu poczd-
amskiego wysiedlono głównie z
Ziem Odzyskanych 2,3 mln
Niemców. W wyniku porozu-
mienia między rządem polskim
i radzieckim do końca 1946 roku
wyjechało do ZSRR około
520 tys. osób, a przyjechało do
Polski około 1,5 mln osób.

„W Polsce powojennej ogólny
bilans polityki narodowościowej,
mimo momentów tragicznych,
jak np. akcja „Wisła”, można
uznać za pomyślny. Przede
wszystkim dziś do przeszłości
już należą poważne konflikty
narodowościowe”.

W społeczeństwie polskim
współistnieją ludzie należący
do różnych narodów, różnych
kościół i wyznań, mający
różne poglądy. Pluralizm
ten wymaga tolerancji, która
pojmowana jest rozmaicie. Pro-
fesor nadzwyczajny Maciej
Giertych (genetyk i fizjolog
drzew leśnych), członek Rady
Przemyślowskiej i członek Rady
Konsultacyjnej przy Przewod-
niczącym Rady Państwa, pi-
se w miesięczniku „RYCERZ
NIEPOKALANEJ” (nr 7—8) o
tolerancji religijnej:

„Tolerancja religijna nie mo-
że oznaczać równości między
wyznaniami — a taki model
tolerancji nam się lansuje.
Prawdziwa religia jest tylko
jedna, katolicka. Wszystkie in-
ne, w najlepszym razie, dążą
do prawdy; bywa jednak, że
odchodzą, jak w pewnych sek-
tach chrześcijańskich, których
nauka coraz bardziej oddala się
od Drogi Prawdy i Życia — od
Chrystusa”.

Kościół rzymskokatolicki w
naszym kraju przygotowuje się
do obchodów 10 rocznicy wy-
boru Karola Wołtyły na papie-
żę (16 października), 70 roczni-
cy odzyskania przez Polskę nie-
podległości i do II Ogólnopoi-
skiego Synodu Plenarnego. Po-
nadto trwa jeszcze (przedłużo-
ny do 8 grudnia) Rok Maryj-
ny. Z tych okazji wystosowano
do wiernych list p. „Świadomi
zagrożeń”, który opublikował
„PRZEGŁĄD KATOLICKI” (nr
33—34).

LIST EPISKOPATU POLSKI

Na wstępie kardynałowie, ar-
cybiskupi i biskupi polscy
stwierdzają, że wielką nadzieję
napawa fakt, iż wśród części
społeczeństwa dokonuje się po-
głębienie życia religijnego. Wie-
lu ludzi odnajduje w Kościele
swoją podmiotowość. Powstają
nowe wspólnoty.

„Wśród znacznej części na-
szej młodzieży daje się zauwa-
żyć wysoki poziom zaangażo-
wania ideowego. Wyraża się to
w gotowości do wyrzeczeń i
poświęceń, w poczuciu solidarn-
ości społecznej, w bezinteres-
ownej trosce o sprawy Kościoła
i Ojczyzny. Uderza równie-
ż masowy udział młodzieży
w ruchu pielgrzymkowym i w
różnorodnych formach dusz-
pasterstwa.”

Coraz wyraźniej ujawnia się
powiązanie Kościoła z szeroki-
mi rzeszami społeczeństwa, a
zwłaszcza z robotnikami zatrud-
nionymi w wielkich ośrodkach
przemysłowych, z ludnością
mieszkającą na wsi oraz z krę-
gami inteligencji twórczej.
Wzrasta również autorytet mo-
ralny Kościoła. Został on u-
znany przez wielu za obrońcę
godności i praw człowieka.

Pogłębia się poczucie integral-
nej więzi między religią kato-
licką a polską kulturą nardo-
wą. Wielu dostrzega, że po-
przez religię katolicką wyraża
się polską tożsamość narodową,
a Kościół stoi na straży także
suwerenności narodowej. Wyra-
żem pogłębienia życia religij-
nego i dowartościowania roli
Kościoła jest zmienny wzrost
ilości powołań kapłańskich”.

Co obecnie niepokoi zwierz-
chników Kościoła rzymskokato-
lickiego? Przede wszystkim na-
rastająca postawa konsumpcyj-
na. Wśród części społeczeń-
stwa wartości materialne są
ważniejsze niż religia, wolność,
sprawiedliwość i wierność
własnemu sumieniu.

Zagrożoną sferą jest miłość
oraz małżeństwo i rodzina.
Wzrasta liczba rozwodów i
dzieci pozabawionych domu ro-
dzicielskiego.

„Postawa konsumpcyjna sie-
je duże zniszczenie w dziedzi-
nie etyki pracy. W odczuciu
dość szerokiej kręgi społecz-
nych praca przestaje być rozu-
miana jako środek wiodący
także do realizacji własnej oso-
bowości. Zaczera się również
zawarty w niej wymiar służby
Narodowi.”

Dalszym przejawem postawy
konsumpcyjnej jest zanikanie,
charakterystyczne dla kultu-
ry polskiej, troski o wspólne
dobro narodu. Wyraża się to
w zmniejszonym zainteresowaniu
historią, literaturą i sztuką na-
rodową. Wielu patrzy obojęt-
nie na takie zjawiska, jak
kleska ekologiczna, zaniedba-
nia w służbie zdrowia i edu-
kacji narodowej oraz na istnie-
jące wciąż przejawy krzywdy
społecznej. Szczególnie bolesną
sprawą jest masowa emigracja
młodej inteligencji.

Wreszcie, wśród najbardziej
rzuciących się w oczy prze-
jawów istniejącego w Polsce
kryzysu moralnego trzeba wy-
mienić alkoholizm, narkomanię
i nikotynizm. Są one następ-
stwem głębokiej frustracji o-
sobistej i społecznej”.

Wymienione zjawiska nega-
tywne są groźne dla przyszło-
ści narodu. W tej trudnej sy-
tuacji Episkopat Polski propo-
nuje zawierzenie Maryi i so-
lidarną modlitwę, co powinno
zaowocować czynem.

KIEDYS BYŁO LEPIEJ

Na tegorocznym festiwalu w
Jarocinie można było kupić
bez kartek, bez ograniczeń i bez
żadnej kolejki szynkę, bala-
ron i schab wędzony po 2800
złotych. Ale z całokształtu im-
prezy bywały się przeważnie
niezadowoleni. Wynika to z
wielu tekstów drukowanych na
łamach „GAZETY MŁODYCH”
(nr 65). Student pedagogiki, by-
ły punk, Tomek mówi, że daw-
niej było lepiej. Dlaczego?

„Mogliśmy się bić. Ja byłem
kiedyś punkiem. Bielem się z
nimi — ze skinami, z metalow-
cami. To może było głupie, ale
tu biliśmy sami, słuchaliśmy
swojej muzyki. My to przeży-
waliśmy. A teraz jest ogromny

Mam. Ktoś oszukuje. Ktoś nam
udowadnia, że jesteśmy głupi-
mi ludźmi. Tu nie jest tak, jak
było w '83, '84 kiedy grała
SIEKIERA, PIERŚ. Nie jest
nawet tak, jak w '86, kiedy
grała SEKSOMBRA, kiedy gra-
li ludzie, którzy chcieli nam
coś przekazać. Spójrz, kto tu
przeżył. Zobacz tych
ludzi, księży, którzy chcą nas
nawracać za pomocą złotego
sera. Nie chcą tego sera, nie
chcą chleba z dżemem. Oni też
nie chcą. Ale księża uważają,
że mogą nas tym nawrócić.
Zwalają się homoseksualiści,
katolicy, zwalają się wyznaw-
cy jakiejś Węgi, jacyś pie-
przeni buddysty. Wszyscy na
kupie. To jest wielka hiena,
która chce nas wykorzystać. (...)

Teraz ktoś chce to zniszczyć,
zniszczyć to, że czujemy się tu
na luzie. Spójrz na tych klien-
tów w pomarańczowych kamizel-
kach, powąchaj. Oni pachną
wodą. Mojego koleżę, który
ma 14 lat, ktoś bije za to tyl-
ko, że on ma postawione wło-
sy. Wyobrażasz to sobie? Bo
ten ktoś wypił sobie wodkę i
uważa, że skoro ma pomarań-
czową kamizelkę, to mu wszyst-
ko wolno. (...)

Pogadaj z tymi, którzy ma-
ją 14 lat. Co oni tutaj prze-
żywają, jakie upokorzenia. Pod-
chodzi do nich byle debil w
pomarańczowej kamizelce i le-
gitymuje. Bo on ma bokobrody,
jak Marek, albo jest tysi. Oni
się tu nie czują jak na naszej
 imprezie, ale jak na jakimś ze-
braniu aktywistów. (...)

Był rok '83, kiedy ludzie
przychodzili z postawionymi
piórami. Dostawali ulotki i
na dworcach w Poznaniu. Bili
nas pijacy, którzy mówili, że
są w partii, w Kościele, ale
myśli się czuli sami. Była
wspaniała atmosfera”.

Kto przyjeżdża do Jarocina?
Według pomocnika Romana
Szelęga, socjologa, inspektora
do spraw nieletnich WUSW w
Kaliszu — około 70 proc. sta-
nowi młodzież „normalna”, a
pozostali to punkowie, heavy-
metalowcy, sataniści, skinowie,
hippisi, restafarianie. Mały
margines (około 10 proc.) two-
rzy ci, którzy szukają zaczepki
i pij. Większość pragnie tylko
słuchać muzyki, oderwać się
od codziennego życia, postępo-
wać w myśl własnej ideologii,
żyć bez nakazów i zakazów.
Młodzi w Jarocinie mogą być
sobą i robić co chcą. Dlatego
festiwal jest popularny i ma
przed sobą jeszcze co najmniej
10 lat.

OBawy i szanse

Na podstawie informacji
Głównego Urzędu Statystycz-
nego o sytuacji gospodarczej w
lipcu br. można mieć poważne
obawy co do przyszłości kraju.
Z wyraźnym niepokojem komu-
mentuje uzyskane wyniki An-
dżel Leszczyński w „TRYBU-
NIE LUDU” (nr 190). W partyj-
nym dzienniku ukazał się
też alarmujący artykuł na te-
mat problemu miesnego. W
sklepach wydłużają się kolejki,
ponieważ maleje popyt i
opłacalność produkcji żywności.
Czym to grozi, dobrze wiemy...

Obawy i szanse Polski w
1988 roku przedstawiają w
tygodniku „KULTURA” (nr 33)
Stanisław Kociołek i Zygmunt
Najdowski. Przypominają oni o
szczególnej roli klasy robotni-
czej i partii w naszym ustro-
ju. Piszą między innymi:
„Partia może — naszym zda-
niem — odzyskać kondycję po-
lityczną tylko na pierzyszej li-
nii praktycznej realizacji re-
form. Uzdrawienie nie przy-
dzie za sprawą spychania jej
na pobożę życia społecznego i
gospodarczego”.

Stanisław Kociołek i Zygmunt
Najdowski opowiadają się za
paktem antykrzyzysowym i
koalicją reformatorską, ale
uważają, że postulat ten po-
winien być adresowany w
pierwszym rzędzie do klasy
robotniczej. Autorzy nie mają
recepty na polepszenie sytu-
acji kraju. Podkreślają jednak,
że chodzi o losy Polski i wy-
wają do wyrazistej realizacji
uchwały X Zjazdu oraz tzw.
robotniczego XVI plenum KC
PZPR.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

BARBARA KOSZEWSKA — kierownik sklepu
spożywczego nr 901 w Łodzi, przy ul. Piotrkow-
skiej:

— To był ciężki tydzień. Po zakończeniu remontu torowisk na
Piotrkowskiej i uruchomieniu pobliskiego przystanku tramwajo-
wego, w naszym sklepie od razu zaczął się większy ruch. Odczu-
liśmy to bardzo, gdyż personel pracuje w zmniejszonym skła-
dzie. Nie ma chętnych do pracy w handlu, gdyż jest ona męczą-
cą i mało płatna. W dodatku — urlopy...

Nie dysponujemy też pełnym asortymentem towarów, które po-
winni być w ciągłej sprzedaży. Brakuje złotego sera, maki ziem-
niaczanej, budyniu, kawy, kakao, margaryny... W piątek była
dostawa margaryny — pierwsza od dwóch tygodni. Otrzymałyśmy
120 kilogramów, czyli bardzo mało, bo gdyby było 500, to też za-
stałaby natychmiast sprzedana. Z kolei na przykład pieczywa
nie brakuje, ale to z państwowych piekarni — a bierzemy rów-
nież z prywatnej — nie zawsze charakteryzuje się odpowiednią
jakością. Pogorszyło się zaopatrzenie w pieczywo cukiernicze.

W ogóle z zaopatrzeniem jest coraz gorzej. Nasze zamówienia
nie są w pełni realizowane. Ostatnio na przykład zmniejszono
nam dostawę cukru o 300 kilogramów, a tymczasem w minionym
tygodniu dało się zaobserwować wzmożone wykupywanie właśnie
cukru oraz maki i ryżu.

Największe kolejki ustawiają się w sobotę, ponieważ nasz sklep
jest jednym z nielicznych otwartych w wolne soboty w najbliższej
okolicy, a także wtedy, kiedy jest piwo. Uważam, że albo piwo
powinno być dostępne w każdym sklepie, albo też — tylko w
specjalistycznych. Taka sytuacja, jaka jest obecnie, bardzo utrud-
nia nam pracę. Poza tym, ludzie są coraz bardziej nerwowi, nie-
zadowoleni. My — również i dlatego te kontakty sprzedawczy z
klientami nie zawsze są takie, jakie być powinny.

JAROSŁAW WOŹNIAK — inżynier budowy
budynku dworca Łódź-Kaliska:

— Miniony tydzień był bardzo podobny do poprzednich, czyli
właściwie nie godno uwagi się w nim nie wydarzyło. Na bu-
dowie wszystkie prace postępują zgodnie z harmonogramami.
Skład załogi mamy ustabilizowany i nawet w okresie urlopowym
nie cierpimy w zasadzie na brak rąk do pracy i to mimo że
kilku pracowników jest tak zwanych chłopo-robotnikami. Dosta-
wy materiałów — w normie, a jeśli występują jakieś trudności,
to drobne i krótkotrwałe. Napojów chłodzących nie brakowało.
Na zarobki też na ogół nie można narzekać.

Jeżeli tempo robót nie spadnie, powinniśmy oddać budynek w
stanie surowym zgodnie z planem, czyli w marcu 1992 roku. Nie
wiem tylko, czy łodzianie będą z niego zadowoleni, bo nie jest to
chyba obiekt na miarę potrzeb milionowej prawie miasta.

ELŻBIETA GIERAGA — naczelnik gminy
Ozorków:

— Dla nas najważniejsze były oczywiście żniwa, a właściwie ich
zakończenie, jako że zboża zostały już w zasadzie w całości ze-
brane. Pogoda, na szczęście, dopisała i obyło się bez żadnych trud-
ności, chociaż może wolelibyśmy, żeby jakieś tam trudności wy-
stąpiły, ale za to plony były wyższe. Jeżeli chodzi o skup ziarna,
to przebiega on dobrze. Do soboty skupiliśmy już 1004 tony. Nie
ma kolejek, konfliktów, czym nie wszystkie gminy mogą się prze-
cież pochwalić.

Zaopatrzenie sklepów spożywczych było nie najgorzej, co mogą
stwierdzić z pełną odpowiedzialnością, gdyż osobście to spraw-
dziłam, jeżdżąc po gminie. Brakowało głównie margaryny. Pod-
stawowych artykułów jednak było na ogół pod dostatkiem, także
w Sokolnikach, gdzie odpoczywa — jak sądzę — około
25 tys. urlopowiczów, których trzeba przecież zaopatrzyć w to, co
niezbędne.

pozytywnie oceniam również zaopatrzenie w środki do produk-
cji rolniczej. Nie zmienia to jednak faktu, że rolnicy generalnie
narzekają na nieopłacalność swojej pracy, ponieważ obecna struk-
tura cen nie zapewnia im odpowiednich dochodów. I trzeba liczyć
się na przykład ze spadkiem pogłowia trzody chlewnej, co jest
bardzo niepokojące.

Z innych spraw, jakie absorbowaly mnie w ubiegłym tygodniu,
chciałabym wymienić jeszcze: przygotowania do obchodów 150-le-
cia cukrowni w Leśmierzu — jednej z najstarszych w Polsce,
plany budowy nowego ośrodka zdrowia w Sokolnikach—Parceli,
budowę szkoły w Modlinie oraz przygotowania innych szkół do
rozpoczęcia nowego roku szkolnego. W tym ostatnim przypadku
sytuacja jest dobra i nie ma żadnych przeszkód, aby wszystkie
nasze dzieci rozpoczęły naukę i wreszcie.

Notował: PAWEŁ TOMASZEWSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Jan Duch nie mógł uwierzyć, że ktoś w XX wieku może
mówić o sobie per „książę”. Byłby mniej zaskoczony, gdyby w je-
go obecności jakiś pies powiedział do słuchawki ludzkim głosem:
„hallo, tu mówię pudeł!” — kolejny odcinek najnowszej książki
ANDRZEJA BRYCHTA.

— Województwo słupskie liczy 400 tys. mieszkańców. Najazd
turystów prawie podwaja tę liczbę. To sprawa, że komunikacja i
handel pękają w szwach. Choć prawdę mówiąc najdłuższe kole-
jki, jakie widziałem w nadmorskich miejscowościach, ustawiały
się do sklepów monopolowych — relacja MARKA BŁASZKOW-
SKIEGO.

— Na emientarzu Łyczakowskim we Lwowie co krok napoty-
kam rozpadające się kaplice i grobowce, niektóre najwyraźniej
zniszczone przez hieny emientarne. Ukraińscy przewodnicy mówią,
że to wynik pogłoski, jakoby pod płytkami porcelany ukryto złote
obrazki zmarłych. Najbardziej przykre wrażenie sprawia
Cmentarz Orląt Łwowskich. Tu dokonano się całkowitej uni-
ceścawienia grobów — korespondencja GRZEGORZA MATUSZA-
KA.

— Powiedziała, że chce tylko normalnie żyć, mieć dom, a w
nim dzieci. Niewiele więcej. Nie można przecież w nieskończoność
cierpieć za to, że się kiedyś zblądziło. To nieludzkie — reporta-
ż PAWEŁ TOMASZEWSKIEGO.

— Bał zorganizowane w hotelu „Gdynia”. Miss otrzymała futro
z szynszylki i swoim wdziękiem górowała nad Miss Świata i
Miss Polonia '87, które nie odstąpiły jej ani na krok. Byliśmy
świadkami popisu kulinarnego, a serwowane dania zaskoczyły u-
czestników balu — mówi KRZYSZTOF CWINAR, juror konkur-
su Miss Polonia'88.

— Te wieś zaraz po wyzwoleniu zasiedlali przybysze z różnych
stron. Ludzie zgodni, pracowici, solidarni, nikt na złe stosunki nie
narzekał. Ale nowego sąsiada przyjęli nieprzychylnie — reporta-
ż RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— Należałem do czołówki, to fakt, ale żeby mnie specjalnie wy-
różniano, to nie. Raz byłem lubiany, innym razem tępiący, bo się
narzekałem — mówi MARIAN KONIECZNY, profesor Akademii
Sztuk Pięknych w Krakowie.

Ostatnie dni Włodzimierza Lenina

1.

W sierpniu 1918 r. podczas mityngu w fabryce Michelsona w Moskwie, na Włodzimierza Lenina dokonano zamachu Fania Kaplan. Była terrorystką z partii rewolucyjnej socjalistów. Włodzimierz Lenin ugodył dwie kule. Ciężko to odchorował. Jednak ani na moment nie wypuszczał z rąk państwowych sterów. Osiągnął właśnie to, do czego dążył przez lata. Na gruzach carskiego imperium zaczął się wielki społeczny eksperyment.

Nie nie mogło Włodzimierza Lenina powstrzymać, choć lekarze upominali, że nadmierny wysiłek może go kosztować drogo. Nie odważyli się nawet na operację, by kule z jego ciała powyciągać. Wykluczone, orzekli, organizm musi się wpięć wzmocnić. Obawiano się zakażenia. W Moskwie umierało się wtenczas łatwo.

Lenin wiele przemawiał. Poruszał masy swym oratorskim kunsztem. Tak po prawdzie — to nie ma wielkich idei bez wielkich mówców. Nieprzeciętnym krasomówczym talentem odznaczał się jeszcze Lew Trocki, Grigorij Zinowiew i Lew Kamieniew. W jakiejś mierze także Nikołaj Bucharin. Lew Trocki — jako komisarz do spraw wojskowych — stał niejako na czele Czerwonej Armii. Jego przemówienia uchodziły za szczyt oratorskich umiejętności. Logiczne w treści, błyskotliwe w formie, wprost elektryzowały czerwonoarmistów.

Włodzimierz Lenin nie opuszczał mówniczo omalże do końca swych dni, choć lekarze wyraźnie mu tego zabraniali. Był ciężko chory. Gdy późnym wieczorem udawał się na spoczynek, strażnicy na Kremlu widywali, jak się zataczał i podpierał rękami o ścianę korytarza. Z trudem łapiąc oddech. Nadzieja Krupska twierdziła, że już latem 1918 r. ledwie mógł coś napisać. Z trudem też zasypiał. Był trupi bledy. Miał czarne obwódki pod oczami. Zachowane zdjęcia nie kłamią.

2.

Georges Walter, autor książki

„Lenine”, wydanej przez „Marabout” w 1930 r. ujawnia, że Włodzimierz Lenin cierpiał na nadciśnienie już podczas pobytu w Szwajcarii. Specjaliści zalecali, by nigdy nie sięgał po papierosy, unikał soli i zwierzęcych tłuszczów. Radzono, by zerwał z nerwowym trybem życia. Chorobę traktowano z największą powagą. Wiedzano, że nadciśnienie sprzyja zwapnieniu tętnic.

Włodzimierz Lenin zdawał sobie sprawę ze swych słabości. Nigdy nie dał tego poznać po sobie. Krył się z chorobą, tryskając pozornie energią. W grudniu 1920 r. poczuł się jednak tak osłabiony, że za radą przybocznych lekarzy, udał się po raz pierwszy na dłuższy odpoczynek. W podejmowaniu decyzji zaczął go wyręczać Józef Stalin, wyróżniający się spośród innych działaczy organizatorską żyłką, pracowitością i zdrowym rozsądkiem.

Sytuacja w Rosji stawała się coraz trudniejsza. Brakowało żywności. Dochodziło do chłopskich rozruchów nad Wolgą i na Syberii. Niezadowolone zaczęły okazywać nawet marynarze floty bałtyckiej. Włodzimierz Lenin powrócił do Moskwy. Zadecydował, że nadchodzi czas, by położyć kres „komunistycznej wojnie”. Doli narodu trzeba ulżyć. Obwieścił Nową Ekonomiczną Politykę — NEP. Doszedł też do przekonania — ku zdumieniu wielu jemu współczesnych — że atak na Warszawę był poważnym błędem.

Lew Trocki wyszedł z siebie. Jakże to, triumf jest mimo wszystko bliski, należy nie bacząc na nic, ponieść sztandar rewolucji do Niemiec, bo Niemcy są kluczem do Europy, a Europa to klucz do świata. Wielu śnił się wtedy utopijny świat bez wyzysku, wojen, świat równych szans dla wszystkich, świat bez państwowych granic, w którym ludzie byłoby sobie braćmi.

Wkrótce siły znów odmówiły Włodzimierzowi Leninowi posłuszeństwa. Wyjechał ponownie na kurację.

W liście do Władysława Motłowa 15 grudnia 1921 r. zaznaczył:

„Muszę przedłużyć tutaj mój

pobyt jeszcze o dwa tygodnie. Zgadają tego lekarze”.

To, że Włodzimierz Lenin przeniósł ze spraw międzynarodowych na wewnętrzne, przyjeżdża na Zachódzie z uczuciem ulgi i satysfakcji. Niespodziewanie Lloyd George w imieniu Wielkiej Brytanii zaprosił rząd Kraju Rad do wzięcia udziału w konferencji w Genewie na temat gospodarczej rekonstrukcji Europy. Zaproszenie oznaczało kres dyplomatycznej blokady Związku Radzieckiego. Konferencję zaplanowano na 22 kwietnia 1922 r.

Lloyd George pisał: „Osobisty udział Lenina w obradach mógłby być bardzo pomocny”.

Lenin ogłosił dobrą nowinę publicznie, 6 marca 1922 roku, podczas narady związku zawodowego metalowców.

— Zapraszają mnie — wołał — pojadę więc do Genewy i jestem pewien, że choroba mi w tym nie przeszkodzi.

Nic z tych zamiarów nie wyszło. Nie minął tydzień i lekarze oświadczyli, że mowy być nie może o jakichkolwiek dalekich podróżach. W kwietniu 1922 roku chirurgzy podjęli desperacką próbę usunięcia z ciała Lenina obu kul. Wydobycie tylko jedną. W trakcie zabiegu stan pacjenta pogorszył się tak gwałtownie, że operację przerwano. Za namową profesora Voerstera, niemieckiego specjalisty, Lenin udał się niezwłocznie na dłuższy wypoczynek.

3.

Po kilku tygodniach Włodzimierz Lenin przyszedł na tyle do siebie, że Voerster wyraził zgodę na jego powrót do Moskwy. Postawił warunek, pracować można, a i owszem, ale tylko 5 godzin dziennie i tylko przez 5 dni w tygodniu. Lenin nie przestrzegł tych zaleceń. Rzucił się w wir wyjątkowej działalności. Był pochłonięty bez reszty przygotowaniami do szybko zbliżającego się II Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej. Był przeciw jej twórca. Przemawiał do delegatów po niemiecku przez go-

dzinę o sukcesach Kraju Rad w minionym pięcioleciu.

Ten nadmierny wysiłek przyplacił drogo. 12 grudnia 1922 roku zwałił go z nóg udar mózgu. Wywiązał się paraliż o trwałym charakterze. Lenin był odtąd przykut do łóżka. Nie mógł również pisać. Wysiadał się z najwyższym trudem, wyrzucając z siebie pojedyncze, ledwo zrozumiałe słowa. Swe polecenia dyktował. I w ten sposób nadal sprawował władzę. Ani myślał wycofać się, czy ustąpić, pewny, że siła woli chorobę ujarzmi i przezwycięży.

W 1922 r. Józefa Stalina wybrano na sekretarza generalnego KC. Odtąd swą pozycję nieprzerwanie utwardzał, obsadzając kluczowe stanowiska działaczami oddanymi mu bez reszty. Właściwie już po roku wyrósł na faktyczną głowę Kraju Rad. W Leninie obudziła się podejrzliwość. Czy ten zamknięty w sobie, małomówny i kanciasty towarzysz nie dąży aby do władzy absolutnej? Dochodziło go wciąż liczniejsze sygnały o arogancji Józefa Stalina, jego bezwzględny odnośnik do zasłużonych weteranów partii. Na Józefa Stalina skarzyła się też Nadzieja Krupska.

Włodzimierz Lenin, zdenerwowany wytworzoną sytuacją i osłabiony, uległ po czterech dniach, dokładnie 9 marca 1923 roku kolejnemu udarowi mózgu. Tym razem stracił na zawsze mowę.

Józef Stalin nie cierpiał Nadziei Krupskiej. Nie zapomniał, że wystąpiła później w obronie Grigorija Zinowiewa, Lwa Kamieniewa, także Nikołaja Bucharina. Zepchnął ją z funkcji przewodniczącej Głównego Polityczno-Oświatowego Komitetu na stanowiska drugorzędnej natury. Nadzieja Krupska zmarła w lutym 1939 r. w Moskwie w wieku 70 lat.

4.

W marcu 1923 r. Włodzimierza Lenina przewieziono do Gork pod Moskwą. Nie pisał, nie chodził, nie mówił. Żył już

tylko cieniem prawdziwego życia.

Równocześnie w Blurze Politycznym KC KPR(b) rozgorzała zacięta walka o linię partii. Lew Trocki podniósł raz jeszcze kwestię internacjonalizmu i światowego przewrotu. Wywijał sztandarem „nieustającej rewolucji”, nie wierząc, by w państwie tak pod każdym względem zafalowanym jak Rosja, można było w bliżej określonym terminie w ogóle socjalizm zbudować. Kierował wzrok ku krajom wysoko rozwiniętym. Józef Stalin był odmiennego zdania.

Nie czas na niepoprzedzone wysiłki i awantury. Spokój jest potrzebny. Pierwszeństwo ma umocnienie państwa. Główny cel to przekształcenie kraju w państwo nowoczesne w możliwie najkrótszym czasie, bez względu na koszty i związane z tym wyrzeczenia. W jakiejś mierze odpowiadało to poglądom Włodzimierza Lenina, który oświadczył przecież, że komunizm to władza radziecka plus elektryfikacja kraju. Kiedy Józef Stalin odszedł, Związek Radziecki był drugą po Stanach Zjednoczonych potęgą gospodarczą świata.

Dziś spaść na miejsce trzecie. Wielkością globalnego produktu na drugie miejsce wyszła Japonia. Tak więc obecna „pienistotka” z nieba nie spada. Jest historyczną koniecznością. To starannie przemysłowa próba przyspieszenia rozwoju gospodarczego Kraju Rad drogą wyzwoleń energii i przedsiębiorczych jednostek. Albo, albo, ostatecznie to Włodzimierz Lenin powiedział, że zwycięży ten ustrój, który wykaże się wyższą wydajnością pracy.

Józef Stalin był zapałszy w hutę, kopalnię i zbrojownię. Obsesja na punkcie siły i przemocy nigdy go nie opuszczała. Podczas spotkań na Kremlu, Winston Churchill napomknął Józefowi Stalinowi z wyrazną satysfakcją, że papież również popiera sprawę aliantów. Józef Stalin wejrzał spod oka:

— Papież, ach tak, a ile papież może wystawić dywizji?

Włodzimierz Lenin utrzymał się przy życiu jeszcze przez 8 pełnych miesięcy i pięć dni. Zgaś 21 stycznia 1924 r. w Gorkach pod Moskwą, po ostatnim i śmiertelnym już udarze. Żałoba ogarnęła cały kraj. Wszędzie dochodziło do żywiołowych i spontanicznych manifestacji. Mimo śnieżystego mrozu przed trumną ze zwłokami wodza rewolucji, wystawioną w sali kolumnowej gmachu związków zawodowych, przedelfowały setki tysięcy moskwićzan.

5.

Robert Tucker w książce „Staline revolutionnaire”, wydanej w Paryżu w 1975 r. podaje, że Nadzieja Krupska opowiadała przeciw balsamowaniu zwłok jej męża. Była również przeciwna wystawieniu mauzoleum, twierdząc, że Włodzimierz nigdy by sobie tego nie życzył. „Defekacji” przeciwstawiali się też ultrarewolucjonści, za którymi stał Lew Trocki. Czyżby ktoś chciał mit chrześcijański zastąpić komunistycznym, w końcu, a Moskwę przystosować w nową Jerozolimę?

Józef Stalin był bliżej ziemi. Lepiej ocenił nastroje ludności. Uważał, że mity i symbole są społeczeństwu niezbędne. Wyczuł, że pod budową mauzoleum podpisałaby się przytłaczająca większość narodu. Lenin choć martwy powinien istnieć nadal jak żywy. Był nadzieją i drogowskazem. Czy wolno nadzieję zakopywać do ziemi?

Wiele posadzeń, przypuszczeń i pospolitych plotek, jak zawsze w podobnych okolicznościach, krążyło po śmierci Włodzimierza Lenina. Potem ucichły. Obalila je komisja lekarska, która przeprowadziła sekcję zwłok Lenina. Ustalono bez cienia wątpliwości, że Włodzimierz Lenin odszedł wskutek miażdżycy tętnic. Udar to przecież nie innego jak nagłe zaburzenie w ukrwieniu mózgu, wywołane krwotokiem, zakrzepem lub zatorem.

6.

Trumnę ze zwłokami Włodzimierza Lenina poniosł na ramionach Michał Kalinin, Grigorij Zinowiew, Lew Kamieniew, Władysław Molotow i w ostatniej dwójce Józef Stalin i Michaił Tomski. Uderzała nieobecność Lwa Trockiego w pogrzebowym konduście. Odtąd Lew Trocki przebywał wtenczas na Krymie. Tam się leczył. Józef Stalin powiedział go natychmiast o zejściu Lenina. Podał też datę uroczystości złożenia ciała. Była to data fałszywa. Dlatego Lew Trocki, w chwilach badoje rozstrzygających, w Moskwie się nie pojawił.

Z tej ziemi

Czy nam wszystkim rzeczywiście chodzi o to samo?

Jeden z naszych Czytelników, mgr Edward Stanczykiewicz bardzo lubi pisywać listy o twarde do przedstawieli rządu. Swego czasu pisał list do premiera Zbigniewa Messnera, którego fragmenty drukowaliśmy w „Odgłosach”, a teraz — list list otwarty do wicepremiera Zdzisława Sadowskiego, domagając się cudu nad Wisłą. Mgr Edward Stanczykiewicz dostrzegł bowiem, że niektóre przedsiębiorstwa nie zwiększają produkcji, a mają wyższe zyski. Jak to robią? Ano przez systematyczne zwiększanie cen.

„Fakt zredukowania o 50 procent produkcji — pisze w liście do Zdzisława Sadowskiego nasz Czytelnik — przy jednoczesnym wywinodowaniu cen, a w ślad za tym podniesienie wynagrodzeń aż o 60 proc. wypełnia w całości dyspozycje art. 217 paragraf 1 kodeksu karnego, polegające na przekroczeniu uprawnień w zakresie prawidłowego gospodarowania, w wyniku czego nastąpiła poważna szkoda w gospodarce społecznej”.

Na czym zatem polega cud nad Wisłą, który ma uczynić wicepremiera Zdzisława Sadowskiego? Ano ma on wszystkich dyrektorów, którzy naruszyli art. 217 paragraf 1 oddać do prokuratury, a ta bod sąd i do więzienia. W ten sposób znikną szkodnicy, a gospodarka wróci do swojej niegdyś świetności. Zadróżcie ludziom, którym wszystko jawi się tak proste i łatwe. Ale w jednym niewątpliwie rację ma mgr Edward Stanczykiewicz, że coś trzeba zrobić z naszą gospodarką, jakiś cud uczynić i to nie tylko nad Wisłą, ale i nad innymi polskimi rzekami, bo jest źle i robi się coraz gorzej.

Wystarczy choćby sięgnąć do danych GUS o wynikach naszej pracy w lipcu 1988 roku. Nie są zadowalające. Powiedziałbym nawet, że są niepokojące. Wystarczy zresztą wyjść rano na ulice naszych miast aby zobaczyć kolejki przed sklepami, i to nie tylko mięsnymi. Handel nasz, tylekroć krytykowany i wzywany do sprawności, nadal urzęduje a nie handluje. W Bydgoszczy zawiódł transport handlowy i nie było czym dowieźć chleba i bułek na osiedle Leśne. Wyrzucono więc je świniom, jakby nie można było pożytyć samochodów i przewieźć

pieczywo. Ale takie rozwiązanie nie mieści się w głowach ludzi mniających się handlowcami, bo nie ma na to stosownych przepisów i rozkazów oraz poleceń. Natomiast mieści się w głowie pomysłu, aby powołać komisję, która zbada sprawę. A co tu badać?

W Łodzi też nie lepiej jest z pracą handlu, bo i urlopy, i braki, i kolonie, i Bóg jeden wie co jeszcze przeszkadza. Łódź zresztą często miewa trudności z zaopatrzeniem, a teraz może mieć znacznie większe — jeśli już nie ma — bo skup żywności w lipcu 1988 roku był niższy w porównaniu z lipcem 1987 roku aż o 12,2 proc., a za 7 miesięcy 1988 roku w porównaniu do 7 miesięcy 1987 roku — o 2,7 procent. I nie nie wskazuje, że ta sytuacja może się zmienić. Przeciwnie — może się pogorszyć, jeśli rolnictwa — wbrew deklaracjom — nie zacznie się traktować poważnie, jak innych gałęzi gospodarki narodowej.

Deklaracje, programy i plany mamy na ogół piękne. Umieję też posługiwać się pięknymi słowami. Gorzej z praktyką. Ta jakos nie wskazuje, aby piękne plany przeobrażały się w piękne rezultaty, w czynnie się sprawdzały. Mijają lata a sytuacja kryzysowa zamiast się poprawiać, pogarsza się. Centrum się zreorganizowało, co miało dać niebawmy postęp, przyczyniło się do rozbięcia krajowej biurokracji, przybliżyło rząd do rządzących. Zamierzenia były piękne, zapewnienia obiecujące, praktyka jest nijaka. Biurokracja nadal dusi każdą śmielszą inicjatywę. Ludzie chcą coś zrobić, ale gubią się w gąszczu przepisów i ulegają zniechęceniu pod presją obłożenia urzędników. Rząd dostał specjalne uprawnienia, sam się nawet bałem, że biurokracja weźmie w ręce władzę i dopiero nam pokaże. Ale nie się takiego nie stało. Dopiero teraz — pod presją uchwały Komitetu Wykonawczego OPZZ — marszałek Sejmu Roman Malinowski zapowiedział zwołanie Specjalnej Komisji Sejmu PRL, która oceni, co zrobił rząd. Być może sprawozdania będą optymistyczne, odczucie społeczne jest wręcz przeciwnie.

Zapowiadano na początku, że operacja podwyżki cen dotknie nas bardzo boleśnie — i to się sprawdziło — ale skutek miał być po-

zytywny. Miało to ożywić gospodarkę. Owszem dostaliśmy solidnie po kieszeni, ale gospodarka — jak wskazują dane GUS — raczej się cofnęła. Uruchomiona została — moim zdaniem — bardzo niebezpieczna maszyna, której działanie dostrzegł wspomniany na początku mgr Edward Stanczykiewicz. Maszyna ta — a raczej mechanizm — sprzyja inflacji. Pozwala bowiem podnosić ceny, co przedsięwzięciem daje większy zysk. Załogom pozwala to znów na wymuszanie podwyżek płac. Dyrekcje — przeciw teoretycznie samodzielnemu — ulegają tym naciskom. To znów zmusza je do podnoszenia cen. I koło się zamyka. Płaci klient, a inflacja rośnie. Teraz znów górnicy i dokerzy żądają więcej pieniędzy. Ale nie tylko pieniądze.

Miał być pakt antykryzysowy, albo — jak chcieli niektórzy, do czego się sam przychyliam — koalicja proreformatorska. Zamiast tego mamy znów fałz strajków. Miałem poważne wątpliwości, czy taki pakt lub koalicja coś realnego poza rozmowami może — przynieść. Padła wprawdzie bardzo realna propozycja, która przypadła mi do gustu, że taki pakt czy taka koalicja — jak to zwal, tak zwal — powinna powstać w przedsiębiorstwie, bo tam dzięki jednemu działaniu można będzie coś więcej osiągnąć. Ale jakoś nikt tej propozycji nie podjął. Przynajmniej nie o tym nie wiem. Wiem natomiast, że na Śląsku i w Szczecinie wybuchły strajki. Nie są to na pewno rezultaty porozumienia. Wręcz przeciwnie.

W telewizji nieustannie powtarza się, jakie to straty strajki te przyniosą. To prawda, ale to nie przemawia do niczyjej wyobraźni. Słusznie Jerzy Kowalski zauważył w radiowym komentarzu w niedzielne popołudnie, że mało kto widział 100 ton węgla, a już takich, którzy widzieli miliard złotych można chyba policzyć na palcach jednej ręki. Poza tym organizatorzy tych strajków wybrali takie miejsca, aby skutecznie uderzyć w naszą cherlawą gospodarkę i wymusić swoje żądania. Mam jednak wątpliwości — i to poważne — czy ich żądania są również moimi żądaniem i czy podpisałbym się pod wszystkimi. I czy tak zrobiłby inni ludzie?

Staram się pisać przede wszystkim i jedynie we własnym imieniu i są to moje poglądy i przemyslenia. Rozumiem i mogę się zgodzić, że górnicy są na przykład zaniepokojeni tym, że w kopalniach jest zbyt duża administracja, co obciąża koszty produkcji kopalń. Rozumiem, że młodzi górnicy — jak i inni — są zaniepokojeni wleczeniem się w ogonie budownictwem mieszkaniowym. Podzielim nawet oburzenie młodych ludzi na ślimaczczą się reformę gospodarczą. Wszyscy wiązaliśmy z nią nadzieje, ale mijają lata, a pozostają tylko programy. Gdy przystępuje się do pracy nad reformowa-

niem gospodarki, narastają obiektywne przeszkody nie do pokonania. Przypominam więc, że już na VI Plenum KC PZPR stwierdzono, że reformom gospodarczym powinny towarzyszyć reformy polityczne. I to jest nadal aktualne. W postulatach.

Nie uważam jednak, jak nie uważałem w 1981 roku, że strajki to forma walki, jaką Polska — jako całość — jest w stanie wytrzymać. Chodzi mi po głowie taka myśl, że młodzi ludzie — tak dziś rżący się przede wszystkim do strajkowania — spóźnili się nie o własnej winy na tamte „ciekawe czasy” i teraz chcieliby to wszystko „przeżyć jeszcze raz”. Ale to nie jest tylko ich zabawa. W tę niebezpieczną grę bawimy się wszyscy. Nikogo nie strasze. Jestem tylko zaniepokojony sytuacją, gdyż w tym co się teraz w sierpniu 1988 roku w Polsce dzieje, widzę poważne zagrożenie dla gospodarki, reform i dla tak dobrze rozwijających się stosunków między obu supermocarstwami, a zmierzających do rozbioru na świecie. Trzeba bowiem umieć dostrzegać sprawy Polski na tle Europy i świata, a sprawy własnej grupy zawodowej na tle kraju. Takiej umiejętności nam — niestety — brakuje. Życie nie będzie jednak pytało, czy młodzi strajkujący byli w odpowiednim czasie na lekcji, czy też wagarowali i dlatego nie wiedzą, o co idzie gra.

I ostatnia sprawa. Strajkujący domagają się legalizacji NSZZ „Solidarność” w myśl zasady, że bez „Solidarności” reformy się nie uda. Odtąd nie podzielałem tego poglądu. Od sierpnia 1980 roku do lutego 1983 roku byłem — jak to się mówi — w centrum życia politycznego, i coś wiem na temat tego, jak się „Solidarność” sprawowała, jakie były skutki jej działalności. Nie chciałbym, aby do tego znów wróciło, aby krajem wstrząsały konwulsje sporów i start. Nie jestem przeciwny związkowemu pluralizmowi, ale nie sądzę, aby politycy z minionego okresu mogli ten pluralizm stworzyć. Tak uważam. To nie znaczy, że wszyscy muszą też tak uważać, ale mam nadzieję, że wielu moje poglądy podzieli lub choć się nad nimi zastanowi.

Nie uważam bowiem, aby nam wszystkim echniło o to samo. A powinno, bo powinno chodzić o nas.

21.08.1988.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Przedstawiamy trzecią część rozdziału, poświęconego sprawie pułkownika Janusza Albrechta, z książki Cezarego Leżeńskiego „BEZ BUŁAWY”, która ukaże się niebawem nakładem LSW. Pułkownik Janusz Albrecht był szefem sztabu KG ZWZ (AK). Rozpoznany przez rotmistrza Przemysława Deżakowskiego został aresztowany przez kieleckie gestapo. Po torturach i zeznaniach, w których nie ujawnił wszystkiego i nikogo nie wydał, ale musiał potwierdzić przynajmniej to, co już gestapo wiedziało, otrzymał propozycję podjęcia rokowań z KG ZWZ w sprawie „zawieszenia broni”. Propozycję tę miał przedstawić Stefanowi Grotowi-Roweckiemu. Czy doszło do spotkania? I jak Stefan Grot-Rowecki propozycję tę potraktował?

Tytuł części trzeciej rozdziału z książki „Bez buławy” pochodzi od redakcji.

Stefan Grot-Rowecki nie spotkał się z pułkownikiem Januszem Albrechtem. Przesłał tylko list. (3)

To był ostatni rozkaz

CEZARY LEŻEŃSKI

Przy wejściu do domu na Świętokrzyskiej 23 czekał już na pułkownika Albrechta adiutant generała „Grot”, kapitan Ryszard Krzywicki „Szymon”. Przywitał się i dyskretnie zameldował. To „Wojciechowi” poprawiło humor. Wszedł do kamienicy. Nikt na nich nie zwracał uwagi. Lokal pozostający w dyspozycji generała był dobrze zakonspirowany. Jakby przez złośliwość losu czy przypadek pułkownik wszedł do tego samego lokalu, w którym miał wiele spotkań z „Grottem”. Znal go dobrze. Wchodził jak do swego mieszkania. Ale od razu widział, że nie ma tu „Jana”. Nie ma w ogóle nikogo. Jeszcze się upewnia i odwraca w stronę „Szymona”. Ten bez słowa podaje mu list. Niecierpliwie rozrywa kopertę. To kartka od „Grot”. Szybko przebiega ją wzrokiem. Tylko parę słów skreślonych osobistą ręką generała.

„Kochany Janusz! Poszedłeś za daleko. Myślę, że znajdziesz właściwe rozwiązanie. Sciskam Cię Stefan”.

Pułkownik zbliżył nieco. Zrozumiał wszystko. W tej kartce była zawarta i prośba, i rozkaz, i wskazanie drogi. Jakiej? To dla Albrechta było jasne. Nie odezwał się ani słowem. Ciężko przysiadł za stołem. Z kieszeni wyciągnął kartę, wieczne pióro. Pochylił się nad papierem.

„Kochani!

Nie udało mi się nawiązać kontaktu z przyjaciółmi. Widać obawiają się mnie. Doszedłem do przekonania, że popełniłem błąd? Postanowiłem skończyć z sobą, by w ten sposób ratować swój honor, a wam przekazać czyste imię. Zegnam was, a duszę swoją i was polecam Bogu.

Wasz Janusz i Ojciec 6.IX.1941”.

Zdjął z palca obrączkę i położył na stole. W milczeniu obrócił się ku kapitanowi. Wykonał ruch ręką, jakby po coś sięgał, czy o coś prosił. Adiutant pochylał głowę twierdząco. Przysunął szklankę stojącą na stole.

„Wojciech” ujął ją dłoń. Twardo jak pistolet wycelowany we wroga. Nie zadrżało mu ramię. Spokojnym ruchem uniósł szklankę do ust, jakby pił herbatę czy orzechy. Ledwie przełknął, zachwiał się na krześle. „Szymon” podtrzymał głowę pułkownika. Zaczekał jeszcze chwilę. Wywrócił krzesło na ziemię i położył ciało na podłodze.

Starannie złożył list generała i schował go do kieszeni. Jego misja była skończona. Wykonał trudny rozkaz „Grot” w sposób najdelikatniejszy i najbardziej taktowny. Zamknął za sobą starannie drzwi.

Tego samego dnia po południu „Herminia” przyszła na wyznaczone spotkanie z „Oskarem” do cukierni „SIM” na Królewskiej. Chciała wiedzieć jak przebiegło spotkanie „Wojciecha” z „Janem” i jakie będą dalsze polecenia.

Zwykły dym kawiarniany snujący się z papierosów wisiał w powietrzu. Szumiał gwar rozmów. Siedli przy stoliku. Nie zdążyła zapytać o przebieg rozmowy, o dalsze instrukcje, gdy podporucznik krótko i twardo oznajmił:

— „Wojciech” nie żyje.

Tego się nie spodziewała. Było to ponad siły. Zareagowała typowo — po kobiecemu — rozplakała się. Zerwała się od stolika. Bez słowa wyjaśnienia wybiegła. „Oskar” dogonił ją na Krakowskim Przedmieściu.

Szła obok siebie, a on tłumaczył najłagodniej jak umiał, że „Wojciech” odebrał sobie życie, bo nie mógł dogadać się z „Janem”. Nie zdecydował się na złamanie słowa honoru. Nie pozostało mu więc nic innego.

Pani ma w imieniu organizacji powiadomić rodzinę — żonę i dzieci. Poinformować, gdzie znajduje się ciało. Muszą tam dotrzeć przed prokuratorem czy gnatawską policją.

Weszli w Świętokrzyską, skręcili w Jasną. Zaraz za rogiem mieścił się mały sklepik z papeterią. Duszny zapach złozonego papieru. Na kontuarze pałająca się świeca ledwie rozpraszała mrok. W głębi telefonu. Podporucznik począł coś kupować, przebiegał, wybierał.

„Herminia” z trudem opanowując drżenie rąk wykreśliła numer 946-12. Chwile powtarzał się buczer w telefonie, aż pani Maria podjęła słuchawkę.

— To ja — zduszonego głosem powiedziała Zakrzewska.

— Gdzie Janusz? Co się z nim dzieje, do tej pory nie wrócił. Przecież żyje.

— Jest pod numerem 23 na Świętokrzyskiej. Prawa oficyna. Nie żyje. Tam jego ciało.

— Dzieci, ojciec nie żyje — krzyknęła rozpaczliwie pani Maria.

„Herminia” odłożyła słuchawkę. Sprawa „Wojciecha” była dla niej zakończona. Pogrzeb odbył się pod prawdziwym nazwiskiem na cmentarzu Czerniakowskim. Nikt z organizacji nie był obecny. Tylko w parę dni później „Herminia” wbrew poleceniom odwiedziła świeży grób. Od głównej bramy na wprost trzecia alejka w lewo. Złożyła kwiaty i szybko odeszła. Nikt jej nie śledził. Również mieszkanie państwa Albrechtów na Nowakowskiego nie było inwigilowane. Ze zdziwieniem stwierdziła, że gestapo jednak dotrzymało słowa. Czyżby jeszcze czekało na ustalone z „Wojciechem” spotkanie w Faleńcy?

Sprawa pułkownika została zakończona dla „Herminii” i dla rodziny Albrechtów. Ale nie dla Roweckiego. Wyciągnął z propozycji Niemców słuszy i logiczny wniosek. Formuluje go jasno i zdecydowanie w depeszy nadanej do Londynu w dniu 19 września 1941 roku.

„Przez aresztowanie oficera Komendy Głównej ZWZ szef gestapo zaproponował mi zawarcie cichego układu: ZWZ zaprzestanie dywersji, sabotażu i propagandy, a Niemcy w zamian zawieszają prześladowania ZWZ, czyli spokój za spokój.

Propozycję tę odrzuciłem ze względów zasadniczych. Ze stanowiska walki bezwzględnej i bezkompromisowej zejść nam nie wolno i nie zejdziemy.

Propozycję gestapo oceniam jako dywersyjną. Melduję o niej, bo może być traktowana jako przejaw pewnej słabości wroga szukającego uspokojenia na ziemiach Polski”.

W następnych meldunkach idzie do Londynu informacja potwierdzająca, że z tytułu aresztowania „Wojciecha” nie było żadnej wyspy czy wpadki. „Grot” jest przekonany, że jego szef sztabu postąpił jak prawdziwy żołnierz. Po stwierdzeniu błędu wybrał honorową śmierć.

Ten pogląd generała podziela Sikorski. Rowecki w lutym 1942 roku czyta z prawdziwym wzruszeniem:

„Sp. ob. „Wojciecha” odznaczyłem Orderem Virtuti Militari IV kl. Podać odwrotnie, czy ogłoszenie szczegółów jego śmierci nie spowoduje represji w stosunku do rodziny i czy jest dopuszczalne ze względów konspiracyjnych”.

„Grot” w pełni aprobuje decyzję Naczelnego Wodza. To wysokie pośmiertne odznaczenie na pewno należało się Albrechtowi. Jednakże nie pora to odpowiednia, by wszystko ujawnić, by podawać do publicznej wiadomości szczegóły śmierci. A bez nich fakt odznaczenia staje się niezrozumiały. Będzie na to czas po wojnie.

Jedną tylko sprawą, szaniem Roweckiego, nie może czekać. Domaga się pilnego załatwienia. Wykrycie i ukaranie denuncjatora. Sam Albrecht niechętnie o tym mówił, ale zestawienie różnych informacji i poszlak wskazuje wyraźnie na osobę rotmistrza Przemysława Deżakowskiego z 1 pułku szwoleżerów.

Siedziwo, zostaje wdrożone. Okazuje się, że rotmistrz był w majątku Sobótka koło Kielc u swego kolegi. Utrzymywał kontakty handlowe z oficerami niemieckimi i urzędnikami policji kieleckiej. Dostał od nich dokumenty inwalidzkie zwalniające go od obowiązku rejestracji jako oficera WP. Kradłszy liczne pogłoski o ciemnych interesach, jakie załatwiał. Poważnie obciążał go zamierzanie do Kielcska. Aby zdobyć pieniądze na wódkę skłonny był do wszystkiego.

Być może papiery inwalidzkie otrzymał za przyrzeczenie wydania Niemcom swego dowódcy z pułku. Niektórzy twierdzili, że miał dostać od Niemców za wskazanie Albrechta pięćdziesiąt tysięcy, a dał mu tylko pięćdziesiąt złotych i raz w mordę.

W dniu 4 marca 1942 roku Wojskowy Sąd Specjalny w Warszawie uznał winnym rotmistrza Deżakowskiego Przemysława, syna Władysława i Stefani zamieszkałego przy placu Dąbrowskiego 4 m. 3 i skazał go jednoznacznie na karę śmierci.

W dwa dni później tekst protokołu rozprawy i sentencja wyroku trafiły do rąk Roweckiego. Przeczytał wszystko uważnie, i dokładnie. Bez wahania napisał: wyrok zatwierdzam. Ale pod spodem złożył podpis — „Tur”.

Sprawa „Wojciecha” została dla niego definitywnie zamknięta. Wykonanie wyroku na Deżakowskim w Chylicach koło Warszawy było już tylko, niewiele znaczącym postawieniem kropki po ostatnim słowie.

Czy rzeczywiście? Pozostały jeszcze zaprotokolowane zeznania pułkownika Albrechta w kieleckim gestapo: „(...) Dokładny podział organizacyjny i zadania poszczególnych referatów są następujące: Komendant Główny, pseudonim Duleba, Jan, Krabicki. Rowecki mieszka naturalnie w Warszawie pod fałszywym nazwiskiem, zmienia często miejsce zamieszkania i prawdopodobnie swoje nazwisko. Ze względów konspiracyjnych nie wolno mi było dowiadywać się ani o nazwisko, ani o mieszkanie pułkownika Roweckiego. Pozostawaliśmy z sobą w kontakcie przez łączników oddziału V... Według moich wiadomości dojdzie do pułkownika Roweckiego prowadził przez 7 czy 8 łączników, których drogi krzyżowały się w jakiejś centrali. Trzy z nich, według moich informacji, utrzymywane były przez oddział V. Skontaktowanie się z pułkownikiem Roweckim trwało przeciętnie 5 dni, chociaż mieszkaliśmy w Warszawie”.

Od początku roku 1940 gestapo znało prawdziwe nazwisko Roweckiego i pełniąca przez niego funkcję w podziemiu. Powiedzieli o tym Albrechtowi, który potwierdził. Czy jednak takie potwierdzenie ze strony szefa sztabu nie było nic warte dla przesłuchujących?

Takie przynajmniej pytanie zadawał sobie ci, którzy dobrze znali całą sprawę.

W dniu 4 marca 1942 roku Wojskowy Sąd Specjalny w Warszawie uznał winnym rotmistrza Deżakowskiego Przemysława, syna Władysława i Stefani zamieszkałego przy placu Dąbrowskiego 4 m. 3 i skazał go jednoznacznie na karę śmierci.

W dwa dni później tekst protokołu rozprawy i sentencja wyroku trafiły do rąk Roweckiego. Przeczytał wszystko uważnie, i dokładnie. Bez wahania napisał: wyrok zatwierdzam. Ale pod spodem złożył podpis — „Tur”.

Sprawa „Wojciecha” została dla niego definitywnie zamknięta. Wykonanie wyroku na Deżakowskim w Chylicach koło Warszawy było już tylko, niewiele znaczącym postawieniem kropki po ostatnim słowie.

Czy rzeczywiście? Pozostały jeszcze zaprotokolowane zeznania pułkownika Albrechta w kieleckim gestapo: „(...) Dokładny podział organizacyjny i zadania poszczególnych referatów są następujące: Komendant Główny, pseudonim Duleba, Jan, Krabicki. Rowecki mieszka naturalnie w Warszawie pod fałszywym nazwiskiem, zmienia często miejsce zamieszkania i prawdopodobnie swoje nazwisko. Ze względów konspiracyjnych nie wolno mi było dowiadywać się ani o nazwisko, ani o mieszkanie pułkownika Roweckiego. Pozostawaliśmy z sobą w kontakcie przez łączników oddziału V... Według moich wiadomości dojdzie do pułkownika Roweckiego prowadził przez 7 czy 8 łączników, których drogi krzyżowały się w jakiejś centrali. Trzy z nich, według moich informacji, utrzymywane były przez oddział V. Skontaktowanie się z pułkownikiem Roweckim trwało przeciętnie 5 dni, chociaż mieszkaliśmy w Warszawie”.

Od początku roku 1940 gestapo znało prawdziwe nazwisko Roweckiego i pełniąca przez niego funkcję w podziemiu. Powiedzieli o tym Albrechtowi, który potwierdził. Czy jednak takie potwierdzenie ze strony szefa sztabu nie było nic warte dla przesłuchujących?

Takie przynajmniej pytanie zadawał sobie ci, którzy dobrze znali całą sprawę.



Historia tworzy zagadki

Pozostają tylko hipotezy

Historia tworzy zagadki, które z ciekawości i z pasją staraliśmy się rozwiązywać. Jakże często bezskutecznie. Jedną z takich zagadek, którą nieustannie próbuję się rozwiązać, jest tajemnicze zaginięcie generała Włodzimierza Zagórskiego. Świadomie używam określenia: „zaginięcie”, bo przecież o zabójstwie mowy być nie może, skoro nie ma zwłok. A zwłok gen Włodzimierza Zagórskiego nie znaleziono. Różne na temat jego zaginięcia snuto przypuszczenia, różne budowano hipotezy, ale rozwiązania zagadki nadal nie ma. Ten stan rzeczy pozwala na tworzenie dalszych hipotez i snucie najprzeróżniejszych domysłów.

Niedawno w „Kierunkach” z zupełnie nową koncepcją wystąpił Rajmund Szubański. Jego zdaniem — co próbuje udowodnić — gen. Włodzimierz Zagórski uwięziony był w jedną „z największych afer w przedwojennej Polsce” — chodzi o „Francopol” i kupno samolotów dla armii polskiej — stał się więc niewygodny dla swoich byłych kontrahentów. Ci natychmiast umówili mu ucieczkę, a następnie pozbyli się go. „Czy stało się to — pisze Rajmund Szubański — w samym Gdańsku, na morzu, czy też w kraju przeznaczenia, np. we Francji — tego nie dowiemy się zapewne nigdy”. W każdym razie Rajmund Szubański wyklucza inspirację tej sprawy przez Józefa Piłsudskiego.

„Jest to być może kwestia dyskusyjna — pisze — ale znajomość całokształtu działalności, charakteru i metod postępowania Piłsudskiego pozwala wykluczyć go jako inspiratora czy choćby wyrazić zgodę na fizyczną likwidację osoby, której znaczenie nie musiało go zresztą popychać do tak drastycznego kroku”. Istotnie jest to kwestia bardzo dyskusyjna.

Zaginięcie gen. Włodzimierza Zagórskiego odsunęło w cień inne sprawy, które miały się równocześnie, a w których inspiracją Józefa Piłsudskiego nie ulega wątpliwości. Zaraz po zamachu majowym w 1926 roku aresztowano i osadzono w więzieniu pięciu generałów: Bolesława Jałwińskiego, Juliusza Małczewskiego, Tadeusza Rozwadowskiego, Włodzimierza Zagórskiego i Michała Żymirskiego. Generałów Włodzimierza Zagórskiego i Tadeusza Rozwadowskiego osadzono w wileńskim więzieniu wojskowym na Antokolu. Gen. Tadeusza Rozwadowskiego zwolniono z więzienia 18 maja 1927 roku. Sprawę tę — nie mniej tajemniczą — przypomniał w „Konfrontacjach” Jan Engelgard.

Tadeusz Rozwadowski urodził się w 1870 roku. Służył w wojsku austriackim, gdzie doszedł do stopnia generała. Był dobrze wyszkolonym oficerem. Józef Piłsudski charakteryzując w 1922 roku oficerów służących w Wojsku Polskim tak napisał o Tadeuszu Rozwadowskim:

„Bardzo zdolna, szybko orientująca się głowa. Człowiek o wielkiej wiedzy fachowej i żywej inteligencji. Żadnych zdolności organizacyjnych i administracyjnych”.

Tadeusz Rozwadowski zwolniony został w 1916 roku z armii austriackiej za krytykę prześladowania ludności w Galicji. W 1918 roku powołany został do WP i awansowany do stopnia generała broni. Był szefem Sztabu Generalnego WP w latach 1918–1921. A więc również w czasie wojny polsko-radzieckiej w 1920 roku. Znaczący szlak wojennej jemu właśnie przypisują autorstwo planów operacyjnych, a już głównie słynnej bitwy warszawskiej, zwanej „cudem nad Wisłą”. On też w maju 1926 roku dowodził wojskami wiernymi ówczesnemu rządowi. Powodów do tego, aby wśród oficerów legionowych, wśród nacji, być osobą nie cieszącą się sympatią — delikatnie mówiąc — aż nadto.

Józef Piłsudski nie był zawodowym żołnierzem, choć stworzył Legiony i armię polską. Mianował siebie Pierwszym Marszałkiem Polski i uważał się za zwycięzcę w kilku bitwach, a przede wszystkim w bitwie nad Wisłą pod Warszawą w sierpniu 1920 roku. Był samoukiem. Apologeta nazywają go „genialnym wodzem”, historycy skłonni są uważać go za amatora. Znaczący szlak wojennej twierdzą, że rozgrywanie bitew wymaga doświadczenia.

Wskazywano na to, że w Archiwum Sztabu Generalnego. Wtedy Józef Piłsudski powiedział: — Ale bitwę pod Warszawą wygrałem ja!

I to był koniec rozmowy i spotkania.

Autorstwo „cudu nad Wisłą” Józefowi Piłsudskiemu było niezbędne, przecież bitwę wygrał, ale cała koncepcja federalizmu z narodami-wschodnimi kresów — o co toczyła się wojna — legła w gruzach. Tylko, że to już trochę inna sprawa.

Historia tworzy zagadki, które z ciekawości i z pasją staraliśmy się rozwiązywać. Jakże często bezskutecznie. Jedną z takich zagadek, którą nieustannie próbuję się rozwiązać, jest tajemnicze zaginięcie generała Włodzimierza Zagórskiego. Świadomie używam określenia: „zaginięcie”, bo przecież o zabójstwie mowy być nie może, skoro nie ma zwłok. A zwłok gen Włodzimierza Zagórskiego nie znaleziono. Różne na temat jego zaginięcia snuto przypuszczenia, różne budowano hipotezy, ale rozwiązania zagadki nadal nie ma. Ten stan rzeczy pozwala na tworzenie dalszych hipotez i snucie najprzeróżniejszych domysłów.

Niedawno w „Kierunkach” z zupełnie nową koncepcją wystąpił Rajmund Szubański. Jego zdaniem — co próbuje udowodnić — gen. Włodzimierz Zagórski uwięziony był w jedną „z największych afer w przedwojennej Polsce” — chodzi o „Francopol” i kupno samolotów dla armii polskiej — stał się więc niewygodny dla swoich byłych kontrahentów. Ci natychmiast umówili mu ucieczkę, a następnie pozbyli się go. „Czy stało się to — pisze Rajmund Szubański — w samym Gdańsku, na morzu, czy też w kraju przeznaczenia, np. we Francji — tego nie dowiemy się zapewne nigdy”. W każdym razie Rajmund Szubański wyklucza inspirację tej sprawy przez Józefa Piłsudskiego.

„Jest to być może kwestia dyskusyjna — pisze — ale znajomość całokształtu działalności, charakteru i metod postępowania Piłsudskiego pozwala wykluczyć go jako inspiratora czy choćby wyrazić zgodę na fizyczną likwidację osoby, której znaczenie nie musiało go zresztą popychać do tak drastycznego kroku”. Istotnie jest to kwestia bardzo dyskusyjna.

Zaginięcie gen. Włodzimierza Zagórskiego odsunęło w cień inne sprawy, które miały się równocześnie, a w których inspiracją Józefa Piłsudskiego nie ulega wątpliwości. Zaraz po zamachu majowym w 1926 roku aresztowano i osadzono w więzieniu pięciu generałów: Bolesława Jałwińskiego, Juliusza Małczewskiego, Tadeusza Rozwadowskiego, Włodzimierza Zagórskiego i Michała Żymirskiego. Generałów Włodzimierza Zagórskiego i Tadeusza Rozwadowskiego osadzono w wileńskim więzieniu wojskowym na Antokolu. Gen. Tadeusza Rozwadowskiego zwolniono z więzienia 18 maja 1927 roku. Sprawę tę — nie mniej tajemniczą — przypomniał w „Konfrontacjach” Jan Engelgard.

Tadeusz Rozwadowski urodził się w 1870 roku. Służył w wojsku austriackim, gdzie doszedł do stopnia generała. Był dobrze wyszkolonym oficerem. Józef Piłsudski charakteryzując w 1922 roku oficerów służących w Wojsku Polskim tak napisał o Tadeuszu Rozwadowskim:

„Bardzo zdolna, szybko orientująca się głowa. Człowiek o wielkiej wiedzy fachowej i żywej inteligencji. Żadnych zdolności organizacyjnych i administracyjnych”.

Tadeusz Rozwadowski zwolniony został w 1916 roku z armii austriackiej za krytykę prześladowania ludności w Galicji. W 1918 roku powołany został do WP i awansowany do stopnia generała broni. Był szefem Sztabu Generalnego WP w latach 1918–1921. A więc również w czasie wojny polsko-radzieckiej w 1920 roku. Znaczący szlak wojennej jemu właśnie przypisują autorstwo planów operacyjnych, a już głównie słynnej bitwy warszawskiej, zwanej „cudem nad Wisłą”. On też w maju 1926 roku dowodził wojskami wiernymi ówczesnemu rządowi. Powodów do tego, aby wśród oficerów legionowych, wśród nacji, być osobą nie cieszącą się sympatią — delikatnie mówiąc — aż nadto.

Józef Piłsudski nie był zawodowym żołnierzem, choć stworzył Legiony i armię polską. Mianował siebie Pierwszym Marszałkiem Polski i uważał się za zwycięzcę w kilku bitwach, a przede wszystkim w bitwie nad Wisłą pod Warszawą w sierpniu 1920 roku. Był samoukiem. Apologeta nazywają go „genialnym wodzem”, historycy skłonni są uważać go za amatora. Znaczący szlak wojennej twierdzą, że rozgrywanie bitew wymaga doświadczenia.

Wskazywano na to, że w Archiwum Sztabu Generalnego. Wtedy Józef Piłsudski powiedział: — Ale bitwę pod Warszawą wygrałem ja!

I to był koniec rozmowy i spotkania.

Autorstwo „cudu nad Wisłą” Józefowi Piłsudskiemu było niezbędne, przecież bitwę wygrał, ale cała koncepcja federalizmu z narodami-wschodnimi kresów — o co toczyła się wojna — legła w gruzach. Tylko, że to już trochę inna sprawa.

WITOLD BOROWY

— Skądże — protestuje kaowiec. — Są bałki maskowe dla dzieci. Wycieczki. Dyskoteki.
— Czy dyskoteki tylko dla zwolch?
— Jak przyjdą z zewnątrz jacyś trzeźwi, to się ich wypuszczą.

Wczoraj w Warszawie

— Wie pan co? Kiedyś była tu telewizja. Sfilmowali mnie i dyrektora nie miał pretensji. Może i teraz nie ma powie.

Ruszą na rozmowy z wczasowiczami. Jak się bawią? Tylko we własnym gronie. Nawet nie wiedzą, gdzie są inne ośrodki wczasowe. Nie, naturysty także nie wzbudzają zainteresowania. Na co wydaje się pieniądze? Jak to na co? Na alkohol! Tylko wkurzają ich kolejni do „magnopolowego”.

Pieniądzy idzie dużo. Kobiety wymuszają kupowanie ciuchów, dzieci wymuszają kupowanie lodów, frytek, gofrów, już nie mówiąc o karuzeli i strzelnicach. A człowiek wydaje pieniądze raczej na piwo. W Łodzi piwa nigdzie nie ma. A tu przy każdej ulicy! Człowiek jest na luzie, nie musi wstać do pracy.

Wczorajem pije się wódke. Ale w dzień tylko piwo. Najlepsze jest „Gdańskie”. Pasteryzowane.

Czy coś ich denerwuje? Tak. Bilety na plażę. Jeden bilet kosztuje 55 zł. To przecież skandal. To jest za drogo na kieszonki robotnika. No i denerwują ich ci z pola namiotowego. Nie tylko „pija i piją”. A potem się wiozą. I śpiewają.

— A czy słyszał pan, że plaża jest w agencji? Jak można było oddać teren państwową w agencję? Agent sobie nabija kieszeń. Bilety drogie. Często wybuchają awantury przy wejściu na plażę. Tłumaczymy, że idziemy tylko na chwilę, że na pewno nie będziemy się opalać. Ale do tych ludzi nie nie trafia. Tylko płacić i płacić.

Jedna rodzina wydaje na wczasach przeciętnie 50 tysięcy. Oczywiście nie licząc kosztu taksów. Są oczywiście i tacy, którzy wydają więcej. Na przykład dwie rodziny zrobiły sobie mały wczoraj w jednym z domków. Złożyły się na piętnaście. Na normalne wieczorki, tak zwane zapoznawcze, idzie gdzieś tak po trzy i pół od głowy.

Jak jest w końcu z tymi rozrywkami? Czy w czasie deszczu wczasowicze się nudzą? Trochę. Ale nie ma gdzie pójść, żeby się pobawić. Jest dyskoteka na statku „Thaif”. Ale to dla młodzieży. Do „Piastowskiej” strach chodzić. Dlaczego strach? Bo błąd.

— A dlaczego sklepy z pamiątkami są tak obleżone — pytam — to przecież tandeta.

— Tandetna? Panie, to najfajniejsza rozrywka!

Jesć dają bardzo dobrze. Ale jak człowiek idzie ulicą, to kupi te frytki albo zapiekankę. Dla smaku. A wieczorem lepiej w ogóle nie wychodzić z ośrodka. Milicji jest mało. Wiozą się duże grupy pijanej młodzieży. Krzyczą za kobietami „E, pizdeczki”. Kiedyś przyjechali tacy w czarnych skórkach, na czarnych motorach. Bez przerwy przeklinali. I bili się między sobą. Dobrze, że tylko między sobą.

— A nie można obejrzeć na wideo jakiegoś porno? — pytam.

— Nie! Przecież nie wolno — dziwi się kaowiec.

— Tak prywatnie? Wolno.

— Nawet nie mam takich kas.

Opowiadanie: Włodek i Leszek

Facet, który właśnie wyszedł z „Piastowskiej” obejmuje mnie z szyję.

— Ja jestem Włodek — przedstawia się. — A ten tam jest Leszek. Cieszy się?

Pewnie, że się cieszy!

Wzdłuż ulicy budki z frytkami, gofry, pizzerie. Idę do smażalni, która nie ma żadnej nazwy, ale przez klientów jest nazywana smażalnią „U Żyda”.

Kupuję oranżadę.

— Takiego napoju nie dostanie pan na całym Wybrzeżu — zapewnia sprzedawczyni.

Zdaje się, że już rozumiem, skąd taka nazwa.

— Są frytki? — pyta dziewczynka z czerwoną przepaską na włosach. Obok niej matka.

Matka przestępuje z nogi na nogę. Jest zdenerwowana.

— Nie będę czekać, zostawię cię samą, nie będę czekać — powtarza w kółko. Po chwili

zorientowałem się, że matka właśnie gdzieś znikła przystojna w wakacyjną znajomość. A tu córka uparła się kupować frytki. Na domiar złego jeszcze sprzedawczyni odeszła w głąb pawilonu. Wreszcie matka realizuje groźbę. Biegnie szukać swojego przystojniaczka. Dziewczynka zostaje sama. Łzy w oczach, ale usta zaciśnięte. Po chwili kupuje frytki i biegnie za matką.

Znow zaczyna padać. Przy dwóch ustawionych na powietrzu stołach siedzą młodzi ludzie. Stoły całkowicie zastawione kufkami. Większość kufki już pusta. Przybiega jeszcze jeden młody człowiek.

— Biercie Młodego i Starego. Zjeżdżamy.

Łatwo powiedzieć. Młodego jeszcze dało się jakoś dobrać i podnieść. Gorzej z Starym. Nie reaguje na nic. Wreszcie po jakimś bardziej energicznym szturchnięciu przewraca się cała ławka. Stary pada, pociągając za sobą jednego z budzących, i uderza potylicą o beton. To go otrzęźwiło. Zostały po

strzelaniu to co! — krzyczy na mnie.

Wycofuję się w stronę pobliskiej smażalni. Tutaj znow, tak jak w poprzedniej, stoły zupełnie zastawione kufkami z piwem. Przy jednym ze stołów siedzi szef naturystów. A przy innym... Nie wierzę oczom. Przecież to kaowiec, którego poznałem niedawno. Pociąga sobie piwo z kufki. No tak. Właściwie wideo i ma czas wolny. Może pospacerować. Wie, kiedy kończy się film. Wróci włączyć magnetowid. Wideo to jednak wygodna forma rozrywki. I jaka nowoczesna!

Włodek i Leszek

Plaża jest bardzo wąska i bardzo zadana. Widać ślady świeżego bronowania. To chyba zasługa agenta.

Na plaży jest jeszcze grupa kolarzystów z Panem Wychowawcą. Pan Wychowawca w dresie. A dzieci w wodzie. Miał

raudo? Skąd! — pokazuje w stronę tańczących wewnątrz okretu dziewczyn. — Widzisz ile panienek? Jest ciekawie, pod warunkiem, żeby się nie narwało na jakąś gawędziarę. Ja mam już uprawę. Odróżniłam natychmiast.

— A co to jest gawędziara? — pytam.

— Nie wiesz? — dziwi się blondyn. — Gawędziara to jest taka panienka, która lubi dużo mówić. A najbardziej lubi mówić o miłości. I jeszcze do tego rano płacze. Porządna panienka nie powinna dużo mówić. Porządna panienka lubi się kochać.

— Ale może chociaż powiedzieć jak ma na imię? — pytam.

— Tyle to może — niechętnie godzi się blondynek.

Opieram się o balustradę. Pokład pusty. Wszyscy na parkiecie. Minęła północ.

Blondynek przyprowadza chwiejącego się na nogach kędzierzawego.

— Leszy — przedstawia się kędzierzawy z trudem łapiąc

Łodzi. Andzia przyjechała na obóz młodzieżowy. Biedna, wymyka się cały czas pani kierownicze. Leszy też jest zdenerwowany. Zaprościł na dyskotekę Andzię, a przyszedł cały obóz. Do tego kierowniczka. Nie podoba mu się, że tak pilnuje młodzieży. Uważa to za bardzo zło i niekorzystne.

Rozmawiam z kierowniczką obozu. Nie puszcza swojej córki na pole namiotowe. Syna zresztą też nie. Opowiada mi, jaka wychowanka trafiła jej się na jednym z poprzednich obozów. Nie powiódł jej opowieści ze względu na zbyt drastyczne szczegóły. Powiem tylko, że sprawa dotyczy zachowania piętnastoletniej dziewczynki. Pani kierowniczka musi już iść. Andzia właśnie wymknęła się z Leszym.

Rozmawiam z Korkiem. Kork nie wchodzi w grę. Ceny alkohol nie schodzą poniżej pięciu tysięcy za butelkę. Kawiarnia jest mała. Bardziej przypomina hotelowy bar. Jest jeszcze „Koral”. Pięć stolików, a za szklaną ścianą sala do tańca. Wieczorem odbywają się tu dyskoteki. Trwają do wpół do dwunastej.

Plaża jest duża. Od czasu do czasu trafiają się niedopałki albo puste butelki. Od morza dmie silny wiatr. Za chwilę będzie padał deszcz. Spacerowiczów niewiele. Co kilka kroków napisy: „Chodzenie po kamieniach surowo wzbronione”. „Wprowadzanie psów surowo wzbronione”. „Psy przez z plaży”. „Skakanie z pał surowo wzbronione”.

Mija mnie grupa młodzieży. Śpiewają: „Bo my jesteśmy rockowcami i pijemy tanie wino...”

Na polu namiotowym nie mam z kim rozmawiać. Kierowniczka nie ma. Zastępcy nie ma. Miejsce też nie ma. Na szczęście spotykam grupę z Łodzi.

— Piwo kiepskie. I ukurza nas, że samochody stoją przy namiotach. Poza tym może być — mówi Wittek.

— Chłopcy nastawiają się na ostre picie — wyjaśnia Kasia. — Przez dwa tygodnie wydamy 60 tysięcy na trzy osoby. Wittek był tu już parę razy, wie gdzie można kupić piwo.

Wczorajem grupa z Wrocławia trenuje przed pobiciem rekordu świata w picciu piwa. Zamierzają wypić 84 litry na sześciu. Dziś to tylko trening.

Jeszcze na dzień do Uski

— Wyciągnęłeś szczęśliwy los — kpi Kerek.

Następnego dnia jadę do Darłowa

Sytuacja jest w zasadzie podobna jak w Rowach. W położonej nad morzem dzielnicy Darłowa — Darłówek znajduje się wiele ośrodków wczasowych. A przy bramie każdego ośrodka wisi tabliczka: „Obey wstęp wzbroniony”. Wczasowicze bawią się we własnym gronie. Mają swoje kawiarnie, swoje boiska. I swoje sale wideo.

Dostrzegam znajome już scenki. Młodzi ludzie pochyleni nad stołami zastawionymi piwem. Zaopatrzenie sklepów jest jednak gorsze niż w Rowach czy Uście. Brakuje chle-

ba, soli. Braki te uderzają przede wszystkim w mieszkańców pola namiotowego. Wczasowicze i mieszkańcy kwatery prywatnych mają swoje stołówki.

Największą atrakcją Darłowa jest zbudowany most. Kiedy jest podniesiony (a właściwie rozsunięty) nie można przejść z jednej strony dzielnicy na drugą. Ludzi to jednak nie denerwuje. Z napętem obserwują przepływające łodzie.

Inną atrakcją jest wodolot. Odbywają się spacery po morzu i rejsy na trasie Kolobrzeg — Darłowo.

Mimo tych atrakcji Darłowo wydaje się szare. Dużym zainteresowaniem cieszą się sklepy z pamiątkami i budki, w których sprzedają frytki, gofry, lody...

Kawiarnia „Diana” raczej nie wchodzi w grę. Ceny alkohol nie schodzą poniżej pięciu tysięcy za butelkę. Kawiarnia jest mała. Bardziej przypomina hotelowy bar. Jest jeszcze „Koral”. Pięć stolików, a za szklaną ścianą sala do tańca. Wieczorem odbywają się tu dyskoteki. Trwają do wpół do dwunastej.

Plaża jest duża. Od czasu do czasu trafiają się niedopałki albo puste butelki. Od morza dmie silny wiatr. Za chwilę będzie padał deszcz. Spacerowiczów niewiele. Co kilka kroków napisy: „Chodzenie po kamieniach surowo wzbronione”. „Wprowadzanie psów surowo wzbronione”. „Psy przez z plaży”. „Skakanie z pał surowo wzbronione”.

Mija mnie grupa młodzieży. Śpiewają: „Bo my jesteśmy rockowcami i pijemy tanie wino...”

Na polu namiotowym nie mam z kim rozmawiać. Kierowniczka nie ma. Zastępcy nie ma. Miejsce też nie ma. Na szczęście spotykam grupę z Łodzi.

— Piwo kiepskie. I ukurza nas, że samochody stoją przy namiotach. Poza tym może być — mówi Wittek.

— Chłopcy nastawiają się na ostre picie — wyjaśnia Kasia. — Przez dwa tygodnie wydamy 60 tysięcy na trzy osoby. Wittek był tu już parę razy, wie gdzie można kupić piwo.

Wczorajem grupa z Wrocławia trenuje przed pobiciem rekordu świata w picciu piwa. Zamierzają wypić 84 litry na sześciu. Dziś to tylko trening.

Jeszcze na dzień do Uski

— Wyciągnęłeś szczęśliwy los — kpi Kerek.

Następnego dnia jadę do Darłowa

Sytuacja jest w zasadzie podobna jak w Rowach. W położonej nad morzem dzielnicy Darłowa — Darłówek znajduje się wiele ośrodków wczasowych. A przy bramie każdego ośrodka wisi tabliczka: „Obey wstęp wzbroniony”. Wczasowicze bawią się we własnym gronie. Mają swoje kawiarnie, swoje boiska. I swoje sale wideo.

Dostrzegam znajome już scenki. Młodzi ludzie pochyleni nad stołami zastawionymi piwem. Zaopatrzenie sklepów jest jednak gorsze niż w Rowach czy Uście. Brakuje chle-

Pijani nie rzucają się tak bardzo w oczy na ulicach Uski, jak w Darłowie czy Rowach. Picie zaczyna się dopiero wieczorem.

Dwóch chłopaków i dziewczynka stoją przed tablicą: „Picie alkoholu na terenie MGOSiR surowo wzbronione”. Każde z nich trzyma w ręku półlitrowkę z czerwoną etykietą.

— Dlaczego na Wybrzeżu Środkowym jest tak nudno? — pytam w Wydziale Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Słupsku.

Przyznają mi rację. — Ale trzeba pamiętać — tłumaczy — że na Wybrzeżu Środkowym przyjeżdżają ludzie niezbyt zamożni. Przy tym są to ludzie, którzy przyjechali wypocząć, a nie bawić się. Naczelnik Leby wydał w ogóle zakaz prowadzenia głośnych imprez po pierwszej nocy. Poza tym nie mamy bazy. Teren jest niedoinwestowany. Dotąd nie było pieniędzy. Teraz, kiedy uchwalono dziesięcioprocentowy dodatek do cen, może się znaleźć.

— Takiego napoju nie dostanie pan na całym Wybrzeżu — zapewnia sprzedawczyni.

Zdaje się, że już rozumiem, skąd taka nazwa.

— Są frytki? — pyta dziewczynka z czerwoną przepaską na włosach. Obok niej matka.

Matka przestępuje z nogi na nogę. Jest zdenerwowana.

— Nie będę czekać, zostawię cię samą, nie będę czekać — powtarza w kółko. Po chwili

zorientowałem się, że matka właśnie gdzieś znikła przystojna w wakacyjną znajomość. A tu córka uparła się kupować frytki. Na domiar złego jeszcze sprzedawczyni odeszła w głąb pawilonu. Wreszcie matka realizuje groźbę. Biegnie szukać swojego przystojniaczka. Dziewczynka zostaje sama. Łzy w oczach, ale usta zaciśnięte. Po chwili kupuje frytki i biegnie za matką.

Znow zaczyna padać. Przy dwóch ustawionych na powietrzu stołach siedzą młodzi ludzie. Stoły całkowicie zastawione kufkami. Większość kufki już pusta. Przybiega jeszcze jeden młody człowiek.

— Biercie Młodego i Starego. Zjeżdżamy.

Łatwo powiedzieć. Młodego jeszcze dało się jakoś dobrać i podnieść. Gorzej z Starym. Nie reaguje na nic. Wreszcie po jakimś bardziej energicznym szturchnięciu przewraca się cała ławka. Stary pada, pociągając za sobą jednego z budzących, i uderza potylicą o beton. To go otrzęźwiło. Zostały po

strzelaniu to co! — krzyczy na mnie.

Wycofuję się w stronę pobliskiej smażalni. Tutaj znow, tak jak w poprzedniej, stoły zupełnie zastawione kufkami z piwem. Przy jednym ze stołów siedzi szef naturystów. A przy innym... Nie wierzę oczom. Przecież to kaowiec, którego poznałem niedawno. Pociąga sobie piwo z kufki. No tak. Właściwie wideo i ma czas wolny. Może pospacerować. Wie, kiedy kończy się film. Wróci włączyć magnetowid. Wideo to jednak wygodna forma rozrywki. I jaka nowoczesna!

Na plaży jest jeszcze grupa kolarzystów z Panem Wychowawcą. Pan Wychowawca w dresie. A dzieci w wodzie. Miał

raudo? Skąd! — pokazuje w stronę tańczących wewnątrz okretu dziewczyn. — Widzisz ile panienek? Jest ciekawie, pod warunkiem, żeby się nie narwało na jakąś gawędziarę. Ja mam już uprawę. Odróżniłam natychmiast.

— A co to jest gawędziara? — pytam.

— Nie wiesz? — dziwi się blondyn. — Gawędziara to jest taka panienka, która lubi dużo mówić. A najbardziej lubi mówić o miłości. I jeszcze do tego rano płacze. Porządna panienka nie powinna dużo mówić. Porządna panienka lubi się kochać.

— Ale może chociaż powiedzieć jak ma na imię? — pytam.

— Tyle to może — niechętnie godzi się blondynek.

Opieram się o balustradę. Pokład pusty. Wszyscy na parkiecie. Minęła północ.

Blondynek przyprowadza chwiejącego się na nogach kędzierzawego.

— Leszy — przedstawia się kędzierzawy z trudem łapiąc

Kiedy człowiek jest na luzie

nich puste kufle, przewrócona ławka.

Coraz bardziej pada.

Wychodząc ze smażalni spotykam mieszkaniec ośrodka, w którym gościłem przed chwilą.

— Szukamy pana. Tam przy kierowniku nie można było rozmawiać. Jakos głupio. Wie pan, jaka nuda tu panuje? Nie ma biblioteki. To znaczy nominalnie jest, ale już ją dawno rozkradli. Nie ma boiska. Nie ma nawet piłeczki pingpongowej. Jest jedna. Ostatnio się ugniotła, więc ją gotujemy. Może da się uratować? Bo tu nie można kupić. Cała rozrywka jest oparta na wideo. Tylko wideo i wideo. A porno jest. Oczywiście. Kaowiec robi o północy seanse dla wrażliwych. Przy panu nie pokaże Boi się.

Pytam, czy nie mogliby skończyć do Uski, żeby się rozzerwać? Nie mogliby. Ostatni autobus z Uski do Rowów jest o godzinie 17. Zresztą w ogóle jeżdżenie autobusami jest ryzykowne. Większe grupy mogą się nie zabrać.

Skręcam w boczną „uliczkę”. Jest tu strzelnica. Pijany mężczyzna strzela do paczki papierosów caro. Trafia dwa razy. Znow strzela.

Obliczam, że mimo wszystko jest to doskonały biznes dla właścicieli. Nigdzie w okolicy nie można kupić porządnych papierosów. A tu są. Zawsze ktoś będzie chciał spróbować. Razem ze strzałami próbnymi i przy uwzględnieniu zdarzających się od czasu do czasu strzałów niecelnych jedna paczka caro wychodzi po 250 złotych. Drożej niż w Łodzi u szatniarza pod ładą. Dziele się swoimi spostrzeżeniami z właścicielem.

— A pan myśli, że strut nie kosztuje? A przyjemność po-

ly zapowiedziane, że wolno płynąć tylko do pierwszej boi, ale oczywiście już są dużo dalej. W okolicy ani jednego ratownika. Już zmierzch. Skończyli pracę. Pan Wychowawca pokrzykuje, żeby dzieci wychodziły z wody. Nie odważa się jednak wejść za nimi. Zupnie słusznie. Woda zimna, wiatr zimny. Mam na sobie gruby, góralski sweter, ale czuję przejmujący chłód.

Zapadła noc

Wczasowicze wracają ze spacerów. Gdzie teraz można pójść? Co można zrobić? Do „Piastowskiej” nie zaryzykuje. „Słowiańska” zamykają mi przed nosem. Jest czynna tylko do 23. Wie kawiarnie: „U marynarza” i „Młotek” też już dawno nieczynne. Pozostaje mi „Thaif”. I tam też pójść.

„Thaif” to okret wojenny, ścigacz, przebywający na zastawionej emeryturze. Stanowi chyba jedną atrakcję Rowów. I jedną z najbardziej oryginalnych dyskotek w kraju. „Thaif” jest pod zarządem tego samego agenta, który ma plażę.

Barwne światła. Muzyka. Nagle słyszę brzęk i tuż przed moimi nogami rozbija się szkło. Chrupie pod butami. Patrzę w górę. No tak, wyleciała szyba. Widać zabawa jest przednia. Pojawiają się bramkarze.

— Naszym szefem jest Jarek — tłumaczy mi puciołowy blondyn. — Ale on poszedł do panienki. Jak na dłuższe posiedzenie, to nie wróci do rana. Możesz z mną zrobić wywiad. Ja rano idę na plażę i tam sprzedam. Potem sprzedam „Thaif”. A wieczorem stoję tutaj na bramce. Czy jest

równowaga. — Ja tu jestem bramkarzem. A w dzień pracuję jako ratownik. Co ci będę dużo gadał. Tu jest po prostu fajnie.

— Ty też umiesz odróżnić gawędziarę?

— Umieję. Jestem fachowcem. Ale nie powiem ci, jak to robię. Trzeba uprawy i wyczucia. Jest nas tu dużo. Nikt nam nie podskoczy. Wczoraj jeden gość chciał się postawić. Ale były metalowe schody. Bo wiesz, tu są takie metalowe schody, po których trzeba sprządnąć niesforne gościa. Ale schody są śliskie. Ktoś się może potknąć. I nieszczęście potowe. Tamten też się potknął.

— Dużo ludzi tak sprawdza?

— Zdarza się.

— A skąd macie tyle dziewczyn? Z pola namiotowego? Przecież one tam przyjeżdżają z chłopakami.

— No to co? Co nam to przeszkadza, że z chłopakami? Wiesz, przyjeżdżają też z rodzicami. Wtedy rodzice zostają na ośrodku, a one tu przychodzą.

— Ale muszą wrócić...

— Muszą albo i nie muszą. Wszystko zależy. Wiesz najgorzej jest taki, który cały czas lazi za dziewczyną. Zdarzają się takie mędy.

— No i co? Co będzie, jak się któryś postawi?

— No to ma pecha. Bo nas to nikt nie ruszy.

— Gdzie mieszkacie?

— Różnie. Niektórzy na polu namiotowym. Niektórzy w ośrodku. Pokoje dwuosobowe albo jednoosobowe.

— Jak dwuosobowe to chyba przeszkadza?

— Nie. Dlaczego?

Leszy musi już kończyć. Właśnie bajkuje Andzię z



MAREK
BLASZKOWSKI

Teatr na golasa

ze str. 1

w Gdyni, na czas przerwy wakacyjnej zatrudnieni w prywatnym teatrze „Meluzyna”. Czy nastąpi secesja grupy od sceny macierzystej? — tego dziś nikt jeszcze nie przesądza. Czas pokaże.

Gdy już wybrzmiały zasłużone, gorące oklaski i publiczność zadowolona, syta wrażeń rozeszła się do domów, oczekując w foyer na Hannę Bitner-Szymańską. Wszędzie reklamy „Baltony”, a przed przedstawieniem i w antrakcie lecał non stop w wielkim monitorze ruchome obrazy popularyzujące to właśnie rzutkie i dynamiczne przedsiębiorstwo handlu zagranicznego. Później dowiedziałem się, że „Baltona” jest szczytnym sponsorem prywatnego teatru w zamian za sówitą reklamę.

Przychodzi po paru minutach, już rozcharakteryzowana, pani właścicielka, dyrektorka i aktorka w jednej osobie i po chwili biegniemy (tzn. ja biegnę obok bardzo szybko kroczącej pani Hanny) do pobliskiego bistro, gdzie po chwili staje na stole zamrożony szampan i puchar z kostkami lodu.

Wypijamy za pomyślności teatru i jego dyrekcji. Pytam, czy można już mówić o sukcesie.

— Po trzech przedstawieniach mam wykupioną widownię na dwa tygodnie do przodu. Wszystkie bilety sprzedawane są z kasy. Nie działa, bo nie musi, żadna organizacja widowi. Bilety kupują widzowie indywidualni, zakłady pracy jeszcze pewnie nie wiedzą o naszym istnieniu. Gdy się dowiedzą, będzie jeszcze trudniej o bilety.

Kilkanaście dni po tej rozmowie dowiedziałem się od „swoich ludzi” w Gdyni, że tak się stało. Na początku sierpnia nie było już biletów do końca miesiąca, a przed teatrem pojawili się jacyś tajemniczy faceti, którzy rozmawiają przyciszonym głosem, niezwykle dyskretnie. Okazało się, że to — uwaga uwaga! — koniki! Oferują bilety po jedne dwa tysiące złotych, gdy w kasie kosztują po 1.300 zł, co też nie jest tanio w porównaniu z innymi teatrami. Bilety od koników są podobno kupowane z wdzięcznością. Tylko patrzeć, a z klientami złotówkowymi nie zechcą gadać. Dolary, funty, no, może franki szwajcarskie — to będzie odpowiednia waluta. A swoją drogą: koniki przed rodzimym teatrem — to zjawisko całkowicie w Polsce nieznanne.

— Jak długo trwało załatwianie formalności? Kto był za, kto przeciw? Jak zareagowało środowisko? — to pierwsze z brzegu pytania, których dziesiątki cisnęły się, by je zadać.

Hanna Bitner-Szymańska odpowiada:

— Załatwianie spraw urzędowych trwało zaledwie półtora miesiąca, a przygotowanie premiery 29 dni. Miałam duże poparcie władz lokalnych, a szczególnie Wiktorii Kuśniewskiej, kierowniki Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, niezwykle życzliwie nastawionej do mojego pomysłu. Z władz centralnych, sympatycznie i po ludzku postawionej do mnie w Ministerstwie Finansów — tam uzyskałam wszelką pomoc, łącznie z gwarantem finansowym. Brakiem zainteresowania i poparcia wykazało się Ministerstwo Kultury i Sztuki. W czasie mojej tam wizyty wszyscy ministrowie gdzieś wyjechali, a wyższy urzędnik do spraw teatru kazał mi przyjść za trzy dni, choć wiedział, że przyjeżdżałam z Gdyni tylko na jeden dzień. Oczywiście nie poszłam, bo nie zwykłam wyczechiwać na korytarzach. Nie uzyskałam poparcia także ze strony warszawskich władz SPATIF-u. W środowisku moje realizujące się plany wywołały szum, ba, huk wielki. Robiono co nieco, by mnie zniszczyć, skompromitować, oczernić, ale nie udało się to — co widać. Mój teatr macierzysty, czyli Dramatyczny, też pomógł, a ja w zamian położyłam w halu nowy dywan, zmieniłam oświetlenie na foyer, a premiera była — jakiej Polska nie widziała. W przerwie wszyscy widzowie pili szampana, a na bankiecie po przedstawieniu został mógł kto chciał, a nie tylko zaproszeni goście. Było wykwintne jadlo, luksusowe napitki na dobry początek. Trochę mnie drażni, że podciągnięto teatr pod „handel pletruszką”, czyli Zrzeszenie Prywatnego Handlu i Usług. Chcę, żeby mój teatr traktowano jako instytucję wyższej użyteczności publicznej — i dopnę tego.

Patrząc i słuchając pani dyrektor, nie mam najmniejszych wątpliwości, że dopnie swego.

— A ludzie, z kim pani pracuje?

— Zespół, to aktorzy Teatru Dramatycznego. To plus, bo mam ich wszystkich na miejscu. Zgłaszali się do mnie aktorzy warszawscy z propozycją grania w moim teatrze, ale na lipiec inni, na sierpień też inni. Z żalem nie skorzystałam z tych atrakcyjnych ofert, byłoby za dużo kłopotów z próbami, z przygotowaniem spektaklu. Pracownicy techniczni, to ci najlepsi z najlepszych. Pełnią oni jednocześnie po kilka funkcji — np. bileterka jest krawcową i szyje kostiumy — ale dobrze zarabiają. Nawet bardzo dobrze. Nie ma, na razie, żadnej administracji. Wszystko robię sama. Zatrudnię jednak księgowego, zejdą ze mnie obowiązki, których i tak mam w nadmiarze.

— Podatki?

— Oj, to strasznie skomplikowana sprawa. Nie mogę, na przykład, wypłacać sobie jako aktorce gaży we własnym teatrze, bo wiąże się to z niekorzystnym dla mnie obciążeniem podatkowym. Wolę jednak nie narzekać. Dobrze jest, jak jest.

Pani Hanna już wcześniej szukała samodzielności w teatrze. Prowadziła Teatr Faktu, gdzie grał m.in. Jerzy Zelnik, a później kabaret „Straszyno”, który odniósł duży sukces w poznańskim teatrze „Na piętrze”.

W programie do „Seksamerona” Hanna Bitner-Szymańska przedstawiona jest następująco:

„Aktorka, dyrektor teatru, współautor scenariusza. Kocha... męża, lubi... teatr, szanować pragnie... urząd skarbowy. Posiada nadmiar energii, oczekuje sensownych propozycji”.

Oczekiwanie na sensowne propozycje jest cały czas aktualne.

MAREK KOPROWSKI

Rzadkie to przypadki, ale tak się zdarza, że niektóre bardzo piękne kobiety nie mają szczęścia w miłości. Z niezrozumiałych przyczyn są jakby skazane na samotność. Wciąż podziwiane i adorowane, niepostrzeżenie pogrążają się w staropaniństwo. Niekiedy nawet umierają cnotliwie.

Taką nieszczęśliwą kobietą była siostra Elżbieta z pewnego szpitala. Nie wiadomo dlaczego panowała wręcz moda, żeby nie spać z Elżbietą. Nie spał z nią także doktor Havel, choć go prowokowała i zachęcała. A przecież doktor Havel, niczym śmierć, brał wszystko... Kochanka ordynatora mówiła, że to współczesny don Juan. On sam zaś uważał, że obecnie nie ma don Juanów, bo miejsce Wielkiego Zdobycy dawno zajął Wielki Kolekcjoner.

W erotycznej kolekcji Elżbieta mogła stanowić niezłą ozdobę. Miała cudowne ciało. Ale nikt nie chciał z nią iść do łóżka. I co więcej — gdyby któryś mężczyzna się zdecydował, to nigdy by się nie przyznał, ponieważ zostałby natychmiast wysmiany.

Kiedyś urządzono w szpitalu symposium. Przy kilku butelkach wina zasiadli: ordynator oddziału, młoda lekarka, doktor Havel, student medycyny Flajszman, odbywający praktykę, i siostra Elżbieta. Ta ostatnia wypila więcej niż przystoi pielęgniarce i zachowywała się wyzywająco załobnie. Zawsze zresztą miała wyzywający sposób bycia.

Elżbieta wyraźnie zalecała się do doktora Havela, lecz on ją odpychał od siebie. Był zrytowany witalnością dziewczyny. Nie mógł pojąć jej woli bycia ciałem i tylko ciałem. W końcu wygłosił karzącą opinię:

„Potrafi się pani otrześć biustem nawet o mężczyznę stojącego o kilka metrów od pani! W głowie mi się już kręci od tych wiecznych esów-floresów, które idąc opisuje pani swoim niestrudzoną tylko.”

Coraz bardziej pijana i podniecona Elżbieta zaczęła tańczyć. Kolysała biodrami i biustem zataczała kręgi wokół głowy doktora Havela. Reszta towarzystwa przyglądała się temu z dezaprobatą.

Elżbieta wyznała, że podobny taniec widziała na strypteasie w Wiedniu. Stryptease ten jej się podobał. Była tam Szwedka z ogromnymi piersiami, jakaś dziewczyna, która udawała, że się kąpie w samej pianie, i jedna Mulatka onaniująca się na oczach publiczności, co było najlepsze ze wszystkich.

W tym momencie zaśmiał się sztycherzo praktykant Flajszman. Po chamsku oświadczył, że onanizm to jest właśnie coś w sam raz dla niej... I poradził, żeby wzięła brom.

„Tymczasem zaś tyle Elżbiety, obciążonej całym materiałem pielęgniarstwa fartucha, wtrącał no pokójki niczym pięknie zaokrąglone słoisko, ale słoisko wygasłe i martwe (spowite w biały całun), słoisko, które obojętne i zakłopotane spojrzenia obecnych lekarzy skazywały na żalosną nieprzystojność”.

Nie zważając na uwagi ordynatora oddziału, siostra Elżbieta dalej tańczyła i groziła, że całkowicie się rozbiere, żeby pokazać, jak naprawdę powinna wyglądać naga kobieta. W samotnym tańcu jej tyłek był samym smutkiem. Można też powiedzieć inaczej, że smutek został zaklęty w kształt tyłka zmysłowej pielęgniarce.

Miała tak silną potrzebę ukazania swej nagości, iż zaczęła udawać, że się rozbiere. Powoli robiła symboliczny stryptease. A kiedy już niby wszystko zdjęła, usłuska Havelowi na kolana i poprosiła o jakiś środek pobudzający. Otrzymała z apteczki dwa silne proszki nasenne.

Pijana i znieczona poszła do swego pokoju. Tutaj bez świadków rozebrała się do naga. Następnie postawiła czajnik z wodą na gazie, położyła się na tapczanie i zasnęła.

Niewiele brakowało, żeby symposium zakończył się tragicznie. Na szczęście Flajszman, przechodząc obok korytarzem, poczuł ulatniający się gaz i w porę zakreślił kurek. Przerażony gapił się na śpiącą pielęgniarke.

„To ciało było cudowne. Leżało na wznak, z głową lekko przechyloną na bok i łagodnie skrzyżowanymi ramionami, tak że obie piersi były przytulone do siebie i przez to prześlicznie pełne. Jedną nogą Elżbieta była wyciągnięta, drugą zaś lekko ugiętą w kolanie, co uwiódłoby

wszaną krągłość ud i niewzruszoną gęstą czerń łona”.

W ten nieoczekiwany sposób siostra Elżbieta dopięła swego. Wkrótce bowiem całe towarzystwo zobaczyło, jakie piękne ma ciało.

Autor opowiadania pt. „Symposium”. Milan Kundera, zna dobrze psychologię kobiety nie chcianej i niezaspokojonej. W innym utworze z tomu „Śmieszne miłości. Anegdoty melancholijne” interesująco przedstawił zachowanie kobiety o podobnym temperamencie, lecz odpychającą brzydkiej. Szpetota uniemożliwia tu zaspokojenie natury. Bohaterka opowiadania „Edward i Bóg” jest osobą niezamężną, wojującą aktywną społecznie, dyrektorką szkoły. Kiedyś nazywano ją karzącym biczem klasy robotniczej. Podstarzała, wysoka, chuda, z czarnymi włosami i czarnym puszkiem pod nosem przypomina Cygankę. Zawsze lubiła młodych chłopców, ale z konieczności musiała wyładowywać się w działalności rewolucyjnej.

Pewnego razu zaprosiła do swej kawalerki młodego nau-

Czyms znacznie gorszym niż brak miłości, jest dla dojrzałej kobiety świadomość, że nikt jej nie chce...

Zew płci

MIROSLAWA SARBINSKA



czyciela, któremu groziło zwolnienie z pracy. Podpadnięty chłopiec, chcąc się przypodobać szefowej, nieopatrznie skłamał, że jest bardzo ładny i wcale nie jest stara, że on strasznie lubi brunetki... Nie więc dziwnego, że na kolejnym spotkaniu zadowolona kobieta postawiła butelkę koniaku i podjęła zabieg uwodzieleństwa. Mężczyzna zaś zrozumiał, że niebezpiecznie nie sprowokował los, że nie może już się wycofać i musi brnąć dalej. Poddając się nieuchronnej konieczności — w trakcie tańca położył niezaspokojonej kobiecie dłoń na piersi. Następną tego przeszły jego oczekiwania.

„Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, dyrektorka zaczęła witać się w jego ramionach, a następnie kosmata górną wagę przytknęła do jego ust. Pościągła go na tapczan i wijąc się dziko i głośno wdychając ugrzysła go w usta, a nawet w czubek języka, co Edwarda bardzo zabolalo”.

Później pobiegła radosna do łazienki, wzięła prysznic i wróciła w nocnej koszuli przybranej na piersiach koronkami. Nie wyglądało to pociągająco, lecz odpychająco. Zaskoczony i przerażony nauczyciel nie mógł się podnieść. Polecil jej, żeby całkiem się rozebrała. Ale i to nie pomogło. Stała przed nim brzydka, koścista, biała „postać, w której centrum, smętnie osieroczone, sterczał czarny gąszcz”.

Żeby pobudzić swoje ciało i uniknąć wielkiej kompromitacji Edward musiał najpierw upokorzyć dyrektorkę. Zatwardziałeś kazał uklęknąć i modlić się... Kiedy doszła do słowa „amen”, był gotów wypełnić przeznaczenie. Powłócił na tapczan spragnioną miłości, nie chciana przez mężczyzn, podstarzała rewolucjonistka. Nie żałujmy go jednak. Poniósł konsekwencje lekko myślnie gry z losem.

W poprzednim opowiadaniu kochanka ordynatora oddziału powiada, że niezaspokojone kobiety zawsze przynoszą pecha.

Może za duży przyjął kwantyfiktor, ale co w tym jest. Odnosząc podobne wrażenie. Prawdopodobnie wynika to stąd, że uśpione zmysły wybuchają jak wulkan. Wbrew naturze uwieczniona energia musi jakos znaleźć ujście.

Każdy zdrowy organizm, a szczególnie kobiety, musi regularnie odpowiadać na potężny zew płci. Przez ogromną większość dni w roku kobieta jest pobudliwa seksualnie i pragnie oddawać się mężczyźnie. A normalny mężczyzna stale odczuwa pożądanie i zachowuje gotowość seksualną aż do późnej starości. Tak częsta chęć spółkowania nie występuje u innych ssaków. W życiu człowieka seks nie służy tylko rozmnażaniu, lecz w równej mierze wzmacnia obojną więź. Nie ma prawdziwej miłości tam, gdzie życie seksualne jest nieudane. Religijnym bądź obyczajowym przesądem jest wiązanie seksu wyłącznie z prokreacją. Wszystkie racje pozabawiające człowieka największej przyjemności, jaką daje seks, są w moim przekonaniu wątpliwe.

W islamskim miejscu szczególności bogobojni mają wypoczywać „wyciągnięci wygodnie na łożach” wśród cienistych ogrodów i źródeł wodnych. Mężczyźni będą tam mieli „małżonki bez skazy” oraz „dziewczęta o zaokrąglonych piersiach — jednakowej młodości”. A co czeka w islamskim raj u kobiet? Nie wiadomo. Będą tam wprawdzie młodzieńcy jak „rozsypane perły”, ale przeznaczeni chyba również dla przyjemności panów.

Prorocy i święci widzieli kobiety raczej w piekle. Kobieta uchodziła za kusicielkę lepszą od diabła. Ale twarzom aniołów nadawano rysy kobiece. Prawie żaden anioł nie wygląda na typowego mężczyznę i żaden diabeł na typową kobietę.

Ta zadziwiająca ambiwalencja wynika być może stąd, że kobiety często ubóstwiano, lecz równocześnie miano im za złe, gdy jawnie okazywały nadmierne podniecenie i pragnienie zaspokojenia fizycznego. Kobiety miały być tylko posłusznym narzędziem rozkoszy, a nie inicjatorem i aranżerem. Miały być zawsze gotowe, kiedy mężczyzna chciał i mógł. Natomiast gdy one „bezcennie” domagały się, a mężczyzna nie mógł sprostać ich wymaganiom, to już była sprawa nieprzyzwolona i szatańska. Kobieta o dużym temperamencie seksualnym uchodziła za opętana. Przykładem takiej osoby jest Maude — bohaterka powieści „Sexus” Henry Millera. Pozwalała się skrycie pisać nawet w miejscach publicznych: w foyer teatru, na stacji metra.

„Kiedy tylko gasty światła w teatrze, zawsze rozsuwała nogi i pozwalała mi się ze sobą bawić. Bez oporu rozpinając mój rozporek i bawiła się kutasem w czasie przedstawienia”.

Podobne przygody erotyczne miewała w młodości solidna mieszcanka Emma Weiler z powieści Andrzeja Kuśniewicza „Trzecie królestwo”. W tajemnicy przed matką i nauczycielkami chodziła z chłopakami do kina i pozwalała dotykać swej intymności. Żeby nie musieli borykać się w czasie seansu, zdejmowała wcześniej w ubikacji majtki i chowała do łezki szkolnej. Ale mimo wszystko zachowywała dziewczęcość aż do nocy posłubnej.

W ciemnej sali kinowej pieściła obcego mężczyznę żona profesora Hermanna B., pani Helga, posiadaczka najzgrabniejszych nóg w całym Monachium, kobieta bardzo piękna i znakomicie ułożona. Z olimpijskim spokojem, wprawnymi ruchami pielęgniarce, robiła swoje, choć obok z drugiej strony siedział jej mąż.

„Przez chwilę wydawało mi się, że chyba coś zauważył. Palce Helgi na moment zniechęciły mi. Próbowałem jakoś dołknąć nakiętych nóg połą burberry. Ona znów podjęła swoje ze zdwojoną energią i wręcz mistrzowską uprawą, zmierzając zdecydowanie do celu, który wkrótce istotnie osiągnęła. Nachyliłem się gwałtownie do przodu, usiłując nie oddychać. Czulem, niemal słyszałem, jak bije mi serce. Pani Helga spytała perfidnie: — Czy panu przypadkiem, panie męczenniku, zrobiło się niedobrze? Duszno tutaj? — Coś tam mrugnąłem niewyraźnie, zapinając płaszcz na guziki. Widziałem kątem oka w mroku sali jak ona sobie ogląda zgietę palce dłoni bez ozdób, bez jednego nawet pierścienka, młeksie i gładkie jak jedwab, których siłę i energię zdolałem jednak na sobie przed chwilą stwierdzić”.

Piękna i zgrabna pani Helga była młodszą od swego męża o co najmniej trzydzieści lat. Asystowała mu przy najcięższych operacjach. Na podstawie jej zachowania w kinie można sądzić, że nie była usatysfakcjonowana seksualnie. Zew płci powoduje, że czymś znacznie gorszym, niż brak miłości, jest dla dojrzałej kobiety świadomość, że nikt jej nie chce... Poza pewnymi wyjątkami — potwierdzającymi regułę — każda kobieta pragnie, żeby ukończony mężczyzna ją „zerwał” i „wziął”, a potem „brał” jak najczęściej. Pospolite to może słowa, ale oddające istotę rzeczy. Kojarzą się zresztą z rajem, czyli ogrodem rozkoszy.

Ten festiwal zdycha...

ze str. 1

strzennie. Ciekawe tylko, dlaczego Hindus obserwujący grupę „Govinda” w trakcie mantrowania, powiedział: — hm... Szrywil się i odszedł.

„Rastafarianie” są mniej widoczni niż w latach ubiegłych. Może sprawiła to znikoma ilość zespołów reggae występujących tego lata na obydwu scenach. Z krajowych grup grających tę odmianę muzyki nieliczne reprezentują zadowolający poziom („Izrael”, „Kultura”, „Daab”, „Rozkosz”, „Gedeon Jerrubal”).

3.

Najwięcej powodów do zadowolenia mieli chyba ci wszyscy, którzy jechali by posłuchać ostrej, ciężkiej muzyki heavy metal. 15 zespołów, w tym 6-7 bardzo dobrych, co jakiś czas gromadziło przy obydwu scenach tysiące zwolenników „czadu”, a także kilku dziennikarzy oczekujących na jakiś satanistyczny eksces. Spotkał ich zawód. Sporadyczne konflikty między punkami i skinnami mimo obiecujących śmierć deklaracji kończyły się stosunkowo łagodnie. Diabelskich sprawek nie znalazło się na przysłowiowe lekarstwo.

4.

Część środków masowego przekazu od lat usiłuje stworzyć obraz rockowej Sodomy i Gomory, w jaką rzekomo zamienia się raz w roku wielkopolskie miasteczko Jarocin. Fakt istnienia tzw. alternatywy związanej z muzyką rockową ciągle jeszcze budzi zdziwienie części speców od kultury i nie zawsze skrywaną niechęć urzędników kultury zawiadujących. Tymczasem Jarocin jest miejscem, gdzie, jak na dion, widać rozbieżność pomiędzy ich pobożnymi życzeniami a wolą kilkunastu tysięcy uczestników festiwalu. Rock jest dziedziną sztuki, którą rozwija się, wypracowuje swój kanon estetyczny, ewoluuje w najróżniejszych stworzonych przez siebie kierunkach. To muzyka mająca już swoich klasyków i osiągnięcia, stymulująca rozwój innych rodzajów sztuki współczesnej (pop-art, jazz).

Źródła nowoczesnego rocka, z jego socjologicznymi uwarunkowaniami, tkwią w latach sześćdziesiątych, gdy w USA, a krótko potem w Europie, dojrzała rewolucja młodzieżowa, która zakwestionowała zastaną obyczajowość, kulturę i politykę. Lata siedemdziesiąte, gdy pojawił się ruch punk, przyniosły nowe spojrzenie na muzykę, nowy impuls oraz nową publiczność. Rock od samego początku był nośnikiem niepokoju, rozczarowań i tęsknot za lepszym światem. Walka z uniformizacją, zakrocznieniem ekologicznym, militarystką to treści obecne w tekstach wykonawców rockowych.

Niekiedy porównuje się Jarocin do Woodstock — wielkiego festiwalu miłości, pokoju i muzyki, jaki odbył się w 1969 r. w USA. Analogia jest trochę ryzykowna, niemniej obydwie festiwale łączą jeden wspólny motyw — wspólnota muzyków i publiczności, próba stworzenia oazy, wolności i nieskrępowania.

5.

W 1987 roku władze kulturalne „usiłowały wymusić kompromis programowy” na organizatorach festiwalu. Po polsku znaczy to daleko posuniętą ingerencję cenzury w teksty. W 1988 roku na cenzurę nikt się nie skarżył, za to służby porządkowe swą nieustanną obecnością dawały do zrozumienia, że luz owszem, ale porządek musi być. Do oazy wolności wkroczył system. Jedni zastanawiają się czy w tej sytuacji kontynuowanie festiwalu ma sens — została przecież naruszona jego podstawowa zasada: całkowita wolność wypowiedzi. Inni sądzą, że Jarocin zmienia się w rockową mutację Opoli. W 1988 roku Ministerstwo Kultury i Sztuki po raz pierwszy umieściło jarociński festiwal w kalendarzu imprez oraz przyznało dotację.

— Ten festiwal zdycha. Jesteśmy tutaj tylko dlatego, że chcemy zagrać dla was — powitał zebranych wokalista grupy „T.Love”. Leszek Winder stwierdził, że mizerny poziom artystyczny tego rocznego Jarocina świadczy o kondycji polskiego rocka. Trudno zgodzić się z tą opinią. Nie wystąpiło przecież wiele czołowych zespołów: „Izrael”, „Armia”, „Aurora”, „VooVoo”, „Sztynny pal Azji” i inne. Startujący w konkursie: „The Corpse”, „Blitzkrieg”, „Harry Krishna” utknęły gdzieś w meandrach niezrozumiałych decyzji kwalifikujących zespoły do konkursu. Np. „Blitzkrieg”, który w czasie przesłuchań, zwrócił na siebie uwagę profesjonalizmem i oryginalnością propozycji muzycznej, umieszczono w programie na drugiej pozycji, czyli o godz. 17. O tej porze publiczność właśnie zastanawia się, czy iść na koncert, czy nie. Płyta boiska jest prawie pusta. Na dodatek „fachowcy” od dźwięku nie potrafili znaleźć kanału gitary w stole mikserkim. Miało to miejsce na „dużej scenie” — prestiżowej.

6.

Mamy coś na kształt rynku muzycznego. Są koncerty, płyty, i radiowe nagrania. Jest to wynik działalności określonych osób. W świecie takich ludzi nazywa się managerami. U nas obowiązują termin „kierownik zespołu”. Najlepiej jednak „kierownik” byłby bezradny, gdyby nie sieć klubów studenckich, bez których promocja i egzystencja rocka byłaby niemożliwa. Można by wymienić około 30 nazwisk kierowników programowych klubów, którzy wiele zrobili dla rocka. Więcej niż ministerstwo. Rock to dla mi-sterstwa przede wszystkim „amatorzy”, którzy w przeciwieństwie do „zawodowców” — w myśl zarządzeń ministerstwa — powinni grać za kieszonkowe. Nawet gdy są w stanie zapłacić Halę Sportową na 5 tysięcy miejsc. Wiadomo jednak, że Polska zezwoleniem i zaświadczeniem wysokich komisji stoi, a urzędnicy od kultury roboty mają po same zerkawki. W związku z tym prawo podaży i popytu w muzyce i rozrywce musi poczekać na swego odkrywcę.

7.

Następny Jarocin odbędzie się w dniach 2-6.08.1989 r. Czy rzeczywiście będzie to festiwal robiony rękoma w „zakasanych rekawach tolerancji” (J. Harasymowicz) jak przewidują pesymiści.

ZBIGNIEW KRASINKIEWICZ



Mówi: Andrzej Sidorowicz

— Od pewnego czasu kieruje pan oddziałem łódzkim Krajowej Agencji Wydawniczej RSW. Jak pan się odnalazł w tym nietatwym dla książki okresie i środowisku?

— Pierwsze kontakty ze środowiskiem literackim mam już za sobą. Przyznam, że odwiekałem spotkanie; nie chodziło mi bowiem o kurtuazję, lecz — w oparciu o pełne rozpoznanie sytuacji, w jakiej się znalazłem i w jakiej jest KAW — pragnąłem przedstawić temu środowisku rzetelną informację, co zamierzamy, jak będziemy modelować plany wydawnicze. Muszę przyznać, że bardzo to przeżywałem. Wreszcie w kwietniu doszło do spotkania. Poszedłem spity, była to dla mnie ważna próba, zależało mi bowiem na rzetelnym ukazaniu sytuacji wydawnictwa i oczekiwań. Starałem się więc przedstawić całą złożoność, w jakiej znalazła się książka oraz uwarunkowania finansowe i konsekwencje z tego wynikające dla wydawcy; starałem się wreszcie zwrócić uwagę na to, co nas łączy: Autor pisze, bo ma czytelnikowi coś do powiedzenia, ma mu do przekazania własną wizję świata i ludzi, pisze z myślą o czytelniku. My z kolei jesteśmy po to, aby to autorowi — jeśli jego propozycja jest interesująca — ułatwić. Jednakże nie mogą lecieć sobie wazyć odpowiedzi na podstawowe pytania: jaką rolę ma ta książka do spełnienia, wreszcie, czy i kto ją kupi? Powiedziałem więc szczerze: wy piszecie, ja wydaję, lecz ja ponoszę ryzyko finansowe. Sądząc, że to spotkanie pozwoliło nam poznać się i rozeznąć wzajemne oczekiwania. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby autor, każdy autor, przyszedł i omówił posiadaną propozycję.

— Czy to, co dotychczas wyróżniało KAW, i w ogóle wydawnictwa RSW: szybkie wydawanie książek tanich i w dużym nakładzie, będzie zachowane?

— Dla mnie i zespołu jest rzeczą najważniejszą, aby maksymalnie skrócić czas wydawania książki. Nasze książki i tak ukazują się stosunkowo szybko (ok. 2 lat), jednakże nie jest to optimum tego, co byśmy chcieli uzyskać, choć, powiadam, są to warunki zachęcające. Wydajemy książki stosunkowo tanie. Nie zamierzamy naszych finansów ratować sрубowaniem cen. Jeżeli sytuacja finansowa oddziału będzie dobra, wtedy będziemy mogli wydawać więcej książek niskonakładowych, ambitniejszych, np. tomiki poetyckie, które nie muszą być drogie, aczkolwiek wymagają dużego wkładu pracy edytorskiej.

— Sytuacja KAW rokuje takie nadzieje?

— Jak powiedziałem, pierwszy okres poświęciłem wraz z zespołem na rozeznanie sytuacji, drugi — na przemodelowanie planu wydawniczego i, sądząc, że oferta z jaką wychodzimy, spotka się z zainteresowaniem czytelników. Rzecz w tym, aby obrót książką, a więc i gotówką, był szybki, wtedy zwiększają się nasze możliwości wydawnicze. Jednakże uzależnione jest to od dobrej informacji, a z tym bywa różnie. Trudno oczekiwać, aby z kilku wersów zapowiedzi księgarz mógł się zorientować w naszej ofercie.

— Jednakże książka nie jest zwyczajnym towarem, który, niczym przysłowiowa pietruszka, nim zwiędnie winien być sprzedany.

— Toteż idzie o to, aby stworzyć właściwe warunki do szybkiego wznawiania książek, które znajdują zainteresowanie czytelników.

— Co więc pan proponuje?

— Wyposażę księgarzy, bibliotekarzy, czytelników, w rodzaj informatora o naszych nowościach, w którym znajdzie się rzetelna, poszerzona zapowiedź, nawet z reprodukcją okładki książki, aby czytelnik zorientował się, co mu proponujemy i kiedy. Dalej, od niedawna wydawnictwa KAW sprzedawane są w naszej księgarni, przy ul. Piotrkowskiej 149. Jest to doskonałe miejsce badania rynku. Stały kontakt z księgarnią pozwoli nam stworzyć ofertę wydawniczą zgodną z oczekiwaniami czytelników.

Właściwa informacja o książce jest sprawą zasadniczej wagi. Podam przykład: Swego czasu wystąpiłmy z propozycją wydania książki pana Yoshidy pt. „Origami” (o sztuce składania z papieru), adresowanej do dzieci w wieku od 8 do 12 lat, w nakładzie 60 tys. egz. Od wyjścia z propozycją upłynęło sporo czasu, zmieniły się warunki, koszty wydawnicze, a zatem i założona cena. W rezultacie wstępne zamówienia zostały zmniejszone, kiedy książka w planowanym nakładzie ukazała się na rynku. Musieliśmy szukać nowych dróg zainteresowania — rozzesłaliśmy gotową książkę do naszych odbiorców i okazało się, że winniśmy przystąpić do powiększenia nakładu.

Im szybciej odzyskuję pieniądze, tym szybciej mogę wydawać nowe książki. Proszę pomyśleć: 50 proc. kosztów pochłania poligrafia i papier, około 30 proc. — rozpowszechnianie, dla wydawcy i autora pozostaje zaledwie 20 proc. Musi to nam wystarczyć na ciekawą i bogatą ofertę wydawniczą książki taniej, szybko wydanej i w dużym nakładzie. Dobrze wydanej.

— Czym się to wyrazi i z jaką ofertą wychodzicie?

— W ciągu ostatnich 4 lat wydawaliśmy rocznie około 25 tytułów różnego gatunku książek — od książek dla dzieci na koneserach kończąc. Być może uda nam się zwiększyć ilość tytułów, jeżeli zamierzania się powiodą. Mamy też w planach album malarstwa Wiesława Garbalińskiego w opracowaniu Andrzeja Gruna w cenie około 3 tys. zł. choć tego typu pozycje kosztują dziś znacznie drożej. Jest w naszych propozycjach seria, nazwana umownie „literatura i eros”, książek często nie wydawanych dotychczas. Rocznie zamierzamy wydawać w tej serii trzy pozycje, przy czym część nakładu w sztywnej oprawie, a więc droższej, a część w tańszej. Żeby utrzymać tradycję wydawania książek związanych ze światem filmu — takich pozycji mamy już kilka w dorobku — zamierzamy wznowić pracę Marli Kornatowskiej pt. „Film i eros”, jednakże wzbogacając o zdjęcia i pewne elementy treściowe. Z nowości tego gatunku przygotujemy książkę Jerzego Włoska pt. „Największe skandale Hollywoodu” oraz inną nowość — pt. „Samotne piękności”. Będą to biografie najslawniejszych hollywoodzkich gwiazd, które tragicznie zakończyły życie. Tradycyjnie już wydajemy kilka kryminałów, m.in. Jana Kroski pt. „Wiking”, książkę czytana obecnie w „Leście z radiem”. Wśród proponowanych nowości są także książki łódzkich autorów: Jana Sulgi Historia Tarota, pt. „Kolo fortuny”, Mirosława Kuźniaka „Porcelanowy amarek” Wiesława Jażdżyńskiego „Laurowo i ciemno”, Honoraty Chrościelewskiej „Kolorowe sny”, a także wiele książek dla dzieci i młodzieży.

— A jakie są pańskie osobiste zainteresowania?

— Z wykształcenia jestem politologiem, stąd pasjonuje się historią współczesną, szeroko rozumianą, a ponieważ moim hobby jest modelarstwo (samoloty, okręty), więc staram się zgłębiać wiedzę o poszczególnych modelach. A gdy tylko czas pozwala, sięgam po dobry kryminał.

— W pańskich słowach wyczuwam pewną nutkę czułości dla literatury dziecięcej, czyżby to były rodzinne fascynacje?

— Och, moje dzieci są już dorosłe, a wnuczka jeszcze nie interesuje się książeczkami...

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: MARIAN ZDROJEWSKI

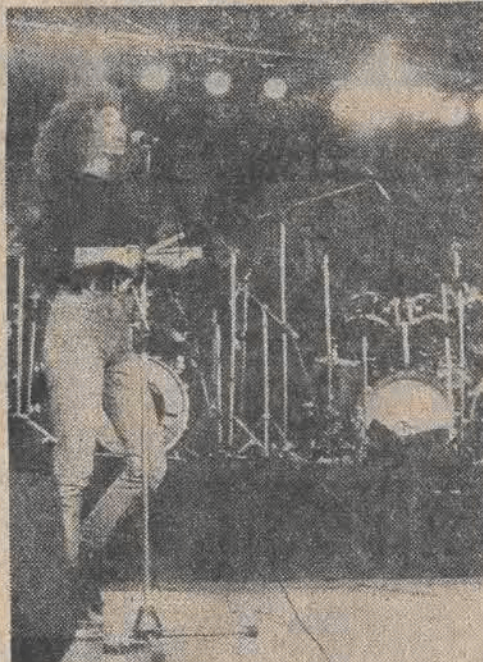
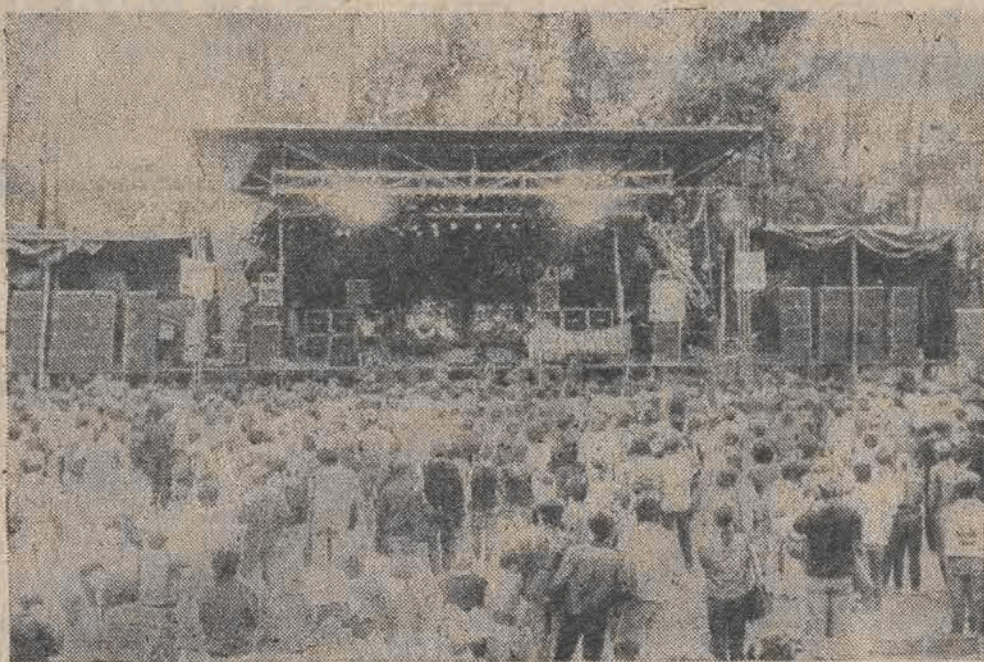


Foto: Paweł Relsing

Debiut

KATARZYNA GRDESINSKA

Najbardziej lubię leżeć
Na brzuchu na dywanie
(A tak podobno robią
Dziewczyny zakochane)
I podglądać nieskromnie meble,
Co mają pod spodem?
Na przykład stary fotel
Ma rzadką z trawy brodę,
Kwiatnik — ma krzywą nogę,
Tapczan zaś — jest jak baba
Wszystko przykrywa kleką.
Rozglądam się dokoła,
Może coś jeszcze dojrzę?
Może się przecież zdarzyć,
Że w którą stronę spojrzę,
I znielaczka, niechcący,
Wśród tyłu nog na podłodze
Odnajdę dwie odmienne
I głos — to ja przychodzę.

Nie ma wakacji w kulturze?

Podobno nie ma wakacji w kulturze. Postanowiłem więc sprawdzić jak to hasło przystaje do rzeczywistości.

Czynne są kina, muzea, galerie, ale to nie jest cała „kultura”. Zostały jeszcze na przykład domy kultury, już z samej nazwy predestynowane do jej upowszechniania, zarówno profesjonalnej jak i amatorskiej. Co się w nich dzieje? Jaka oferta spędzenia czasu mogą zaproponować ludziom, którym lato przyszło spędzić w Łodzi?

Rekonasane zaczęłam od Dzielnicowego Domu Kultury Łódź-Sródmieście. Tutaj akcja letnia była prowadzona przez cały lipiec. Wśród zajęć jakie organizowano przeważały imprezy dla dzieci, choć filmy wideo były także i dla dorosłych. Bardzo ciekawe były zajęcia dla dzieci pod nazwą „Plastyka i muzyka” — połączenie zajęć plastycznych i umuzykalniających. Z prac jakie zostały wykonane, po wakacjach otwarta będzie wystawa pokonkursowa, bo niedzielnym elementem wszystkich zajęć były konkursy z nagrodami. Urządzano także dyskoteki zabawy ruchowe i sportowe, zajęcia z komputerem. Wiele dzieci ze środowisk zaniedbanych, dzięki wychowcom zorganizowanym przez DDK po raz pierwszy w życiu zwiedziło Zoo i Lunapark. Zapewniono im, że mimo braków kadrowych wszystkim dzieciom, które się zgłosiły do DDK, w miarę skromnych możliwości zapewniono ciekawe zajęcia.

W Dzielnicowym Domu Kultury Łódź-Polesie sytuacja była inna. Zajęcia organizowano przez całe wakacje, lecz przede wszystkim dla dzieci. Oprócz tradycyjnych zajęć plastycznych, dyskotek i projekcji wideo odbywały się spotkania z muzyką, bajką, aktorem. Zorganizowano wyjazd pod nazwą „Trening twórczego myślenia” mający na celu kształcenie wrażliwości, rozwijanie wyobraźni, trening komunikowania się i twórczego rozwiązywania problemów. Co tydzień organizuje się w muzeum koncertowe na Zdroju imprezy, w której każdy znajdzie coś dla siebie — dorośli i dzieci.

Na Bałutach, po raz pierwszy do spółki z Klubem Sportowym „Budowlani” zorganizowano „Wakacyjną dyskotekę”. Frekwencja była wysoka. W każdą niedzielę w Parku im. Adama Mickiewicza organizowane są imprezy plenerowe z udziałem zespołów kabaretowych, muzycznych, plesni i tańca z kraju i zagranicy oraz artystów scen łódzkich. W pozostałe niedziele do końca wakacji występować będą jeszcze Jaga Paduch, Krzysztof Cwynar, Super Gonzo, Blue Felows...

W Widzewskim Domu Kultury, jeśli nie liczyć niedzielnych imprez „Dwie godziny dla zalogi”, trwa wakacyjna przerwa. Dom Kultury przy RSM „Lokator” z działalnością „rusza” od 1 września. A teraz? — wakacje! Co oferują? Jeśli nie remont, to przerwa wakacyjna. Inna rzecz, że na ciekawą imprezę dla dorosłych, bardzo dobrze rozreklamowaną, przychodzi trzy osoby, czasem pięć i to jest... maksimum.

MAK.

Recenzentka formuła „ostatni tomik poetycki” okazuje się — niestety — w tym przypadku jednoznaczna. „Misterium” to ostatni wydany już po śmierci poety tom wierszy Henryka Hartenberga. Większość utworów powstała w szpitalnych salach, gdzie (zdać by się mogło niepożyty i pełen inwencji twórczej) poeta walczył z cierpieniem i świadomością koniecznego przemijania. Ta świadomość wszakże sprawia, że wiersze te przywołują problematykę egzystencjalnych lęków w sposób dyskretny

Misterium słowa

przeciwstawiając im wrażliwość — poetycką nadczułość pozwalającą chwycić ulotną urodę życia. Odnajdziemy to w takim choćby stwierdzeniu:

(...) Rozsiadłem się ufnie pomiędzy dramatem
trwania
i błyskiem zuchwałego widzenia pomiędzy
grozą
Wspomnień i światłem wtulonym w żrenicę
ptaka
(s. 12)

Eklezyjstycznej gorzkiej mądrości, że wszystko marności autor przeciwstawia swój poetycki Kohelet mówiąc, że sens ludzkiego istnienia zawiera się między wielkim czasem natury — obojętnej i często okrutnej wobec ludzkiej istoty — a małym czasem naszego istnienia wpisane w historię i kulturę. Ten ostatni — kulturowy element — nie zanika w ostatnich utworach Henryka Hartenberga, choć — zdać by się mogło — życiowa sytuacja mogłaby powodować zamknięcie wypowiedzi w formie wyznaniowej liryki osobistej. Owa kulturowa tonacja ma wszakże swój rodowód wyprowadzony z wcześniejszych tomów Henryka Hartenberga — poety debiutującego w pięćdziesiątym roku życia i predestynowanego zatem do refleksyjnej, dojrzałej wypowiedzi poetyckiej. Jest on też wierny i w tomie ostatnim formie poetyckiej wprowadzonej już w „Cieniu ptaka” — retorycznej frazie wierszowej, która dramatyzuje przekaz, zaś jej pojemność informacyjna jest najodpowiedniejsza dla transformacji życiowej mądrości i stwierdzeń, w których mimo ich dramatyczności pobrzmiewa zawsze „nuta człowiecza”.

Nie ma jak lato!

Lato jest najjaśniejszym okresem dla kultury. Miałem okazję przekonać się o tym, gdy próbowałam znaleźć jakąś ofertę na miłe spędzenie czasu. Okazało się, że kultura w mieście zagrzebała się na letnich wywczasach. Zarówno teatry jak i estrada są nieczynne, tak więc ci, którym przypadł obowiązek pozostania w mieście, snują się po ulicach, domowych kątach i pozostaje tylko nie najciekawszy letni program telewizyjny.

Z kilku zaplanowanych na lipiec — sierpień propozycji (recitale, kabarety, koncerty) została jedynie niedziela na Zdroju — zoo, wesołe miasteczko i koncert na świeżym powietrzu. Ale co ma zrobić ktoś kto w zoo był już setki razy, kto — rujnując się, dzieci wysłał na kolonie i obozy, czy oszczędniej, do rodziny — sam z konieczności pozostał w zadymionym mieście? O nich należałoby pomyśleć nie tylko na papierze. Na tę porę roku nikt nie ma nam nic do zaproponowania, choć pozostaje w mieście tysiące ludzi, choć do tego miasta przyjeżdża w tym czasie tysiące turystów. Także z zagranicy! (Czyżby miasto nie mogło latem ściągnąć do siebie turystów, a co za tym idzie i pieniędzy? Z pewnością, gdyby tu

Charakterystyczny dla tych wierszy motyw wędrówki w przestrzeni i czasie, penetracja pokładów świadomości, przedzieranie się przez pamięć, notacja niełatwych sytuacji wiążących się często z biografią poety (por. „Wiersz o człowieku z workiem na plecach”) jest docho- dzeniem do SŁOWA. Ono to może uporządkować świat, przeciwstawić się jego entropii, dostarczyć sens „przepaści podłogi i srebra pajęczyn”, może wprowadzić ową tajemnicę pozio- wania, którą inny twórca nazwał „nieustającym

uroczystym zdziwieniem”. Tę władność słowa poetyckiego przywołuje wiele wierszy, o niej też mówi zakończenie wiersza „Z opowieści wieczornych II”:

Poznałem łaskę wziętyego patrzenia
Na świat
I wtedy objawiło mi się
Słowo — najprawdziwsze.

Słowo najprawdziwsze i słowo uwieszone — to dwa pojęcia kluczowe dla poetyckiego światobrazu Henryka Hartenberga. Są to nadto słowa inicjujące dialog i słowa pocieszenia (wiersze szpitalne) i słowa przywołujące zmarłych („W starym dzienniku”). Ci, którzy znali poe- te, wiedzą, że słowa te są także formą ocalenia, heroicznego wysiłku „wyjścia z ciemności”. Świadomość, że „słowo jest domem poety” oznacza, iż dom ten jest otwarty dla wszystkich, którzy chcą przede wszystkim „być” — istnieć autentycznie. Poeta budował te słowa przecież nie tylko dla siebie, ale dla każdego obdarzonego bodaj odrobina wrażliwością odbior- cy. Myśle, że takich odbiorców jest znacznie więcej niż owych 500 egzemplarzy tomiku prze- znaczonych do rozpowszechnienia.

HENRYK PUSTKOWSKI

Henryk Hartenberg — Misterium, Wyd. Łódzkie 1988, ss. 140, cena 180 zł.

PESTKI DYNII

Bodaj w Tuluzie (a może w Tulonie) młodzi artyści powystawiali swoje prace w pisuarach i ubikacjach mieszczących się przy kawiarniach, bistrach, restauracjach, na dworcu kolejowym, na lotnisku. Raz wystawili dlatego, że owe miejsca, duże czy małe, pełną zawsze dziwnym smutkiem i melancholią i zawsze czegoś im brakuje (oczywiście nie papieru toaletowego) — postanowili je więc ożywić, rozbawić i ubarwić. Dwa, że nigdzie indziej na świecie człowiek nie jest nastawiony bardziej kontemplacyjnie, niż właśnie w tych przybytkach; bardziej kontemplacyjnie i uważnie — znakomite zatem jest to miejsce dla prezentacji sztuki, zwąszywszy jeszcze, że w muzeach i galeriach ludzie tylko „odglądają” obrazy, ale nikt nad nimi nie zastanawia, nie zgłupia ich, nie stara się ich zrozumieć lub nimi nacieszyć... Słuchaj, i tak dalej pomysł się bardzo spodobał, zaś komentator TV oświadczył, że cała historia kultury Francji nie zna podobnego przypadku prezentowania sztuki w takich miejscach, i że być może jest to precedens w skali światowej. Jeśli byłoby to prawdą, to Francuzi znowu wniesli do ogólnoludzkiego skarba kulturalnego niebagatelną wkład; oni w tych sprawach — jak się okazuje — są niespozyci...

U nas też otwarto — my nie gorszy od Francuzów! — interesującą wystawę pod interesującym tytułem w interesującym miejscu: ARSENAL '88 — „Każdemu czasowi jego sztuka” — Hala Gwardii — Warszawa. Wystawa była potrzebna, czekało na nią obszerne pokolenie (piszę obszerne, bo przecież naprodukowały od poprzedniego Arsenalu 1955 uczelnie artystów co niemiara); niepotrzebne było poprzedzające ją zadęcie. Grały lantary i bębny jakby się car miał urodzić, dobrze, że nie strzelano z puszek...

O pierwszym Arsenale A. Osęka pisał — „Od- waga w malarstwie była synonimem odwagi politycznej, zerwanie ze schematami naturalizmu znacząco: zerwanie ze schematami w myśleniu o świecie. Dyskutowano o sztuce bardzo dużo. Problemy malarstwa, rzeźby, grafiki — stały się ważne dla wszystkich, i to bynajmniej nie dlatego, że mogły stanowić łatwą okazję do politycznej rozróby, do wznoszenia prowokacyjnych okrzyków. Zainteresowania wykraczały poza potrzeby chwili, dotyczyły meritum spraw sztuki XX wieku. „Nowoczesność” jawiła się jako ziem- nia obiecana, jako wielka przegródą wyobraźni, przegródą wspólną”.

Jan Kozłowski (Tygodnik Kulturalny) pisze — „Arsenal '88 zeżarł pospół: nadmiar dzieł — w pierwszym przypadku klepskich, w drugim — dobrych”. Zatem „utrwalił animozje, przenosił podziały — stemplując tyle głów piętnem udziału — na środowisko twórców najmłodszych”. Rozpoczyna się polskie piekło-gówieńko. Ale u nas młodzi artyści nie bardzo mają co zrobić. Guru-Kotański kilotów naszych nie uratował, toną w brudzie i nijak wystawiać — sztukę oczywiście; pozostaje Arsenale. Albo emigracja i otwarte wszystkie czyste sprace świata...; względnie sale Museum d'Art Modern...

ANDRZEJ GRUN



Rys. Andrzej Grun

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

STEFAN ZEROMSKI
W OCZACH CÓRKI

— Na początku prowadziłam dosyć koczownicze życie. Najpierw mieszkaliśmy we „Władysławce” w Zakopanem, po przyjeździe do Warszawy w pensjonatach oraz u mojej ciotki i wreszcie na Zamku Królewskim, krótko, ale wspaniale. W prawdziwym domu osiedliliśmy się dopiero w 1920 roku... W naszym domu wszyscy starali się zapewnić sobie idealne warunki, ale nie było to uciążliwe. Nie dawałam sobie nawet sprawy, że jako praca jest tak ważna. Teraz podziwiam jego dyscyplinę wewnętrzną i umiejętność gospodarowania czasem... Spałam krótko — sześć-siedem godzin i źle. Nie rezygnował z rozrywek. Rodzice ciągle mi uciekali. Chodzili do kina, teatru, na „fety i szopy” — jak ojciec nazywał spotkania towarzyskie. Przyjmowali wiele osób, najchętniej Osterwe, Skoczylasów, Jaracza, Kazimierza Kamińskiego, Miriam, Lorentowicz, skamandrytów. Ojciec uczęszczał na zebrań i posiedzenia, na próby awolich sztuk. Znajdował też czas dla obcych ludzi. Przychodzili do niego z najdziwniejszymi sprawami... Poza tym był bardzo

czynny społecznie. Zakładał kol- lejne instytucje, organizacje, m.in. Pen-Club, ZLP... W domu ojciec był pogodny, otwarty. Ty- le osób nas odwiedzało. On czę- sto chodził do „Ziemiańskiej”. Nieraz nawet mnie zabierał. Tam spotykał się z młodymi twórcami. Uwielbiał się śmiać. Prowo- kował Tuwima, Lechonia, Sio- nimskiego do opowiadania dow- cipów... Był już ciężko chory. Matka robiła wszystko, by jak najmniej złych wiadomości do niego docierało. Kilka razy wi- działam, jak wpadł we wściek- łość. Z równowagi wyprowadza- ło go tylko chamsstwo i brutal- ność... Przyszedł na Zamek. Sta- nał w drzwiach i powiedział jed- nym totem do matki: „Hanusiu. Nagrody Nobla nie dostanę, ale ty i tak pojedziesz do Paryża”. Widocznie jej to wcześniej obie- cał... (Z Moniką Zeromską rozma- wiała Małgorzata Cebo — „Ty- godnik Kulturalny” nr 33).

MŁODZI O MŁODYCH

„Młodzi i film” to popularne doroczne spotkanie w Koszali- nie poprzedzające wrześniowy Festiwal Filmowy. Wyróżniają się nie tylko projekcją filmów o młodych, lecz rozlicznymi im-

prezami towarzyszącymi, że wy- mienimy kursy dla nauczycieli, seminaria dla młodzieży, wykła- dy oraz imprezy specjalne jak np. przegląd „Młodzi i jej proble- my”. Na pokazach retrospek- tywnych prezentowane będą daw- ne filmy reżyserów polskich, któ- rzy dziś należą do czołówek. Do tradycji należą tu także bardzo żywe dyskusje widzów z twór- cami pod hasłem „Szczerość za szczerość”, zaś prezentowane w ramach spotkań filmy ocenia nieprofesjonalne jury.

„PAN CHOPIN,
OŚMIELONY...”

W połowie sierpnia zakończył się w Dusznikach Zdroju 43 już Międzynarodowy Festiwal Chopi- nowski. Jako kierownik artys- tyczny tegorocznego festiwalu zadebiutował młody, lecz mający już bogaty dorobek dyrygent Je- rzy Swoboda zwanym z Polską Orkiestrą Kameralną. Jemu też należy chyba zawdzięczać, że po- ziom wykonawczy tegorocznego Festiwalu był tak wysoki, a okre- ślał go udział tak wybitnych arty- stów jak Stefania Toczyńska, Grigo- rij Sokolow, Edward Auer, Ste- ven Hough, Krzysztof Jabłoński oraz licznych młodych wykonaw- ców z wielu krajów.

Festiwal w Dusznikach nawią- zuje do wydarzenia sprzed 162 lat, gdy „Kurier Warszawski” do- niósł o „polskim artyście Fry- deryku Chopinie, który z polecie- nia doktorów warszawskich, dla polepszenia zdrowia zostaje od- niejakiego czasu w Reinerou (Duszniki). Tam bowiem, gdy kilkoro dzieci przez ojca śmierć u wód na kuracji sierotami osta- ły się, P. Chopin, ośmielony przez osoby talent jego znające, dał dwa koncerty na dochód tychże, co jemu wiele chwały, a tym nieszczęśliwym niepospolite wsparcie przyniosło”.

JAN NOWICKI
O SOBIE

... Każdy człowiek czasem myśli: „rzucić to wszystko i zająć się czymś innym”. Z akto- rem jest podobnie. Wydaje mi się, że nie można być wyłącznie aktorem, podobnie jak pisarzem czy muzykiem. Sprawdzenie się w innych dziedzinach dostarcza nowych doznań, pozwala na dy- stans do zawodu. Na Zachodzie wielu aktorów postępuje w ten sposób. Ni stąd ni zowąd otwie- rają przedsiębiorstwa, kawiarnie, rzucają się w jakieś interesy. I wcale nie dla pieniędzy — chcą pokosztować czegoś nowego,



Rys. Sławomir Łucyński

Szansa na estetykę powszechną

Wartość estetyczna jest obiektywnym przymiotem każdego zjawiska, każdego przedmiotu, zespołu przedmiotów — twierdzi Tadeusz Pawłowski, autor pracy „Wartości estetyczne”. Zauważa jednak, że wartości te mogą być ukryte, potencjalne lub w drodze zgłębiania odbioru mogą zostać ujawnione.

Nie zamierzam jednak relacjonować tu tych poglądów. Estetyka tylko towarzyszy moim zainteresowaniom plastycznym, a problem, z którym mierzę się w tej pracy T. Pawłowski, powinien komentować specjalista. Bardziej zależy mi na odnotowaniu tej publikacji, jako że wyrosła na łódzkim gruncie — autor, mam nadzieję, nie poczuje się z tego powodu urażony — i że możemy się nią pochwalić. Już samo zamierzenie wydaje się frapujące: „Najważniejsze, ogólne cechy mojej koncepcji wartości — pisze autor we wstępie — to jej panestetyzm, obiektywizm, pluralizm oraz empirystyczne nastawienie (...). Zgodnie z założeniami panestetyzmu oraz obiektywizmu wartości estetyczna jest wszelki zespół własności dostępnych empirycznej kontroli, a więc każdy bodziec materialny — barwna powierzchnia, światło, ruch, znaki sensowne, teksty itp. Zdają sobie sprawę, że ten składnik koncepcji może wzbudzić najwięcej zastrzeżeń. Łącząc się one zapewne z uwarunkowanym długą tradycją sposobem widzenia problemu wartości (...). Panestetyzm wyjaśnia problem wartości estetycznych w sztuce awangardowej. Wbrew postulatowi awangardystów oraz twierdzeniom teoretyków, biorących dosłownie hasła programowe (...). Sztuka awangardowa nie jest estetycznie neutralna (...). Istotnym elementem uzupełniającym koncepcję panestetyczną jest pluralizm umiarkowany (...). Uznaje się w nim bardzo wiele odmian wartości. Pojęcie, pod które one podpadają, ma charakter otwarty. Oznacza to, że zbiór uznanych już wartości może być wzbogacony o wartości nowe, np. odkryte lub stworzone przez sztukę (...). Obiektywizm — cecha być może nie bardzo dziś modna — dopełnia szerszą koncepcję. Jest to jednak obiektywizm o nastawieniu empirystycznym, dzięki czemu podstawowe twierdzenia koncepcji poddają się kontroli szeroko rozumianego doświadczenia”.

Odnosząc te założenia na autorem, sądzę bowiem, że właśnie one stanowią o atrakcyjności poglądów budowanych w jego pracy. Spór o wartości estetyczne jest właściwie tak stary jak uświadomienie przez człowieka różnic: ładny — brzydki, dziś zupełnie nieprzystępny w analizie sztuki. Tadeusz Pawłowski proponuje nowe ujęcie tego problemu, nie jako sporu o coraz bardziej rozległego traktu rozwojowego. Sądzę, że gdyby Tadeusz Pawłowski zamieścił publikację bardziej popularną, w której ukazałby swoje poglądy niejako w zderzeniu z ówczesną sztuką dawną jak i współczesną, byłaby to lektura zarówno dla specjalistów jak i tych, którzy powiadają, że ich rozumienie sztuki skończyło się na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

P. S. Jak to się stało, że książka wydana w 1987 roku w łódzkich księgarniach, a może tylko w jednej księgarni pojawiła się w lipcu 1988 roku, wolałam nie dochodzić. Dobrze, że w ogóle się pojawiła.

K. N.
Tadeusz Pawłowski — Wartości estetyczne, wyd. Wiedza Powszechna, Warszawa 1987 r.

— Związał pan swą profesjonalną działalność z akordeonem, instrumentem, który — bądymy szczerzy — kojarzy się na ogół z muzykowaniem amatorskim.

— To fakt, się opinie na ten temat zmieniają się. Akordeon pozostał wprawdzie nadal instrumentem popularnym (w ogniskach muzycznych liczbą uczących się na nim grać przewyższa niejednokrotnie adeptów fortepianu), lecz równocześnie wkroczył na estrady koncertowe. Właśnie się to niewątpliwie z pojawieniem się wszechstronnie wykształconych wirtuozów-akordeonistów. Nie bez znaczenia są też udoskonalenia techniczne instrumentu oraz wzbogacenie literatury akordeonowej o kompozycje pisane przez twórców współczesnych. Z autorów krajowych wymienić można np. Bogusławskiego, Przybylskiego, Krzanowskiego, Natanson, Wiszniewskiego, Bargielskiego.

np. Bogusławski i Przybylski. Za granicą powstało ich dużo więcej. Przybywa więc utworów oryginalnych, pisanych specjalnie na akordeon, niemniej wciąż wykonywane są też dużo transkrypcji — od muzyki renesansowej po ragtime'y.

— Do autorów muzyki akordeonowej należy i pan. Czuje się pan bardziej kompozytorem, wykonawcą czy może pedagogiem?

— Jestem chyba jednakowo związany z tymi wszystkimi dziedzinami. Są one zintegrowane i wzajemnie się wspierają. Po ukończeniu w roku 1974 wykonawczych i kompozytorskich studiów w weimarskiej Franz Liszt Hochschule najwięcej czasu poświęcałem kameralistycznie i występom solowym. Grałem w Łódzkim Kwintecie Akordeonowym, założyłem potem Orkiestrę Akordeonową. Wstępowałem jako solista na



lando miechowe, przedecia, szum powietrza z miecha, klastery.

„Dać satysfakcję słuchaczowi...”

— rozmowa z BOGDANEM DAWŁASZEWEM.

— Czy akordeon jest więc instrumentem z przyszłością? Obserwujemy przecież ekspansję instrumentów elektronicznych o nielimitowanych możliwościach brzmieniowych.

— Kiedyś podobne pytanie stawiano w odniesieniu do gitary klasycznej, gdyż wydawało się, że wyeliminowana zostanie przez elektroniczne gitary zaopatrzone w rozmaite przetworniki barwowe. Tak się jednak nie stało i chyba akordeon również może czuć się bezpiecznie. Myślę tu o nowoczesnym instrumente koncertowym, posiadającym dużo większe, niż dawniej, możliwości kolorystyczne oraz techniczne — m.in. manualy melodyczne dla obu rąk. Pozwalają one na wykonywanie utworów polifonicznych i stosowanie wernych transkrypcji muzyki dawnej.

— Jakże perspektywy widzi pan przed tym instrumentem jako współczesny kompozytor?

— Ogromną szansę akordeonu uatrakcyjnia kameralistycznie. To do niego, że powstaje coraz więcej utworów przewidzianych łączeniu akordeonu z instrumentami smyczkowymi, detymi, organami czy perkusją. Osiągane są w ten sposób nowe, ciekawe efekty.

— Tworzy się także koncerty na akordeon i orkiestrę.

— Owszem. Takie kompozycje, wydane rozwijające pierwiastek wirtuozowski, napisali w Polsce

Poznańskiel Wiośnie Muzycznej i we Wrocławiu, nagrywał dla radia i filmu. Nie rezygnując z wykonawstwa, kompozytor zaczął też właściwie nieco później. Udało mi się bowiem wygospodarować potrzebną ilość czasu.

— I esłaga pan w tej dziedzinie całkiem interesujące wyniki, że wspomnę o pierwszych nagrodach w konkursach na kompozycje akordeonowe, uzyskanych ostatnio w Castelfidardo, we Włoszech, a potem w Salzburgu na konkursie ABC-Edition. Czy mógłby pan powiedzieć oś oś na temat własnego warsztatu kompozytorskiego?

— Jako kompozytor chciałbym iść z duchem czasu a zarazem dać satysfakcję i wykonawcy, i słuchaczowi. Stąd dbałość przede wszystkim o sprawy formalne, o logikę przebiegu, stąd nawiązywanie niejednokrotnie do form klasycznych. Pod względem warsztatowym utrzymuję się w nurcie uciążliwym. Unikam atonalności i aleatoryzmu, bazuję raczej na rozszerzonej harmonii romantycznej. Zależy mi, aby moja muzyka była w pełni komunikatywna dla jak największych kręgów odbiorców.

— Na czym polegają więc dźwiękowe poszukiwania?

— Dotyczy głównie kolorystyki i dynamiki, polegają m.in. na wprowadzaniu takich efektów, jak specyficzne wibrato, róbchete, tremo-

— Pisze pan także na inne instrumenty.

— Choć dąży przede wszystkim do poszerzenia literatury na „mój” instrument, niedawno skomponowałem np. utwór saksofonowy. Opracowuję ponadto muzykę teatralną dla Arlekina i Teatru 77 oraz ilustracje do filmów animowanych.

— Działalność artystyczną łączy pan z pedagogiczną.

— Jako nauczyciel akordeonu przeszedłem kolejno przez wszystkie stopnie szkolnictwa muzycznego. Obecnie uczę w łódzkiej Akademii Muzycznej i w PSM II stopnia. Lubie te prace, nie raz stawałem się także inspiracją do działań twórczych. Powstają mianowicie utwory pedagogiczne. Niektóre z nich znalazły się już nawet w programie obowiązkowym na konkursie akordeonowym dla szkół muzycznych w Międzyrzecz.

Rozmawiał: JANUSZ JANYST

Kronika

Z TEGOROCZNYCH KOSZALIŃSKICH SPOTKAN FILMOWYCH „MŁODZI I FILM” — nie napawających na przyszłość znawców kina optymizmem — dotarła do nas, dla ośrody, przyjemna wiadomość.

Reżyser Marek Skrobecki z łódzkiego „Se-Ma-Fora” wyróżniony został przez jury — za animowany film „Epizod” — „Jantarem”. Gratulujemy!

W NOWOJORSKIM MUZEUM EDISONA odnaleziono zapis głosu Lwa Tołstoja (w języku francuskim i angielskim).

Wypowiedź wielkiego pisarza, dotycząca jego filozofii życiowej i zasad moralnych, nagrana została w Rosji.

Kopie zapisu amerykańscy naukowcy przekazali muzealnikiem radzieckim.

JAK UJAWNIE PRASIE 67-LETNI

IVES MONTAND, jego nowa towarzysząca życia — 26-letnia Carole Amie — spodziewa się niebawem przysięcia na świat dziecka.

I któż mógłby jeszcze żywić wątpliwości, iż druga młodość nie istnieje?

SOLISTKA OPERY WROCŁAWSKIEJ, Izabella Kabuda, laureatka III nagrody w międzynarodowym konkursie „Belvedere” w Wiedniu — weźmie udział w imprezach artystycznych, które uświetnią olimpiadę w Seulu.

NA EKRANY KIN AMERYKANSKICH

Wszystkie skandynawskie filmy zainicjowała socrealna „Jestem kuzynem Chrystusa”. Realizatorzy odważyli się na wprowadzenie do wielu smutnych scen, omiatających całkowicie od przekazów ewangelicznych.

W czolowych rolach obsadzono znane gwiazdy. Jezusa kreuje bohater głośnego filmu „Pluton” — Willem Dafoe, zaś Poncjusza Piłata, znany w Polsce piosenkarz rockowy: David Bowie.

Ogromnym kolekcjon przed kinami towarzyszyły demonstracje konserwatywnych grupowań religijnych. Film spotkał się bowiem z ostrą krytyką ze strony hierarchii katolickiej. Krążyły nawet pogłoski o możliwości jego zdjęcia z ekranów.

Organizatorzy tegorocznego międzynarodowego festiwalu filmowego w Wenecji postanowili dopuścić kontrowersyjny „Ostatnie kuszenie Chrystusa” do wyświetlania w czasie tej imprezy — jednak tylko poza konkursem.

TE INFORMACJE PUBLIKUJEMY

ZE SZCZEGÓLNĄ SATYSFAKCJĄ.

Kilka dni temu, w Nowosolnej, ekipa filmowa WFF rozpoczęła zdjęcia do filmu „Powrót wabiszczura” — stanowiącego ekranizację powieści bardzo popularnego naszego redakcyjnego kolegi — Andrzeja Makowieckiego. Jest on również — dodajmy — współautorem scenariusza (ze Zbigniewem Rebdą).

Obraz ten reżyseruje Zbigniew Rebdz, a w głównej roli występuje Tadeusz Paradowski (aktor Teatru Polskiego w Warszawie).

Jak, czytelnicy tej arcyciekawej książki zapewne pamiętają, akcja jej rozgrywa się w małym miasteczku, odizolowanym pustynią, którego spokój zakłóca najście hippisów.

Dalsze plany będą realizowane w okolicach Częstochowy i Taszkentu. Trzymamy kciuki, aby film wypadł jak najlepiej i szybko wszedł na ekrany!

NAD JEZIOREM KRZYWE POD OLSZTYNEM

— w dniach 20-21 bm. — z okazji 30-lecia autostopu, odbył się wielki zlot uczestników i propagatorów tej atrakcyjnej i powszechnej formy turystyki.

WOJEWÓDZKI URZĄD TELEKOMUNIKACJI

w Łodzi służył kolejną „tradycyjną” obietnicę, że w roku 1988 ukaze się — wypatrywany niemal jak UFO — bestseller nad bestsellerami, czyli nowa książka telefoniczna. Na jej druk ma pójść 8 wagonów papieru, co pozwoliłoby „uszcześliwić” 120 tys. abonentów.

W POBLIŻU SYCYLIJSKIEGO MIASTA

AGRIGENTO powstaje muzeum, w którym prezentowane będą eksponaty związane z ceremonią zawierania związków małżeńskich.

Zwiedzający będą mogli poznać się nie tylko ze słynnymi obyczajami, ale nawet z menu, przy którym biesiadowali nowożeńcy i ich goście.

Czegoż to, ach czegoż, ludzie nie wymyślą?

PAUL MCCARTNEY — jedyny

wciąż jeszcze występujący członek zespołu „The Beatles” — udaje się na występy do Leningradu.

Zamierza w ten sposób uczcić, przypadające w tym roku, 30-lecie swej kariery artystycznej.

W KARLOVYCH VARACH —

z początkiem letniego sezonu — otwarto — pierwsze w Czechosłowacji — kasyno gry dla cudzoziemców. Uzyskane z jego działalności środki finansowe mają być przeznaczone na renowację i rozbudowę tego słynnego w świecie uzdrowiska.

OD 14 WRZEŚNIA br. w

Muzeum Archidiecezji Warszawskiej obejrzeć będzie można drugą część unikatowej kolekcji, ofiarowanej przez Janinę i Zbigniewa Porczyńskich — naszych niezwykle hojnych i przywiązanych do kraju rodaków z Wielkiej Brytanii.

Dzięki ich darowi muzeum zyskało z miejsca rangę światową.

Państwo Porczyńscy nie poprzestali jednak na tej darowiznie.

W tych dniach wzbogacił zbiory muzeum kolejnym darem. Obejmuje on m. in. dzieła takich wybitnych malarzy, jak: Jan Breughel, Andre Deraun, Benjamin West, John Constable, Ferdynand Bol, Raoul Dufy.

Niejedno ze słynnych światowych muzeów odtąd tylko takich zbiorów pozazdrości!

Opracował: JAK

Ludzie to kupią, ale...

Narzekamy na wysokie ceny biletów — do kin, teatrów, na koncerty, imprezy artystyczne. Okazuje się jednak, że w praktyce nie ma drogiego biletów. Przynajmniej na ciekawe i atrakcyjne wydarzenia artystyczne. Wystarczy przypomnieć, że na koncertach filharmoników z Izraela, czy chociażby recitalu Montserrat Caballe w Teatrze Wielkim w Warszawie frekwencja przekroczyła sto procent, aczkolwiek jeden bilet kosztował... 2.750 zł. Organizatorzy utrzymywali, że gdyby biletów było dwa i więcej, rządy tyle, też zostałyby wykupione. I to w tym samym czasie, gdy sale teatralne i koncertowe nie dają się zapełnić przy

imprezach stojących na średnim poziomie, mimo iż bilety bywały znacznie tańsze.

W roku ubiegłym ceny biletów na imprezy artystyczne wzrosły (średnio) w stosunku do poprzedniego roku o ok. 40 proc. Lecz wzrosły też dopłaty i wynosiły (średnio do jednego widza): w teatrach dramatycznych 1.353 zł (w 1986 r. — 1.035, a w 1985 r. — 873 zł); w teatrach lalkowych dopłaty wynosiły (do jednego widza) 504 zł (zaś w dwóch latach poprzednich — 391 i 331 zł). W operze i operetce — 2.332 zł (1.729 i 1.426 zł w dwóch poprzednich latach); w filharmoniach i orkiestrach — 428 zł (331 i 263 zł), natomiast w zespołach pieśni i tańca — 1.168 zł (718 i 532 zł w poprzednich dwóch latach).

Niższe były dopłaty do jednego widza w instytucjach artystycznych, których organem założycielskim jest minister kultury i sztuki, choć i w nich wzrosły by również w r. ub. niemały. Dla przykładu w Teatrze Wielkim w Warszawie — 224,00 zł (w 1986 r. — 138,34 zł), w Teatrze Narodowym —

127,58 (w r. 1986 — 84,63 zł), w Teatrze Raczycy-polskiej — 192,90 zł (w 1986 r. — 93,60), w Filharmonii Narodowej — 122,71 zł (w r. 1986 — 73,54 zł).

Wzrosły również ceny biletów do cyrków, dyskotek, lunaparków i estrad od 14,3 do 33,3 proc. W muzeach ceny biletów normalnych kształtowały się od 30 do 150 zł (w 1986 r. od 30 do 150 zł), a ulgowych od 15 do 90 zł. Ceny biletów na wystawy artystyczne wynosiły w ub. r.: normalne — 70 zł, ulgowe — 50 zł, grupowe — 30 zł, zaś w 1986 r. — odpowiednio 50, 30 i 20 zł, a rok wcześniej — 10, 5, 2 zł.

W roku ub. ceny biletów do kin były cenami urzędowymi i wynosiły średnio 71,7 zł (w roku poprzednim — 62,0), ulgowe zaś — 20 do 30 zł. Niektóre kina udostępniały część miejsc nieodpłatnie placówkom opieki społecznej. Bilety na przedpremierowe pokazy nocne wynosiły w r. ub. 150 zł (w kinie „Skarpa” w Warszawie — system „dolby-stereo” — do 200 zł). Mimo to działalność kin była deficytowa, a dopłata do jednego widza wyniosła 18,16 zł (w 1986 r. — 19,6, zaś w 1985 — 12,35). Przy tej okazji warto zadać sobie pytanie: jak w tej sytuacji radzą sobie agenci, którzy podjęli się w niektórych rejonach kraju prowadzenia kin? Chyba nie dopłacają do żadnego widza! Co więcej, muszą jeszcze świadczyć na rzecz przedsiębiorstw, w gestii których kino się znajdowało, muszą płacić podatki...

W roku ub. w kulturze obowiązywały w zasadzie ceny umiarkowane o czym poinformowała przedstawicielka resortu kultury Zespół Finansowania Narodowej Rady Kultury. „W zasadzie” gdyż ceny urzędowe ustalone jedynie na podroczniki szkolne i akademickie oraz na bilety do kin. Ponadto — w trosce o grupy najsłabsze ekonomicznie oraz o umożliwienie szerszym kręgom dostępu do dóbr i usług kultury — stosowane były różnego rodzaju preferencje. Dla przykładu: dzieci, młodzież, renciści i inwalidzi korzystali z ulgowych biletów na różne imprezy artystyczne (przede wszystkim masowe). Raz w tygodniu (poniedziałki) bezpłatne były wstępy do muzeów i na wystawy artystyczne.

Taka była sytuacja cen w roku ub. Na tegoroczne ceny w kulturze wpływ mają i będą miały podjęte oraz przygotowywane przedsięwzięcia ekonomiczno-finance, które w szczegółach opublikował swego czasu prasa. Są wśród nich m. in. przyniesane 20 proc. ulgi podatkowe przedsiębiorstwom obrotu książką, artykułami muzycznymi oraz przemysłowi muzycznemu i fonograficznemu czy wręcz ujednolicenie podatku od wynagrodzeń w dziedzinie kultury do 10 proc., a obniżenie podatku dochodowego do 50 proc.

Te i inne działania wpłyną hamując na wzrost cen w kulturze, ale nie zapobiegą ich wzrostowi, bowiem kultura nie jest odzwierciedleniem życia, lecz jedną z nich, podlegającą takim samym uwarunkowaniom, jak i pozostałe. Jednakże wzrost ten będzie mniejszy lub o wiele mniejszy niż w innych dziedzinach. W dotychczasowej polityce kulturalnej jest to praktyka całkowicie nowa, będąca konsekwencją traktowania kultury — co też jest nowością — jako tej dziedziny, której stan rzutowa na ogólny poziom społeczeństwa, a przez to na funkcjonowanie pozostałych dziedzin życia i gospodarki.

M. B.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

sprawdzić się w innych warunkach. Bo aktorstwo w pewnym momencie zaczyna nużyć, zaczyna brakować bodźców. I wtedy wspaniale byłoby doznać takich impulsów, dzięki którym moja pięćdziesięcioletnia krew popłynęłaby szybciej. Ale zawodu nie potrafiłbym się wyrzec. Chciałbym go natomiast inaczej wykonywać. Nie robić czterech czy sześciu filmów rocznie, wciąż w pośpiechu, tylko mieć czas na wybieranie, dopracowanie, na pracę dla przyjemności.

Kiedyś myślałem, że mógłbym realizować się także jako pedagog, może również pisząc... Pisywałem przez jakiś czas felietony dla „Sceny”. Nazywały się „Mwili z tamtego miesiaca”. Redakcja była zadowolona, dostawałem nawet sporo listów od czytelników, ale gdy zaproponowano mi napisanie dużego cyklu, który miał później szansę ukazać się w formie książki, nie mogłem się zdecydować. Wtedy uważałem jeszcze, że mój zawód nie lubi drugich i trzecich miłości... Chyba nie spodziewa się pani, że powiem o sobie całą prawdę. W takiej rozmowie muszą być i rzeczy wymyślone i parawany, za którymi można się schować. Prawdą bywa na ogół nudna i mało efektowna, a poza tym nikt nie jest jej ciekawy... (Z rozmowy)

wy Moniki Wysogład z Janem Nowickim dla tyg. „Film” nr 33).

ZAPOMNIANY?

W rubrykach literackich dzienników i tygodników parwskich odnotowano ukazanie się pierwszego tomu „Dzieł zebranych” zmarłego w 1966 r. André Bretona. Tom ten, opracowany przez wybitną znawczynię surrealizmu panią Marguerite Bonnet, zawiera m.in. obok najbardziej znanych pozycji z twórczości Bretona (np. „Nadja” czy „Manifest surrealistyczny”), także mniej znane utwory, wśród nich Dziennik, pisany przez poeie w latach 1920—1921, a interesujący szczególnie ze względu na intymny charakter zawartych w nim zwierzeń.

Na marginesie wydania pierwszego tomu dzieł Bretona francuscy krytycy literacy zaświadczają, że do tej pory sława Bretona wyraźnie przewyższała r. z. wista znajomość jego utworów. Podkreślali oni równocześnie, że

prawdziwa kariera dzieła Bretona jest jeszcze piękna przyszłości, skoro do tej pory większość jego wierszy czy manifestów literackich pozostała w rzeczywistości nieodczytana i pozwalała różnorakie, czasami wykluczające się wzajemnie, interpretacje.

NOTOWANIA NA GIELDACH KSIĄŻKOWYCH

„Słownik geograficzno-krajoznawczy Polski” — 2800 zł; „Mała Encyklopedia Techniki” — 800 zł; Edmund Kosiarz „Wojna na Bałtyku X—XIX w.” — 1400 zł; Freud „Wstęp do psychoanalizy” — 1200 zł; „Wenus polska” — 750 zł; Leon Feuchtwanger „Goya” — 1500 zł; Ryszard Nuszkiewicz „Uparci” — 850 zł; Henryk Witkowski „Kedyw” — 850 zł; Władysław Gąsiorowski „Huragan” — 1000 zł; „Polska. Zarys encyklopedyczny” — 3500 zł; Oskar Sobański „Aktorzy dawni, aktorzy nowi” — 600 zł; Maria Rzepińska „Siedem wieków malarstwa europejskiego” — 4900 zł; „Stefan Kardynał Wyszyński Prymas Polski” (wyd. albumowe) — 2600 zł; „Vincent Van Gogh” (album) — 1600 zł; Alfred Manfred „Napoleon Bonaparte” — 1500 zł.

No, teraz mogą już ze spokojem kontynuować to przerwane na okres wycieczki za ocean opowiadanie. Pan wybaczy staremu człowiekowi, ale jak się dowiódł o gadaniu... Zresztą komu jeszcze i kiedy będzie miał okazję opowiedzieć o tych sprawach? Pan mnie przynajmniej spokojnie słucha. Włóż niech pan to zapamiętać, że ów świat wielkich przestępstw i gangsterów, którzy przeszli do legendy, rodził się nie tylko w wioskach Sycylii, ale także w brudnych żydowskich miasteczkach i żydowskich piwiarniach Warszawy czy Łodzi, w portowych knajpach Odessy, w piwnicach Nalewek, w ruderach Bałut, w cyrkulach czy więzieniach — wszędzie tam, gdzie działały niepisane prawa dintojry. Wyrosły one z getta obyczajowego i ze złudzeń, jakie stwarzał sztuczny bunt przeciwko paragrafom państwa gojów. Ta wspólna genealogia łączy Lepke Buchaltera z Nowego Jorku ze Slepym Maksym z Łodzi i Benią Krzykiem, królem odeskiej Moldawianki.

Oczywiście, ma pan rację, Łódź to nie Nowy Jork ani nawet nie Odessa, a Słupy Maks... Ale muszę panu wyznać, że gdyby uwierzyć we wszystko, co o sobie opowiadał Słupy Maks, to zapewnił by rację jego historiami całe tomy, a scenarzystom filmowym dostarczył tematów na wiele, wiele lat. Tylko że niestety, między nami mówiąc, Słupy Maks był mitomaniem, chociaż to głównie jego zasługą, że Łódźka dintojra opróżniała blask własnego, specyficznego kolorytu... Wiesz głosiła, że z tryumwiratu, który rządził Łódźką dintojra, najstarszy był Fajwel Bucik, a nieważliwie najzamożniejszy Szajka Magnat, właściwie Zylberszak, swój przydomek zawdzięczał temu, że posiadał na Bałutach autentyczną własną kamienicę — takie dobro i w takim punkcie bardzo się liczyło.

Przyszła wojna i nawet dintojra rozpadła się jak domek z kart, Fajwel Bucik zniknął gdzieś bez śladu w zawierusze wojennej. Śmierć miał prawdopodobnie bezimienną, jak wielu jego braci. Szajka Magnat, o którym będzie w tym opowiadaniu szerzej mowa, znalazł się w Łódzkiej getcie, a Słupy Maks, wyszedłszy szóstego września z Łodzi, zatrzymał się dopiero w Kałęczynie. Przeżył wojnę, wrócił do swego rodzinnego miasta i odczuwał realnie nowy układ sił doszedł do wniosku, że czasy dintojry się skończyły. Zabrał się do uczciwego handlu. Umarł po paru latach jak przyzwolony Żyd, a nad je i grobem odśpiewano „El moie rachimim”. Jak przyjeżdżał jego duszę na tamtym świecie — nie wiem. Może kiedyś się dowiem, ale wcale mi do tego nie spieszy. Mogłoby więc pan pomyśleć, że dintojra skończyła się pierwszego września, z inielem wybuchu wojny. Otóż nie. Gdyby tak było, nie zwracałbym panu głowy całą tą historią.

Wróćmy jednak do owych czasów zaprzeczonych. Kiedy Żydzi Łódzcy, nieświadomi czekających ich doświadczeń, gonili za kawałkiem chleba i za swoimi marzeniami i tęsknotami, które zaprzęgał do codziennego kłatu zmartwień. Jak już panu powiedziałem, na żydowskiej ulicy imienia Fajwla Bucika, Szajka Magnat czy Słupy Maks wymieniało z nabożeństwem. Przede wszystkim Słupę Maks. Nie tylko dlatego, że mu się udało, że się wzbili ponad przeciętność i ponad szaryzno, a jego nazwisko spotykano w prasie jak nie przymierzając nazwiska Ussera Ko z Widzewskiej Manufaktury czy boksera Szaps Rotholca, co to przyłożył Niemcowi, ale przede wszystkim dlatego, że dla wielu udręczonych troskami Żydów stał się postacią legendarną, kimś w rodzaju Janosika czy Robin Hooda, aczkolwiek mógł pan przysiąc, że trudniłby na tej żydowskiej ulicy znaleźć wielu, którzy by wiedzieli, kim był Janosik czy Robin Hood. Przy czym niech pan zważy, że w ogóle nie wiemy, czy obydwa bohaterowie legend w ogóle żyli, podczas kiedy Słupy Maks był człowiekiem z krwi i kości, który w smutnych czasach Łódzkiej rzeczywistości międzywojennej na swój sposób regulował pozeranie biednych i słabych tego świata przez bogatych i bezwzględnych rekinów.

So awy, które rozstrzygała dintojra, rzadko wychodziły poza krąg zainteresowanych. Sam pan rozumie, że protokoły za-

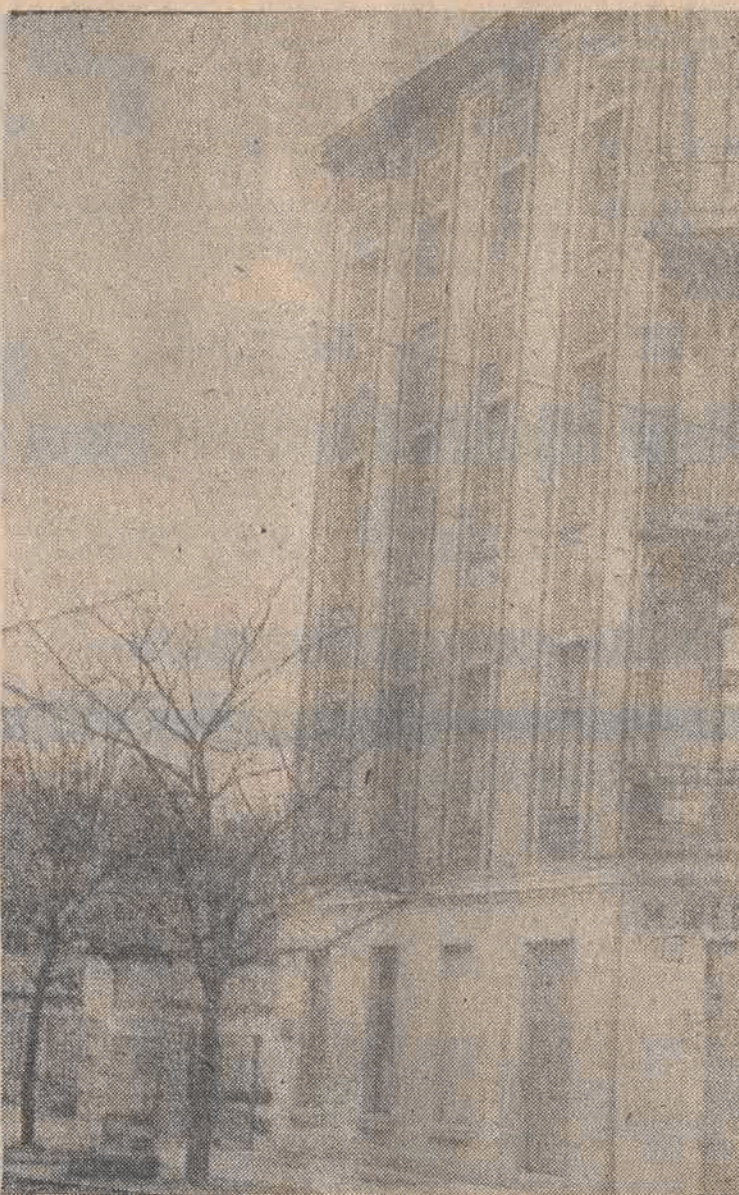
dnych tam nie prowadzono, a ci, których decyzje to dotyczyły, dowiadawali się o nich bezpośrednio. W różny sposób. Ustnie albo — lecz to było rzadkie — za pomocą kawałka ołowiu. Nie ma już nikogo, kto mógłby panu udzielić dokładnych informacji. Ziemia pochłonięła prochy tych, którzy wyroki czy decyzje wydawali, jak i tych, których one dotyczyły. Wspomnienia, pamiętniki, powiada pan? Nie wierzę, aby Słupy Maks już jako solidny Maks Borensztajn pisał jakieś wspomnienia. Nie wierzę, bo Maks nigdy pisać nie lubił, a złośliwi twierdzą, że nigdy nie umiał. Ale nawet gdyby coś po sobie zostawił, to kto wie, co w tych relacjach jest prawdą, a co zmyśleniem? Natomiast mogę tutaj, przy pańskim biurku wyjaśnić panu, na czym polegała ta część działalności Słupę Maks, która mu zyskała sławę obrońcy pokrzywdzonych. Zresztą była to strona jego działalności całkowicie legalna, albo, powiedzmy lepiej, toczyła się ta działalność na wąskiej granicy oddzielającej legalność od poczynania nielegalnego zgodnych z prawem... Jeśli bym pan zapytał, co skłoniło Maks do tego rodzaju aktywności — chęć łatwego ostatecznie zarobku przy poszanowaniu, no powiedzmy, przy niezbyt znacznym pominięciu prawa czy godna też podziwu ochota pomagania bliźniemu — nie umiałbym odpowiedzieć. Po co się zresztą nad tym zastanawiać? Gdy oglądamy piękny kościół wzniesiony sumptem jakiegoś bogatego filantropa nie zastanawiamy się, jaką część naszego zachwytu zawdzięczamy wyrachowaniu dobroczyńcy, że przekupi tym kościołem Pana Boga, a jaką bezinteresownej chęci wzniesienia pomnika na chwałę Wiekuistego? Zostawmy więc, takie rozważania na bok, ale zwróćmy, jeśli pan pozwoli, uwagę na inny znamieny fakt. Okazuje się bowiem, że normy etyczne świata, w którym panował Słupy Maks, były przydatne zarówno wtedy, kiedy rozsądzał sprawy dintojry lub kiedy wykonywał jej wyroki, jak i wtedy, kiedy brocił małuczkich przed wielkimi.

Słupy Maks prowadził oficjalnie i legalnie biuro pisań podał. Mieściło się ono na Sienkiewicza pod numerem dwiętnym. W przedwojennej książce telefonicznej znalazł się pan zarówno ten adres, jak i odpowiedni numer telefonu. Spróbuję panu wyjaśnić, jakie funkcje ono pełniło, bo dla pana, jak mi się wydaje, szczególnie dotyczące przeszłości są ciekawe tylko wówczas, kiedy wywołują się z opowieści jak obrazek kaskomanii spod ścieranego palcem papieru: w bogatej palecie barw.

Podania to była wówczas dla małuczkich jedyna droga dotarcia do odległej władzy. To był porost między rządzącym społeczeństwem a rządzącą administracją, oczywiście pomost o ruchu jednokierunkowym. Podania zawierały zarówno prośby o pracę, jak i o zmniejszenie podatku czy rozłożenie go na raty, zarówno prośby o odwołanie sprawy sądowej, jak i o zwolnienie z wojska, o odwołanie eksmisji i o przyjęcie do szkoły...

Co? No, w jakimś sensie ma pan rację. Świat w zasadzie nie bardzo się zmienił. Tylko, widzi pan, dzisiaj jest znacznie mniej tych, którzy nie potrafili by sami takiego podania napisać, a już w ogóle nie ma takich, dla których język polski byłby przy pisaniu takiego dokumentu przeszkodą nie do pokonania. Jednym słowem, dość liczne wówczas biura pisań podań były często ostatnim ratunkiem dla biedoty w ogóle, a dla biedoty żydowskiej w szczególności, dla niej bowiem ówczesna władza z pewnością nie była łaskawa. Pisanie podań przez specjalistę z takiego biura, jakie prowadził Słupy Maks, dawało być może tym biedakom podobne złudzenie skuteczności, jakie dawały kartki z życzeniami zawiązane w żółtą frawę rosnącej na grobach cadyków lub wkładane między kamie i ściany placu w Jeruzolimie. Z tą różnicą, że na podania cbywateli, nawet jeśli to byli Żydzi, władza musiała odpowiadać, a zmarli cadycy...

Jak więc powiadam, prowadził Maks biuro podań. Chociaż już sam wygląd tego pomieszczenia wskazywał, że biurowe urządowanie znajdowało się tu raczej na planie drugim. Było to biuro i jednocześnie mieszkanie. Wprawdzie siedział tam jakieś maszyniści oraz urzędował regularnie jakiś prawnik, ale główną ozdobę tego lokalu i jego, można powie-



Prawdziwy koniec łódzkiej dintojry (2)

ARNOLD MOSTOWICZ

dzień, potencjał wykonawczy stanowiła stale urzędująca w przedpokoju grupa pięciu czy sześciu drabów, bandziorów. Jakich nie żyć panu nawet we śnie spotkać na ciemnej ulicy. Co też biuro podań Słupę Maks zajmowało się kłopotami czy sprawami, w jakich swoim klientom inne biura raczej nie przychodziłyby z pomocą. Otóż Słupy Maks na swój sposób pomagał nierychliwemu prawu. Nie działał wbrew prawu — broń Boże Raczej w duchu tego prawa. Jeśli jakiś

młody człowiek obiecał porządnie żydowskiej dziewczynie, że się z nią ożeni, i jeśli z nim do tego doszło, zagarnął jej posag i, Boże uchowaj, uszczknął z jej wianka, to gdzie taka dziewczyna miała wówczas szukać sprawiedliwości? W komisariacie? W sądzie, przy pomocy kosztownego adwokata? Na to nie miała pieniędzy, nie mówiąc już o tym, że młody zaletnik zdążyłby sto razy zniknąć i tyle samo razy przebrać posag. Szukanie go przy pomocy władzy, która miała

inne sprawy na głowie, miało taki sam skutek, co modlitwa o to, by Pan Bóg przywrócił utraconą cnotę. Natomiast na Sienkiewicza, u Słupę Maks, brano się natychmiast do roboty. Za dobrą opłatą urzędujący w przedpokoju organ wykonawczy szybko odnajdywał młodego łajdaka. Zanim rozpoczynano z nim rozmowę, sprawiano mu takie lanie, żeby mu się na drugi raz odechciało sięgać po posag i cnotę przyswoitej żydowskiej dziewczyny. To była zaliczka, a następnie, w zależności od życzenia klientki, albo zmuszano drania, by oddał pieniądze, i to z odpowiednim procentem, albo też doprowadzono go siłą do chupy-baldachimy, pod którym młoda para brała ślub. Przy okazji delikwent dowiadywał się, że sprawą interesuje się Słupy Maks, a pięści pracowników biura pisań podań i renowa Maksu działały szybciej i skuteczniej niż wszystkie instytucje stojące na straży prawa.

Gwoli prawdy historycznej trzeba jednak powiedzieć, że na pierwszym miejscu wśród załatwianych przez biuro podań Słupę Maks spraw znajdowały się sprawy dotyczące życia, powiedzmy, handlowego, a wśród nich — powikłane problemy obrotu wekslami. Widzę, że pana to dziwi. Otóż co panu powiem. Może pan przeczytać nie jedną, ale z pięćdziesiąt książek o ówczesnych stosunkach gospodarczych, o handlu, o kredycie, ale z całą pewnością nie znajdzie pan informacji o roli, jaką w utrzymaniu się tysięcy drobnych pośredników na powierzchni życia odgrywał właśnie weksel. Obowiązkowo, przez kogo wystawiony czy zrywany, weksel zaczynał swoją wędrówkę przez życie i niech mi pan wierzy, bardzo interesująca wędrówka. Oczywiście, im podpis wystawiającego weksel był bardziej solidny i znany, tym wędrówka ta była bardziej luksusowa. Weksel krążył z ręk do ręki, jak złoto w arli z „Barona cygańskiego”. Był papierową namiastką tego złota, znacznie łatwiejszą do zdobycia niż pieniądź. Pierwszy właściciel weksla trzymał go do chwili, kiedy okazało się, że potrzebna mu jest gotówka. A wobec tego, że gotówka była droga i zawsze potrzebna, trzymał go zawsze potrzebnie, aż do chwili, aby odstąpić, powiedzmy, za osiemdziesiąt procent jego wartości. Nazywało się to dyskontem. Zdziwili się pan, że osób z takim dyskontem mogło być...

Drugi właściciel po pewnym czasie odstępowal ten weksel, powiedzmy, za osiemdziesiąt pięć procent, jako że bliżej już był termin płatności. To pięć procent to był jego czysty zysk. Podobnie postępował trzeci dyskontier weksla, czyli jego nabywca, i podobnie postępowali następni. Liczba ich oraz procent dyskonta zależały, rzecz jasna, od tego, jaką renomą cieszył się wystawca, jak i od terminu płatności. Czysty zysk był coraz mniejszy, ale przecież istniał, jak w normalnym pośrednictwie handlowym, jako że weksel i.t.p. po prostu towarem. Tylko że towar towarowi nierówny, tak jak wełna Łódźka nie mogła równać się z bieleką, a bieleka — z angielską. Jasne... A weksle na miarę wełny angielskiej, wystawione przez potęgę świata handlu, rzadko tutaj trafiały. Obrót nimi był już domeną instytucji kredytowych i domów bankowych.

...Ilu drobnych pośredników żydowskich, ledwo vegetujących kupców, starających się podporządkować swoje interesy rzemieślników żyło z dyskonta — tego nie potrafił panu powiedzieć; nawet w tamtych czasach nikt by powiedział tego nie potrafił. W każdym razie może pan sobie wyobrazić, że nie były to zarobki krociowe. Tym bardziej, że w obiegu znajdowały się również i weksle wątpliwe, niepewne. Nierzadko wynikiem transakcji dyskontowych był zysk nie przekraczający dwóch-trzech złotych. Ale i ten zysk mógł się łatwo ulotnić, jeśli wystawiający weksel nie wykupywał go w terminie i doprowadzał do protestu. Kilkusetzłotowy zysk zamieniał się wówczas w kilkudziesięcio- czy kilkusetzłotową stratę. Co wcale nie było takie rzadkie. Jak też wcale nie były rzadkością przypadki, kiedy wystawca weksla z góry wiedział, że go nie wykupi i że nikt mu nie będzie mógł zrobić, gdyż zamierzał ogłosić upadłość, aby później móc regulować należność w dwudziestu-trzydziestu procentach. Oczywiście wierzyciel mógł dochodzić swoich praw na drodze sądowej, mógł uciec się do

pomocy komornika, sekwestratora, czy ja wiem jeszcze kogo, ale byłoby to, jak już panu powiedziałem, oddanie się w ręce sprawiedliwości opornej i nierychliwej, a w wypadku upadłości bezsilnej. Coż więc pozostawało? Pozostawało biuro podań Słupę Maksu. Mówiłem już panu, że dintojra to rodzaj sądu polubownego. Biuro podań Maksu Borensztajna wzywało wystawcę protestowanego weksla — najczęściej krętacza, szachraja, specjalistę od nieuczciwych upadłości, by polubownie wypłacił ostatniemu posiadaczowi weksla, czyli wierzycielowi — najczęściej ledwie wiążącemu koniec z końcem drobnemu hadlarzowi czy kupcowi, całą należność. Na ogół takie wezwania podpisywane przez biuro podań Słupę Maksu działały natychmiast. Jeśli nie działało, aparat wykonawczy biura w postaci paru drabów udawał się do mieszkania dłużnika i na początek wyrwał mu całe mieszkanie — z meblami i ich zawartością, do góry nogami. Dalsze argumenty nie były zazwyczaj potrzebne. Jeśli wystawca zaprotestowanego weksla nie wiedział przypadkiem, kim jest Słupy Maks, życzyłby dusze szybko mu to wyjaśniły i radziły, by sprawę załatwił, jeśli mu życie mlie.

Teraz już pan rozumie, dlaczego imię Słupę Maksu wymawiano w setkach żydowskich mieszkań, sklepików, warsztatów krawieckich czy szewskich z wdzięcznością? Nie dotrzymane zobowiązanie małżeńskie, nie zwrócone pożyczki, a przede wszystkim weksle, weksle, weksle — oto w jakich sprawach Słupy Maks zastępował prawo i działał w jego duchu, nie troszcząc się o literę. To on decydował, po czyjej stronie jest racja. Wydaje mi się, proszę pana, zresztą nie narzucam panu tej opinii, że tą swoją działalnością Słupy Maks zawęzał oczka sieci ówczesnej sprawiedliwości, przez które zbyt łatwo prześliznąć się mogli różni szubrawcy i złodzieje. Szczególnie tacy, którzy mieli dość pieniędzy, by się tej sprawiedliwości wymigać...

Wracając do Słupę Maksu — nie chciałbym, aby pan sądził, że jego działalność ograniczała się tylko do tego kręgu spraw, o których tu wspominałem. Byłoby to dla niego krzywdzące i on sam, gdyby żył, z pewnością by przeciwko takiej opinii zaprotestował. O większości spraw, którymi się raczył zajmować, kroniki nieśtety milczą. Otaczano je zarówno legendą, jak i tajemnicą, co dla sprawnego funkcjonowania było nieodzowne. Czasami tylko byłyby ujawniane. Wtedy na przykład, kiedy Maks z wyroku dintojry zastrzelił na rogu Wschodniej i Kamiennej jakiegoś bossa (nazywał się, o ile mnie pamięć nie myli, Balerman) ze świata podziemnego. Prasa zrobiła wtedy Maksowi reklamę, że aż miło. Sam pan rozumie... To był wyczyn, który podnosił rangę Łódzi do roli drugiego Nowego Jorku. Sąd w jakimś sensie uznał widać wyrok dintojry za prawomocny, skoro Maks został skazany na trzy lata więzienia. A opuścił je po niecałych dwóch.

C.D.N.

Powyższy odcinek jest kolejnym fragmentem nowej książki Arnolda Mostowicza „Złota Gwiazda i Czerwony Krzyż”, która niebawem ukaże się nakładem PIW. Są to zbliżzone wspomnienia autora z czasów kiedy autor był więzionym w łódzkim getcie i obozach koncentracyjnych III Rzeszy.



Autor publikowanych w „Odgłosach” po raz pierwszy opowiada autobiograficznych, Arnold Mostowicz w podwórzu jednej z posesji przy ul. Wieckowskiej, gdzie urodził się i wychował, skąd też zaczęła się jego i jego najbliższych droga okupacyjnej gehenny, wiodąca przez łódzkie getto.

Foto: Konrad Turowski

Stalo się, jako rzekła rozsądna niewiasta. Jerzy Giedroyc natychmiast po otrzymaniu testu przysłał pieniądze. Sam Zahorski przyniósł je do hotelu, gdzie na gorącym parapecie brudnego okna zaparzał się owinięty w gazetę kawałek pizzy, wielkości dłoni dziecka. To było wszystko, co Jan Duch i Georgia mieli na obiad — a poza tym nie mieli nic, zupełnie nic.

Zahorski zaprosił ich wieczorem na kolację. Wraz z jego żoną pojechali w czworke do dość dobrej restauracji, usiedli w ogródku, była pizza „quattro sezoni” i czerwone wino. Rozmawiali krewetki i ślimaczki na tej pizzie, wszystkie możliwe ziola i przyprawy.

— Jak się państwu podoba Rzym? — zapytał na pewnej chwili Zahorski.

— Jest to rupieciarnia, jaką trudno sobie wyobrazić — odparł Duch.

Zabolało to Zahorskiego, który opracował i wydał w języku polskim przewodnik po Rzymie dla nowo przybyłych. Miasto stanowiło jego hobby. Ale dla Ducha i Georgii było to miasto najbrzydsze z wszystkich, które dotąd widzieli. Nie może być pięknym miastem, w którym odzucha się głód.

— Jak w stołowym zwariowanej ciotki — przyszła w pomoc Georgia — jakieś skorupy, kawalki potamanych figurek, bez ładu i składu. Zupelnie bezguskie. Poza tym widać, że niszczycie to wszystko — takim tempie, że za kilkadziesiąt lat pozostanie tylko coś w rodzaju ementalzyska samochodów.

— Im szybciej, tym lepiej — mruknął Duch.

— Niech szlag trafi te całe Włochy.

— Dziwię się panu — obruszyła się Zahorska.

— Poecie nawet nie wypada tak mówić.

i stojąc wygulał do końca. Kelter uśmiechnął się, zamamrotał „bene vino” i odszedł przedko. Zahorski prowadził swoją żonę do wyjścia. Trzech pijanych marynarzy wtarabiano się przez zarośniętą winoroślami furkę i to trochę rozładowało sytuację, a może w mniemaniu państwa Z. pogorszyło, bo Duch coś jakby zaczął się z marynarzami spierać, ale do wymiany gestów nie doszło. Polacy to już by go skopali. Włosi załatwiają to raczej wokalniami, i kiedy pojeśli, że adwersarz nie rozumie ich pełnych poezji przekleństw, to przestali się nim interesować. W końcu państwo Z. oddalili się swoim samochodem, a Duch z Georgią wsiadli do autobusu. Kilka przystanków dalej autobus otarł się o drzewo w pędzie i boczne lustro roztrzaskało się z hałasem, odpryski wpadły do wnętrza przez otwarte okna. Kiedy tylko pojazd się zatrzymał, Duch wyciągnął Georgię na ulicę.

— Nie mam zamiaru ginać przez pijanego kierowcę jakiegos śmieszającego autobusu — oznajmił Duch — zwłaszczą teraz, u progu wolności.

Reszta już była zabawą. Kupili bilety kolejowe do Amsterdamu, zamiast do Warszawy. Były dużo tańsze. W konsulacie belgijskim wyjaśnili, że z Amsterdamu wracać będą do Polski samochodem. Wprawdzie konsul upierał się nieco, chciał zobaczyć wizę holenderską, ale Georgia powiedziała mu, że Duch jest znanym polskim poetą, że nie ma powodu obawiać się z jego strony żadnych niespodzianek. Wypełnili kwestionariusze i następnego dnia wbito im wizy do paszportów. Urzędnik, który oddawał im paszporty, powiedział:

glady? Hm. Przysiękaj dziewczynie, że się nad tym zastanowi. A tymczasem, podczas następnych spotkań, ładował ją ostro, bo była zdrowa, ciasna i chełna, i pachniała ładnie. Ale wiedział, że już mu tylko o tę zabawę chodzi, że ta dupa jest po prostu dla niego za głupia.

W końcu doszło do konfrontacji, tym razem w hotelu „Polonia”.

— No, powiedz mi wreszcie, jakie masz poglądy — rzekła tonem, oddalającym możliwość sprzeciwu.

— Nie mam poglądów — powiedział Duch.

— Jak to nie masz?

— Zwyczajnie. Nie mam.

— Żadnych poglądów politycznych? Jak tak można żyć?

— Żyje, widzisz. Chyba udowodniłem ci to kilka minut temu.

— To nie nie znaczy. To bardzo prymitywne. Wrogowie klasowi też to robią, niestety. Mnie chodzi o możliwość porozumienia się z tobą. Bo wiesz, czuję, że zaczynam cię kochać. Ale nie mogę kochać kogoś bezideowego, kogoś, kto nie ma ukstałowanych poglądów.

Jan Duch czuł, że leży obok wariacki, i że ona za chwilę może mu odgryźć genitalia — wszystkiego można się spodziewać po kimś, kto mówi takie głupstwa. Przykrył się na wszelki wypadek koldrą, postanowił dziś już się z nią nie kochać. Miał już swoją bazę załatwioną, teraz onanizowała nadbudowę.

— Magda, przestań pieprzyć. Życie jest życiem. Idź do swoich kolegów studentów na takie dyskusje. Ja jestem zwyczajny facet, co odслужи wojsko. Ja nie mam poglądów. A jeżeli mam jakieś, to tak głęboko, że wychodzą tylko po grzechówce.

Wtedy Magda odsoniła swoje wnętrze. Powiedziała swemu kochankowi, że jest komunistką, że studiuję Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, że zna prawie wszystkie ich dzieła, a przynajmniej skróty opracowania tych dzieł, i że od tej chwili zajmie się Janem, wychowa go, spowoduje przyspieszone dojrzewanie poety, dla dobra ojczyzny i narodu. Jej słownictwo było bogate, sposób formułowania myśli technicznie sprawny, fajna, rękująca nadzieję dziewczyna, przez pomyłkę ładująca na łóżku, wynajmowanym przez człowieka bez poglądów.

— To nie człowiek ma poglądy — powiedział Duch, ziewając. — To poglądy mają ciolwika. A ja chcę być wolny. Obserwator, otwarty na wszystkie możliwości.

— Oportunistka — powiedziała Magda.

Taka zacietrzewiona idiotka. Duch już nigdy się z nią nie położył, chociaż nachodziła go w redakcji, gdzie zaczął pracować. Dopiero po wielu, wielu latach, niedługo przed wyjazdem z Polski, spotkał Magdę w restauracji hotelu „Bristol” w Warszawie. Wyglądała jak dama z zagranicy, odziana w cały ten dolarowy sztafaż. Pogadał z nią kilka minut. Otóż po skończeniu studiów pojechała do Francji i Belgii na jakieś tam praktyki, diabli wiedzą co, poznała Belga i wyszła za niego.

— Mój mąż pracuje w dyplomacji — rzuciła lekko, ale z widoczną dumą.

I tyle. Zczyli sobie wzajemnie powodzenia, jak dawni, choć dość przypadkowi znajomi. Nie miał nawet ochoty pytać o jej poglądy. Czy studiuję Stalina po francusku, czy po flamandzku? A mąż dyplomata, czy wiecie z nią dyskusje polityczne w łóżku? Czy wylaczają przedtem ukryte mikrofony? Pokiwał głową i odszedł, ponieważ menażeria ludzka już wówczas przestawała go dziwić.

Włec to była żona tego urzędnika, stacjonującego w Rzymie. Mieli zabawę z Georgią przez następne pół godziny.

Mając wizę belgijską nie napotkali oporu ze strony Francuzów. Bang, bang, kilka tysięcy lirów opłaty, stępla na całą stronę wbito do paszportów. Teraz szybko, pakować się, wieczornym pociągami do Paryża, ani chwili dłużej w tym efolelnym, beznadziejnym Rzymie. Arrivederci, Roma!

Jeszcze za czasów breżniewowskich ukazał się w którejś z gazet radzieckich reportaż, przedrukowany we fragmentach przez prasę polską, reportaż o pewnej willi w miasteczku Maisons-Laffitte, o jej mieszkańcach i o ich działalności. Willa była ponoć otoczona wysokim murem, na jej muru stały wieżyczki wartownicze, a po całym terenie biegały czarne wilczury z obnażonymi kłami. Wewnątrz willi gnieździł się wrogiem międzynarodowego świata pracy, kierujący strumieniem swego jadu szczególnie przeciw proletariatu polskiemu. Dostać się do willi można było wyłącznie, jeśli się znało tajemniczy kod, zmieniający codziennie. Czarna Erynia o nazwisku Hertz, uzbrojona w pistolet maszynowy, rewidowała każdego z wchodzących. I tak dalej.

Taki obraz, rodem z klasyki propagandy rewolucyjnej, tworzonej przez celujących w horrorze twórców, miał na celu wzbudzić w masach proletariusz głębokie obrzydzenie do wrogów, tużących się ich krwią. Znaczy, w tym wypadku, krwią amerykańskiego towarzysza proletariusza, ponieważ „Kultura” utrzymywała się z pieniędzy podatnika amerykańskiego.

Dzisiaj dużo się zmieniło. Proletariusz polski już nie jest proletariuszem, a przynajmniej nie w takim sensie, jakiego nas uczono.

Jan Duch i Georgia dotarli do willi bez przeszkód, pieszo od dworca idąc, przez nikogo nie śledzeni. Brama w niskim murku była otwarta. Na małym placu przed domem stał porządny i krzywy „Peugeot 404”. Zadzwonili do drzwi i otworzyła starsza kobieta bez pistoletu. Żadnego psa ani widu, ani słychu. Ba, żeby chociaż kot...

Propaganda to jest fajna rzecz. Dobrze jest tworzyć bajki dla maluchów, zwłaszcza gdy się jest wynagradzanym za wysiłek przyzwolenia. Propaganda to mecz na jedną bramkę. Wygrawa się zawsze.

Duch i Georgia weszli do salonu, gdzie ujrzeni widok następujący: książę redaktor Jerzy Giedroyc w rozmowie ze znanym w Polsce felietonistą, patentowanym wrogiem ustroju, któremu jednak ten ustrój, nawet w najczarniejszych latach stalinowskiego reżimu, nigdy nie odmówił paszportu. Ten felietonista, beniaminek opozycji wszelkich możliwych mas, miał przyjaciół zarówno wśród tych, któ-

rych oficjalnie zwalczał, jak i wśród tych, z którymi oficjalnie się łamym przyjaciółmi przeciwstawiał. Podobno za kontakt z ósrodkami wrogimi PRL-owi, takimi jak „Kultura”, czy „Wolna Europa” groziły niegdyś ciężkie kary. Zwyczajni ludzie, nasi maleńcy, drząc ze strachu przemycali listy do tych ósrodków, donosili na nieprawości ustroju, skarżyli się, czegoś domagali. I byli tropieni, wytaczano sprawy przeciw nim, karano ich, nie wypuszczano ich rodzin za granicę. A przecież wielu ludzi regularnie odwiedzało te ósrodki, mieszkalo w Maisons-Laffitte i w Monachium, i w Warszawie wlos im z głowy nie spadał, a paszport dostawali, kiedy tylko chcieli. Oczywiście, tak zwana opinia społeczna, na której tak władzom zależało, nie o tych rodzinno-towarzyskich, ponadustrojowych i ponadideologicznych kontaktach nie wiedziała. Rządzą masami rodziny, królewskie rody wiążą się węzłami małżeńskimi ponad pogłowiem jakichś tam narodów, czyżbyśmy o tym zapomnieli? Mielismy królów z Wegier, Saksonii, Włoch czy innego kąta Europy, Sasi spokrewnieni byli z Anglikami, jedna mafia bogatych panowała nad niedzną, ciemną Europą. Czy coś się zmieniło? Czy wojny nie były efektami waśni między książętami, braćmi, dziećmi uprzywilejowanych? Czy felietonista, jeżdżący do Paryża jak kolejarz łódki do Kutna, normalka — w czasach, kiedy prostak uważał otrzymanie paszportu za najwyższe szczęście — czy ten felietonista nie jest w istocie władcą prostaków, czy nad nimi nie panuje? Wolno mu wszystko. Wolno mu pisać przeciw ustrojowi, wolno mu obrzucać ten ustrój błotem na odczytach, organizowanych w środowiskach emigracyjnych całego świata, by potem popijać koniak w konsulatach i wracać do Warszawy w głorii nieugiętego i tu znów planować następne uderzenia w niedobry ustrój, który już sżykuje panu felietonistcie następny paszport i bilecik.

Jan Duch spojrział na felietonistę i pomyślał: ty cwana kurwo, co ty tu znowu knujesz? Przywitali się oboje, jakby to było spotkanie w kawiarni Związku Literatów na Krakowskim Przedmieściu. Giedroyc pojechał się z kurwą, która następnego dnia miała odlecieć do Warszawy. Duch wiedział, że kurwa powie, gdzie trzeba: widziałem Ducha u Jerzego. I Duch pomyślał, jakaż też funkcja naprawdę spełnia felietonowa blade? A może... właśnie, a może to jest dwupiętrowa gra? Może on wydajniej na tamtą stronę pracuje, niż na tę? A może jednakowo wydajnie na obie strony, i obie o tym wiedzą? I co mu zrobić? Przecież jest już tak wprowadzony, tak zorientowany w rodzinnych układach i niuansach, tak wyspecjalizowany w kłamstwie i dezinformacji, że lepszego żadna ze stron nie znajdzie. Ten człowiek jest po prostu na sto procent lojalny wobec obydwu stron.

To już jest wyższa szkoła jazdy. Na taki makiawelizm stać było tylko dawnych papieży i Stalina, z nowszych. Z zachowaniem proporcji efektów, rzecz jasna. Duch patrzył z podziwem w zimne, wyblakłe oczka felietonisty. I dostrzegł w nich prawdę, wielką prawdę — zupełnie zaprzeczającą tendencji reportażu o Maisons-Laffitte. Tak, Maisons-Laffitte nie potrzebuje wież wartowniczych, pistoletów, wilczurów. Maisons-Laffitte jest bezpieczna. Tamta strona nie dokona zamachu na Maisons-Laffitte. Ponieważ ona Maisons-Laffitte potrzebuje. Tak samo, jak potrzebuje „Wolnej Europy”, radia „Voice of America”, czy BBC.

Do gry potrzebni są partnerzy. Cóż to by była za gra, bez partnerów? Jakich wrogów można by, wskazać maleńkim, spragnionym mocnych uczuć, do których prywatnie nie są zdolni, czym można by pobudzić maleńki do odczuwania najcenniejszego en masse uczucia. Jakim jest nienawiść? Oto twój wróg, proletariusz polski! Jerzy Giedroyc z Maisons-Laffitte! A jeśli bawi cię czytanie opozycyjistów, to tu masz naszego rodzimego, pana Felietonistę! Rozpinaj więc skrzydła swojej klepskiej duszy, od nienawiści po nadzieję, fruwać sobie po kielichu, tak wysoko, jak tylko chcesz! Ale o tym, że Giedroyc z Felietonistą herbatnikują, jeden na koszt władz amerykańskich, a drugi na koszt władz tutejszych, tego, bracie nie dowiesz się tak łatwo.

Georgia, która ładnie rysuje, wykonała nieduży rysunek satyryczny w stylu Szymona Kobylińskiego: cherlawy facio zgłędy pod ciężarem wielkiej szachownicy, jeden gracz od przodu, drugi od tyłu, dymają go, wpatrzeni w figurę.

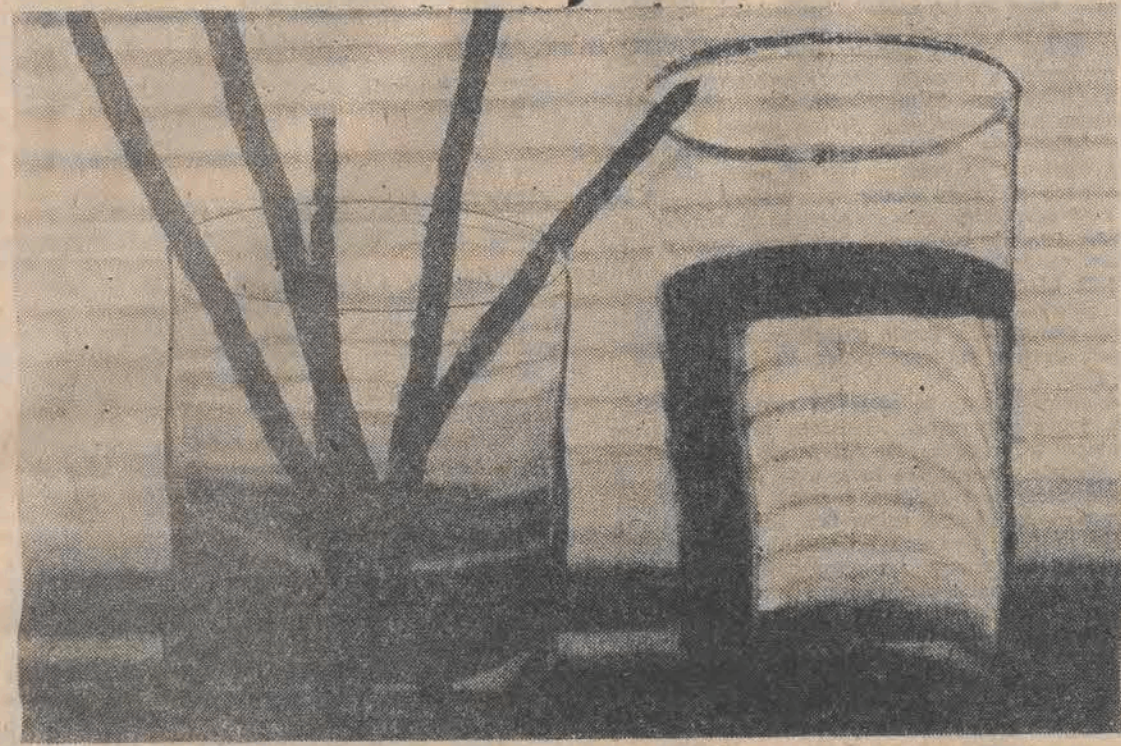
— Nazwiska możesz sobie podstawić, jakie chcesz. Mogą to być prezydenci jakichś skłóconych państw — powiedziała Georgia — albo chorążowie przeciwstawnych światopoglądów. Może to być też Giedroyc i Felietonista, a w środku ty. Nie czujesz, że jesteś wykopcony? Żeby tu zamieszkać, musisz zebrać o jakis idiotyczny azyl, wypruć z siebie wszystkie, obnażyć się przed cwaniakami. A tu masz dwóch nuygusów... i rypią takich jak ty, bracie.

— Zawsze ktoś kogoś rypie — powiedział filozoficznie Duch. — Przyjdzie czas, że i ja ich trochę porypię, chociaż mi wcale na tym nie zależy.

— Miał rację Duch — i w tym, że mu nie zależy, i w tym, że tamtych starych cwaniaków wyrypie. Od samego początku zresztą to oni właśnie byli przez Ducha rypani. Georgia się myliła.

Byli rypani, ponieważ Jan Duch widział ich obu na wylot. Nie brał poważnie ani jednego, ani drugiego. Ten kit, który obaj produkowali, mogli sadzić osiom na poloninie. Tych nie brakuje, przeciwnie, namnożyło się ostatnio. Ale znowu tamci dwaj cwaniacy osłów tak za bardzo nie potrzebują. Oni by chcieli, żeby ktoś inteligentny wziął ich wreszcie na serio. Wziąć ich na serio! Owo, czego im brakuje. Oni, ci dwaj, czy nowe pokolenie takich, jak oni, producentów propagandowego kitu. Kto ich weźmie na serio? No? Kto? Kto chce wejść w papierowy świat tych biednych ludziów, zarabających na chleb w trudzie, jak szewcy? Tyle że zamiast narzędzi takich jak kopyto, flek, szpilka, klej i brandzel, posługują się narzędziami takimi, jak: Ojczyzna, Wolność, Bóg, Naród, Moralność, Z Maisons-Laffitte i z Krakowa dobiega stukanie języków.

Arrivederci, Roma!



— Ze niby co? Ze jak jakiś beczwał parę tysięcy lat temu postawił jakiś słup, albo fontannę, albo figurę, to mam na to patrzeć ze czcią, jak na bożka? Ja na żadnego bożka nie patrzę z czcią — wyjaśnił Duch zniecierpliwionym tonem. — A te rupiecie wcale mi się nie podobają. Może, kiedy były nowe, robiły na współczesnych niezłe wrażenie. Ale mnie napawają obrzydzeniem.

— Widzę, że mamy różne punkty widzenia na sprawę zabytków — powiedziała inteligentnie pani Z.

— A wie pan — zmienił temat pan Z. — myśmy wcale nie byli przekonani, że państwo zdecydowało się wystąpić o azyl. Nawet chcieliśmy założyć się z żoną...

— Kto był za? — spytała Georgia.

— Ja — pochwaliła się par Z. — Pomyślałam, że pani, jako kobieta, od razu da się uwieść Zachodowi. Bo jeśli chodzi o pana Jana, to...

— Wie pan, różnie o panu mówią. Mówili — poprawił Zahorski — bo teraz już tamte plotki nie są aktualne. Giedroyc powiedział mi, że pańska wypowiedź załatwia sprawę.

— Odmówiła — burknął Duch.

— W każdym razie teraz jest jasne, że pan nie tylko na wycieczkę, i nie tylko po to, żeby potem opisać całą procedurę otrzymywania azylu i wydać w Polsce w masowym nakładzie pod czerwonym patronatem. Tak jak kilka lat temu taki Brycht zrobił, zna go pan? Tego cwaniaka, który opisał „Wolną Europę” na polecenie Mocznara?

— Andrzej? Czy Mieczysława?

— Nie wiem, jak miał na imię. Ale chyba tak.

— Pewnie, że znałem — powiedział Duch. — Niejedną flaszkę i niejedną dupę razem...

— Nie chciał się — rzekła surowo Georgia, w obawie, że pod wpływem alkoholu Duch stracił rozum, z kim rozmawia i tym kwadratem nawinie jakieś nieprzystojności.

— Jeżeli chodzi o moją żonę — Duch już bełkotał lekko — to my z Brychtem jesteśmy szwagrami...

— O, pani ma siostrę? — próbowała udawać naiwna Zahorska.

— Mam dwie — powiedziała Georgia.

— Nie ma żadnej — upierał się Duch. — Wiedziałabym przecież, bo bym je wydupcyt...

Pani Zahorska podniosła się z krzesła. Pan Zahorski szybkimi gestami przywoływał kelnera.

— Zimno się zrobiło w tym ogródku — mamrotał placąc.

— Komu zimno, to zimno, a mnie ciepło — Duch porwał ze stołu butelkę z polówką wina

— Monsieur Duch, moja żona jest Polką i zna pana wiersze. Niestety, rano wyjechała do Paryża, i żalowała, że nie może pana zobaczyć. Ale wspomniła mi, że zna pana osobiście.

Mówił po angielsku, Georgia tłumaczyła, patrząc na Ducha z coraz domyślniejszym wyrazem twarzy. Duch mruknął do niej dyskretnie, prosił o przekazanie ukłonów szanownej małżonki. Ale Georgia oprócz tego zapytała:

— What's your wife's name?

— Magdalena — powiedziała urzędnic.

I wtedy Georgia:

— Mój mąż mówił mi o tym, że zna dobrze pana żonę. My nie mamy przed sobą tajemnic.

Urzędnik otworzył szeroko oczy i tak go zostawili.

Jan Duch poznał Magdalę, kiedy miał dwadzieścia jeden lat. Był wtedy blisko związany z grupą „Współczesność”, drukował często w tym dwutygodniku. Magda, piękna dwudziestolatka, pochodziła ze znanego warszawskiego rodziny aktorskiej. Studiowała romanistykę. Położyła się z Duchem pierwszego wieczoru, jak to było wówczas w modzie. Nie mieli chwały, ale Duch nie miał nawet meldunku warszawskiego, i to w ich sytuacji było czynnikiem pozytywnym. Co kilka dni wynajmował pokój w hotelu na jedną noc. Magda musiała być o jedenastej wieczorem w domu, ale to nie przeszkadzało, był czas na wiele wyczerpujących konfiguracji. Po miesiącu, kiedy wyczerpani miłością leżeli obok siebie na łóżku w hotelu „Warszawa”, Magda ułożyła się na łóżku, spojrzała na Ducha poważnie i rzekła:

— Słuchaj, Janku... Jakie ty masz właściwie poglądy?

W pierwszej chwili Duch nie zrozumiał. Więc powtórzyła pytanie, precyzując, że chodzi jej zarówno o poglądy polityczne, jak i szersze pojęty światopogląd.

Duch nie miał ochoty na dyskusję ze smarkulą. Wprawdzie był od niej tylko o dwa lata starszy, ale pamiętał dobrze wojnę, przeżył powstanie warszawskie jako dziesięcioletni chłopak, widział śmierć kilku ludzi ze swojej rodziny, widział egzekucje uliczne... A potem sam siedział w kiclu, trzykrotnie, i to w sumie dość długo. A potem, jako „wroga ludu” zapakowano go do przymusowej służby w Wojskowym Korpusie Górniczym, dowodzoną przez radzieckiego generała Kokoszyńskiego. Pracował w kopalni, gdzie w ciągu roku zginęło w wypadkach trzydziestu sześciu jego kolegów, a on sam był przyspany przez cztery doby. Stracił wzrok na dwa tygodnie. Podleczył go i rzucił znów pod ziemię. Dopiero po Październiku zlikwidowano WRG i Duch zaczął się literaturą. Po-

„Azyl polityczny” — nowa książka Andrzeja Brychta

NR 35 (1587), 27 SIERPNIA 1988 R.

ODGŁOSY 11

(7)



Foto: Andrzej Marat

„Na razie płacę, ale nie płacę”

— rozmowa z JERZYM KRYSZAKIEM.

— Gdyby w kilku słowach musiał pan nakreślić własny portret, co by pan powiedział o sobie?

— Wymaga pani ode mnie zbyt wiele. Nie mogę malować własnego portretu. Wydaje mi się, że najlepiej go kreślę moje poczynania aktorskie, które są dość przypadkowe. Tylko do pewnego stopnia mam wpływ na otrzymywane propozycje zagrania takiej czy innej roli. A te, które zagrałem sprawiają, że na tym samym płótnie zmieniają się moje twarze.

— Zmieniają się tak dalece, że pana aktorstwo nie poddaje się zaskafłakowaniu...

— I całe szczęście, zbyt dużo mam przykładów kolegów, którzy dali się zaskafłakować i rzeczywiście trudno im teraz zagrać cokolwiek innego niż własny wizerunek, do którego publiczność została przyzwyczajona i na domiar złego, ta sama publiczność nie pozwala im przełamać tego stereotypu.

— Jak udało się panu uchronić przed podobną sytuacją? Był przecież taki moment, w którym reżyserzy chętnie powierali panu do zagrania bohaterów znerwicowanych, demonicznych...

— Bardzo dbam o to, aby po jednym typie lach bardzo szybko zatuszować poprzednie wrażenie. Po komediowych postaciach chętnie przyjmuję rolę bohaterów o skomplikowanej psychice. Wychodzę z założenia, że skoro jestem aktorem, powinienem umieć zagrać trochę więcej rzeczy, poza określonym gatunkiem. Staram się rozwijać wszechstronnie i gram prawie wszystko...

— Panowie bohaterowie to nie tylko popis aktorskich umiejętności, odnośnie wrażenie, że chętnie oddaje im pan własną duszę.

— Jeżeli tylko moja dusza wzmacnia grę przeze mnie postać, daję jej większe psychologiczne oparcie, głębszy wizerunek, to oczywiście chętnie udzielam jej własnych emocji.

— Jaki pan jest prywatnie?

— Tak naprawdę, to nie wiem. Niewątpliwie reaguję dość gwałtownie, działam emocjonalnie... I wcale się tego nie wstydzę! My nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak wiele w każdym z nas tkwi reakcji nie do przewidzenia. W każdym z nas zawiera się tysiące charakterów ludzkich, powiem więcej — zawiera się cała ludzkość... A jakie cechy dojdą do głosu, to trudno przewidzieć. Zazwyczaj decydujemy się na jeden charakter, ale te konkurencyjne w dalszym ciągu w nas drzemają i w określonych okolicznościach łatwo je przywołają. Tyle samo w nas demonów co aniołów...

— Czym jest dla pana aktorstwo?

— Sposobem na życie, ale to nie znaczy, że w życiu prywatnym także gram. Tyle się czasem nałagam na scenie, że prywatnie nie mam już na to siły ani ochoty. Aktorstwo jest niewątpliwie ucieczką od rzeczywistości, a człowiek jest tak przeciwnie skonstruowany, że właściwie żadna rzeczywistość nie satysfakcjonuje go do końca. W związku z tym, niektórzy odczuwają potrzebę tworzenia sobie trochę nierzeczywistego świata, świata pełnego iluzji. Ja właśnie do takich typów należę...

— Ucieka pan przed innymi czy przed sobą?

— Uciekam nie przed sobą a do siebie, nie od ludzi a do ludzi. Zdaje się, że stworzyłem jakąś dziwną figurę stylistyczną, ale chodzi mi o to,

że posługując się różnymi formami: teatralnymi, kabaretowymi, parateatralnymi, próbami reżyserskimi, szukam w ludziach takich motywów postępowania, które mógłbym zrozumieć, wytłumaczyć... Nie wszystko, co tkwi w człowieku jest dla mnie oczywiste i do zaakceptowania. Jednak wcale z tego nie wynika, że uciekam przed sobą, czy przed ludźmi...

— Wyreżyserował pan wzrastający program polityki pt. „Szansa liryczna” w oparciu o wiersze ROMANA SŁIWONIKA. Kompozycja tego widowiska zdradza pana tęsknoty. Czego panu brak w życiu?

— Trudno mi powiedzieć, czego właściwie szukam, za czym naprawdę tęsknię. Zawsze czegoś człowiekowi brak... Uważam, że to jest straszne... Tkwi we mnie sporo pasji i może właśnie nią chciałbym się podzielić z innymi. Tyle spraw, rzeczy jest potwornie mało: przelatują koło nas... To jest tak: chodzę po ulicach, mijam wystawy i te wystawy wszystkie są do siebie podobne... Chciałbym zaprojektować choćby jedną witraż, wobec której ktoś nie przeszedłby obojętnie tylko dlatego, że ja tam stoję i coś mówię...

— A co chce pan przekazać?

— W „Szansie lirycznej” chciałem pogodzić dwie rzeczy: własny niepokój i własne emocje z niepokojem, który tkwi w poezji Słiwonika. W tej jednostce tkwi nuta podskórny, pulsującego serca. To nie jest tylko wyreżyserowana poezja, ale poezja przeżyta. Chciałbym, aby także inni ludzie znajdowali w poezji informacje na swój temat i na temat świata, w którym żyją. Byłaby wielka szkoda, gdyby wiersze Słiwonika zostały nie zauważone przez ogół...

— Czy aktorstwo wymaga wyrzeczeń?

— Nie, nie aktorstwo... Każdy zawód, który wykonuje się z pasją, porządnie. To zresztą załamuje facetów, którzy nie robią tego, co lubią, do

końca. Ja lubię swój zawód i jemu wszystko podporządkowałem. Oczywiście płacę za to brakiem życia osobistego. Na razie tylko płacę, jeszcze nie płacę, ale może kiedyś nadejdzie taki dzień...

— To dlatego szuka pan pokrzepienia w poezji Słiwonika?

— Tak pani myśli?

— Myślę, że daje pan sobie szansę liryczną...

— Niewątpliwie jest mi to potrzebne. Proszę spojrzeć — program kończył się cudownym pojednaniem. Dwa światy, które w pewnym okresie swego życia rozstały się, czy były obok siebie, być może jeszcze kiedyś się spotkają... Najpiękniejsze jest właśnie to oczekiwanie!

— Trochę to smutne, jeżeli będzie pan trwał w tym oczekiwań do 60 wsię życia... No dobrze, to są tęsknoty, a co pana bawi?

— Życie... Życie jest takie śmieszne...

— Czy dlatego zwiózł się pan z kabaretem?

— Myślę, że kabaret powinien zajmować się toczącym dookoła życiem, nami — ludźmi, razem z naszymi przywarami i głupotą. Ale jak się wspiąć na wyżyny intelektu, aby nie schlebiać niewybrednym gustom, to już temat na inną rozmowę.

— Rozumiem, że tęskni pan za kabaretem „Starych Panów”?

— Tak i to bardzo. Działaj docenie humor i sposób widzenia rzeczywistości, proponowany przez Stanisława Tyma. Należy do generacji „glinaczków mamulów”. Mam nadzieję, że on jeszcze trochę popłynie...

— Aktorstwo jest pełne tajemnic, czy udało się panu już niektóre z nich wyodrębnić?

— Jeżeli chodzi o film, to tak. Potrafię sam sobie montować film, w którym biorę udział. Wiem od początku do końca, jak wybrami mój bohater w kontekście innych postaci. Zbyt często okazuje się, że jest to film zmontowany tylko przez moją wyobraźnię. Machina stołu montażowego plus wizja reżysera bywa sprzeczna z moim filmem. Odczuwając niedosyt, sam próbuję czasem wyreżyserować choćby takie maleńkie programy, jak ten o Słiwoniku.

— Czy ma pan poczucie sukcesu zawodowego?

— Nie mam czasu zastanawiać się nad tym.

— To ja poczekam...

— A jak pan myśli?

— Myślę, że ma pan.

— To widać?

— W pana zachowaniu, tego się nie wyczuwa, ale sadzę, że utracił pan poczucie anonimowości?

— To, to może tak, ale co to jest sukces w dalszym ciągu nie wiem... Sasiedzi w kamienicy mówią, że odniosłem sukces w Kaliszu — moim rodzinnym mieście — znajomi powiadają to samo. A ja nie mam wytwornego mieszkania w Boverly Hills, do którego chętnie zaprosiłbym panią na kawę — więc czy to jest sukces?...

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

A może do kina?



„UMRZEĆ ZE ŚMIECHU” to film nazwany smutną komedią, komedia o „młodości” postarzałego starca, której bohater — wieczny niechowiec, a zarazem wieczny optymista podnosi się po każdym upadku i zaczyna życie od nowa. Jednakże ta opowieść o berypetach sześćdziesięcioletnia test w gruncie rzeczy opowieścią o samotności człowieka, o próbach tej przezwyciężenia, znalezienia miejsca wśród ludzi. Film wyreżyserował Hynek Bočan, a występują: Vlastimil Brodský, Josef Kemr, Jaroslava Ticha, Petr Čepek i in.

„ŻYCIE INTYMNE UCZNIÓW I STUDENTÓW”

Z uwagą przeczytałem artykuł M. Sarbińskiej pt. „Życie intymne uczniów i studentów”. Chciałbym ustosunkować się do zawartości tego artykułu, gdyż jest tam sporo poważnych błędów.

Po pierwsze: cały fragment z książki L. Starowicza i dwa inne mówiące o twórczości R. Musiły są zbędne. Pierwszy jako nie dotyczący tematu — bo mowa jest o młodzieży 18–20-letniej, a M. Sarbińska wyjeżdża tu z 24-letnią mężatką — zбочoną seksualnie grafomanką. Pozostałe 2 fragmenty mówią też o patologii seksualnej, ale w utworze literackim i też do tematu nic nie wnoszą.

Po drugie: Pada stwierdzenie: „Jeśli silny popęd trafi na mur zakazów i nie zostanie rozładowany to dochodzi do dewiacji psychicznych”. Są tacy psychoanalizyści, którzy głoszą tezę, że swoboda seksualna jest potrzebna dla zdrowia psychicznego, a wstrzemięźliwość powoduje zahamowania i urazy. Jest to niestety echo wulgarnego freudyzmu, freudyzmu źle rozumianego i interpretowanego w sposób opatrny. Na szczęście pod wpływem rozwoju nauki (psychologii rozwojowej) ten błędny prad zanika. Dotąd nikt jeszcze nie stwierdził zбочenia czy choroby, która by była wynikiem prowadzenia czystego życia.

Po trzecie: M. Sarbińska ubolewa nad faktem wycofania podręcznika „Przysposobienie do życia w rodzinie” uważając, że rozdział pt. „Życie erotyczne człowieka” autorstwa W. Sokoluka „jest najgłębiej napisany” oraz że „czytelnik musi to przyznać”. Rozumiem, że może, ale dlaczego mu od razu wmawiać, że musi? Nie trzeba daleko szukać, aby zobaczyć jedną z przyczyn, z powodu której podręcznik wycofano. Sięgnijmy do przytaczanego fragmentu: „Prawo przyjmuje wiek 15 lat, powyżej którego nie interesuje się zachowaniem seksualnym (...) Badania wykazują, że 50 proc. chłopów ma swój pierwszy stosunek mając 17–19 lat (...) co oczywiście nie oznacza że ty musisz postąpić zgodnie ze statystyką”. Otóż trzeba wiedzieć, że podręcznik ten był napisany też i dla I i II klasy czyli dla 15–17-latków, którym W. Sokoluk radzi: „ty nie musisz postępować w/w statystyki”. Czyli chciałoby się dopowiedzieć: możesz zarówno przed 17 rokiem, jak i po 19.

A że czytelnicy są przed 17 rokiem W. Sokoluk jakoś zapomina. Istnieje takie adagium prawne: „Chcę temu nie dzieje się krzywda” — na terenie prawa jest to zasada sensowna. Z moralnością jest inaczej, tutaj krzywda jest wszystko, co niszczy człowieka. Zresztą czy w ogóle to podejście nie polega na pomieszczeniu porządku moralnego z porządkiem prawnym? Prawo świadomości nie wkłada w uwarunkowania czynów ludzkich, które nie są dostępne zewnętrznej obserwacji. Tylko, że prawo nie wyklucza moralności, ale ją postuluje.

Mirosława Sarbińska pisze dalej: „Nie mogę pojąć dlaczego w kręgach kościelnych uznano, że książka wyznawca do anarchii seksualnej”. Bardziej chodzi o fundamenty, na których ma się opierać przyszła polska rodzina, a nie o anarchię. I to nie tylko Kościół uznał, że jest w tym wiele poważnych błędów, lecz również i Ministerstwo — czemu dało wyraz i w wycofaniu tego podręcznika i w komunikacie o tym informującym.

Po czwarte: Cytowana jest wypowiedź młodej dziewczyny: „Jeśli oboje się kochają, dlaczego między nimi nie ma dojść do zbliżenia. Uważam czystość przedmażeńską za coś beznadziejnego i bezsensownego”. Jest to pogląd często występujący, ale trzeba zdać sobie sprawę jak wygląda to w rzeczywistości.

Otóż: młoda dziewczyna nazywa miłością wzruszenie na widok mężczyzny i b. łatwo sądzi, że to, co czuje jest właśnie miłością. Łatwo mówi i wierzy, że kocha. A kochać w jej przekonaniu, to dać wszystko. Chłopak nie ma zapotrzebowania na czułość, ma natomiast na popędowe przeżycia seksualne i nieświadomy z kolei mechanizmów psychologicznych dziewczyny uważa jej potrzebę czułości za chęć zbliżenia seksualnego. I tak to bywa osądzone, bierze ją tak jak każdą inną. Jest to nieporozumienie, które do niczego dobrego nie prowadzi. Najbardziej zaskakujące jest to, że 50 proc. ogółu współżyjących chłopów nie widzi niczego złego w tym, gdy skłania dziewczynę, mówiąc, że ją kocha, tylko po to, aby zgodziła się na współżycie! Trzeba też zwrócić uwagę na fakt, że o ile przez współżycie można rozwiązać jeden problem — chwilowo rozładować napięcie — to rodzi się jednak wiele nowych problemów: nie planowane ciążę, przerywanie ciąży, nieletnie matki i dzieci bez ojców lub małżeństwa nieletnich. Są to fakty wszystkim dobrze znane. Dziwna jest więc wypowiedź M. Sarbińskiej: „nasza młodzież w życiu erotycznym nie postępuje lekkomyślnie”.

Po piąte: Teraz sprawa czystości. Nie chcę nikogo do niczego zmuszać, ale pewne fakty wymagają jednak zastanowienia się. Nie chodzi o to, aby rozum zdominował ciało, ale aby się z nim zgodził, bo człowiek jest jednostką psychofizyczną, i takim trzeba go rozpatrywać ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami. Wzręcz czystości przedmażeńską nie jest „wymysłem” tylko Kościoła katolickiego, lecz jest nadal podtrzymywany przez wielkie religie i jest ich integralną częścią. Daje to do myślenia. Ludzka piciość nie jest jedną dziedziną, gdzie stosuje się metaforę czystości i brudu (również: moralność, język, intencje). Czystość zarówno przed — jak i małżeńską jest wartościowa i trzeba do niej jak do każdej innej wartości po prostu dorosnąć. Postulat czystości wynika z przeświadczenia, że kobiecość jest zbyt istotnym wymiarem naszego człowieczeństwa, aby było ją wolno przeżywać byle jak. I osoba mówiąca, że „czystość jest beznadziejna i bezsensowna” jest godna ubolewania, bo zostaje na całe życie człowiekiem niepełnym z punktu widzenia wielu wartości życiowych.

Młodzi często jako argument podjęcia współżycia podają: „wypóbowanie i dopasowanie się przed ślubem”. W małżeństwie (ze względu na jego potencjalną trwałość) są wszystkie warunki, aby pożyć seksualnie (nawet, gdy „coś” jest nie tak) ułożyć dobrze. Bo wiadomo, że dojdzie do harmonii jest sprawą czasu. Kontakty przedmażeńskie ze względu na ich potencjalną nietrwałość tej gwarancji nie dają. Poza tym „uniemożliwiają weryfikację uczuć, dążeń, i tworzenie jednostki przyszłych małżonków” (prof. L. Ancona) z medycznego punktu widzenia problem „dopasowania się” jest sztucznie utworzony i wyolbrzymiony, bo mężczyzna i kobieta są stworzeni z taką tolerancją fizyczną, że zawsze umożliwili im to współżycie.

Miłość, o ile ma być prawdziwa, musi zawierać 4 niezbędne składniki: troskę, poczucie odpowiedzialności, szacunek oraz chęć poznania drugiej osoby. Jej sprawdzianem może być m.in. odpowiedź na pytanie: czy chciałbym, aby był ojcem moich dzieci? czy chciałbym, aby była matką moich dzieci? — wtedy patrzy się zupełnie inaczej. Prawie każdy założy rodzinę, będzie miał żonę, męża, dzieci, ale czy dlatego, że będzie tego pragnął, czy dlatego, że będzie musiał? — bo to jest różnica. Dziewczyny zapominają niestety, że jakiego chłopaka sobie dziewczyna wychowa (bo chłopak, który sięga po dziewczynę jej nie kocha) — takiego będzie miała męża. Jest to los, który sobie sączą na 30–40–50 lat. Całe życie przed ślubem, a w szczególności samo narzeczeństwo powinno być okresem obopólnego wychowywania się i przygotowywania się do darowania siebie całemu (całej) w małżeństwie. Jeżeli to ma być na 30–50 lat, to chyba warto się potrudzić.

Po szóste: Dorosli patrzą na młodzież przez pryzmat swoich trudności i sceptycyzmu swego pokolenia. To nie młodzież, to przede wszystkim oni nie wierzą w możliwość czystości przedmażeńskiej, a młodzież posiada znacznie większą siłę woli niż to się im wydaje!

ANDRZEJ SZEFLIŃSKI

GDZIE JEST TEN PUSTOSTAN?

W związku z otrzymanym 26.07.88 r. materiałem krytycznym autorstwa red. Bogdy Madaj pt. „Relacja z dyktura reporterskiego” (Odgłosy z 18.07.88 r.) RSM „Lokator” wyjaśnia:

Przekazana w informacji treść: „Do bloku przy ul. Sprawiedliwej 8/10 10 lat temu wprowadzono młode małżeństwo. Ale już od 6 lat mieszkanie stoi puste, żona wyprowadziła się, a mąż już po raz drugi odsiaduje karę pozbawienia wolności za złodziejstwo” — jest zbyt lakoniczna, aby jednoznacznie określić, które to z mieszkań od wielu lat nie posiada użytkownika. W informacjach, które przekazywane są przez mieszkańców do Spółdzielni, brak było sygnałów o takim przypadku. Wymieniony budynek posiada 103 lokale mieszkalne, użytkowane na 11 kondygnacjach i dotychczas do tego, o którym zawarta jest informacja w relacji staje się niemożliwe bez wiadomości o numerze mieszkania.

Sprawdzając zaległości czynszowe, które występują w budynku nie stwierdzono, aby były one dłuższe niż 3 miesiące. W grupie spraw spornych, które mają swoje odzwierciedlenie w dokumentach spółdzielczych oraz złożonych w Wydziale Spraw Lokalowych Urzędu Dzielnicy nie natrafiono na informację, która odpowiadałaby znamionom zawartym w relacji.

W tej sytuacji zwracamy się z prośbą o umożliwienie uzyskania od Czytelniczki, która swoje personalia podała tylko do wiadomości redakcji, informacji o numerze mieszkania, o którym mowa w notatce. Posiadając tę informację będziemy mogli jednoznacznie ustosunkować się do poruszonego problemu bez konieczności indagowania części mieszkańców tego dużego bloku.

Pozostając wdzięczni za wskazanie problemu mamy nadzieję, że przy pomocy redakcji oraz Waszej Czytelniczki uda się go rozwiązać z korzyścią dla oczekujących w długiej kolejce po swoje własne „M”.

mgr BOGDAN MORUZAŁA
(Prezes RSM „Lokator”)

OD REDAKCJI. Zwróciłmy się pisemnie do naszej Czytelniczki z prośbą o podanie dokładnego adresu. Jeśli przeczyta niniejszy list, być może poda ten adres bezpośrednio zainteresowanej administracji RSM „Lokator”.

WAŻNE INFORMACJE

DLA BYŁYCH UCZNIÓW SZKÓŁ W ŁOWICZU. Odbędzie się w dniach od 1 do 2 października 1988 roku 13 zjazd koleżeńskich Kół Wychowanków i Wychowanków Szkół Średnich, na który i „Odgłosy” zostały zaproszone. DLA POETÓW. Przygotowano dla nich konkursy.

VIII Otwarty Turniej Jednego Wiersza poświęcony przeżyłom i refleksjom związanym ze Świętem Zmarłych ogłosił Oddział Stowarzyszenia PAX w Piotrkowie Trybunalskim. Każdy wiersz powinien być napisany na maszynie w 5 egzemplarzach z podanym godłem. Wiersze te powinny być nadesłane do 31 października 1988 roku pod adresem: Oddział Wójewódzki Stowarzyszenia PAX, 97-300 Piotrków Trybunalski, ul. Dąbrowskiego 18. Dla najlepszych wierszy przewidziano nagrody.

X Ogólnopolski Konkurs Poetycki „MIŁOŚĆ SŁUPA” ogłosiło 68 organizatorów, którzy też przewidzieli liczne nagrody. Jest to konkurs otwarty, dla wszystkich, którzy nadesłają zestaw po trzy wiersze do tej pory nie publikowane. Można przysłać dowolną ilość zestawów. Każdy zestaw powinien być opatrzone godłem. Nadsyłać je należy do 30 września 1988 roku pod adresem: ZW ZSP w KONINIE, al. 1 Maja 15. Dodatkowe informacje można też uzyskać pod telefonem 213-94 w Koninie.

Życzymy powodzenia!

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

GARŚĆ WSPOMNIEN

Wczesną wiosną 1936 r. wstąpiłam do Gromady Czerwonego Harcerstwa w dzielnicy Chojny. Jako początkująca harcerka mająca niecałe 14 lat uczyłam się rewolucyjnych piosenek i historii walk klasy robotniczej. Zaglądałam do książek, z których dowidywałam się o rewolucji francuskiej, i rosyjskiej. Umiiałam śpiewać „Marsyliankę” przetłumaczoną na język polski.

I maja w czasie trwania pochodu przypinałam znaczki na oświatę robotniczą zbierając ofiarowane mi grosiki. Następnym razem zbierałam pieniądze na walczącą Hiszpanię. Nie muszę podkreślać dlaczego to robiłam. Cieszyłam się, że w ten sposób przyczyniam się do popierania władzy ludowej Hiszpanii. Moja działalność nie podobala się kierownikowi Szkoły Nr 2 mieszczącej się przy ul. Podmiejskiej. Oświadczył, że komunistek szkoła nie potrzebuje i powinien poszukać sobie innej. Przy pomocy towarzyszy z PPS interweniujących w mojej sprawie Kurator polecił mi pozostać w dotychczasowej szkole. Pozostałam, ale zabroniono mi publicznie przychodzić na lekcje religii. Ksiądz katecheta w swoich naukach wskazywał, że do Czerwonego Harcerstwa należą tylko bezbożnicy. Mówiłam do koleżanek, że chodzę na lekcje baletu i występuję w prawdziwym teatrze. Uczę się alfabetu Morse'a i chodzę na wycieczki do lasu. Koleżanki nie bardzo wierzyły, ale słuchały, dla nich było to coś nie do pójścia.

W 1938 roku zdałam egzamin na przewodniczkę Gromady. Poprzednią przewodniczką Maryla Kopkowna została powołana na sekretarkę do Hufca. Nie mogłam jeździć na obozy z powodu braku pieniędzy. Nie były to duże sumy, a mimo tego nie miałam ich. Postanowiłam zaoszczędzić potrzebną sumę. Przez dwa lata składałam grosik do grosika i w 1939 roku wyjechałam na oboz do Józefowa koło Tomaszowa Maz. Na obozie poznałam dr. Habera, który pełnił obowiązki obozowego lekarza. Nigdy nie przypuszczałam, że dr. Haber będzie moim współtowarzyszem w czasie okupacji.

W trzecim dniu wojny byłam już sanitariuszką w pobliskim szpitalu na ul. Leczniczej 6. Mieszkaliśmy obok na Piasecznej. Szpital to dawny budynek „KASY CHORYCH”, nie przystosowany do leczenia rannych. Nie było wyboru. Przywożono żołnierzy i należało ich przyjąć. W tym właśnie szpitalu spotkałam dr. Habera. Pełnił obowiązki zastępcy dyrektora (specjalnością jego była chirurgia). Ordynatorem był dr. Malinowski. Nie było czasu na dokształcanie się. Tego czego nauczyłam się na obozie harcerskim, teraz czynnie wprowadzałam w życie przy ratowaniu chorych.

Przywożono coraz więcej rannych żołnierzy. Brakowało opatrunków i leków. Cały personel szpitalny pracował z poświęceniem starając się ulżyć chorym. Po godzinach pracy dodatkowo zbieraliśmy zastępcze materiały mogące służyć jako bandaże i okrycia dla chorych.

Do Łodzi wkroczyli Niemcy. Opanowali szpital. Na każdym piętrze stał niemiecki wartownik. Wszyscy nasi żołnierze uważani byli za jeńców wojennych.

Wśród rannych zapanała atmosfera strachu przed deportacją. Ranni pragnęli uciekać. Prosił o pomoc. Zaczęła się zbiórka cywilnej odzieży. Kto z personelu mógł przynieść jakiegokolwiek cywilny ubiór oddawał je tym najbardziej zdecydowanym i najzdrowszym, którzy w ucieczce mogli sobie dać radę. Byli wyprowadzani zapasowym wyjściem do ogrodu i dopiero na ulicę. O mojej pomocy udzielał rannym w ich ucieczkach wiedział doktorzy Haber i Malinowski.

W mojej pamięci pozostało nazwisko: Franciszek Kidon, lat 25. Opowiadał mi, że był parobkiem u dziedzica i tak bardzo chciał żyć. Zmarł na moich rękach. Drugie nazwisko to Florian Urbaniski, którego często odwiedzała żona — oboje byli łódzianinami. Maryla Urbaniska prosiła mnie o pomoc. W damskiej ubikacji przebrała męża w cywilne ubranie, a ja sprzątnęłam pozostawioną odzież. Wyszli zapasowym wyjściem. W 1963 roku pracowałam w PZDZ „MARKO” i tam spotkałam Marylę Urbaniską. Poznała mnie. Zapytałam o męża — odpowiedział: „że mąż należał do podziemia i został stracony w Poznaniu”.

Dr. Haber zaczął chodzić z przypiętą gwiazdą na piersiach i plecach. Nie pozwolił mi na zerwanie ich, nie chciał też ratować się. Obiecał mi pomoc, niestety był uparty. Niemcy organizowali łódzkie getto. Po pewnym czasie dr. Haber do szpitala już nie przyszedł.

W marcu 1940 r. szpital zamknięto. Ciężko chorych polskich żołnierzy umieszczono w różnych niewiadomych mi miejscach. Dr. Malinowski przedostał się do Tomaszowa Mazowieckiego. Zostałam zwolniona, ale z nakazem dalszej pracy, którą musiałam podjąć jako pomoc krawcowej u Niemki, Jadwigi Witl. Pracowałam u niej do września 1944 roku, potem wywieziono mnie na okopy w okolicie miasta Warty i tam doczekałam się wyzwolenia.

Na początku maja 1940 roku pracując już u tej Niemki, przypadkowo spotkałam Jana Jaguszewskiego byłego członka PPS i TUR na Chojnach. Powierzył mi funkcję łączniczki, wyznaczył punkty kontaktowe przy jednym z grobów na cmentarzu przy ul. Rzgowskiej. Tak więc jako łączniczka znalazłam się w samodzielnym wydziale organizacji bojowej PPS. Następnie mianowana w koncepcjach działalności partyjnej. Teraz kontaktowałam się z Karolem Kopczyńskim i zostałam kolporterem prasy konspiracyjnej Robotniczej Partii Polskich Socjalistów. Od Franciszka Lewego otrzymałam mowy dokument (ausweis) na nazwisko Alicja Franka.

Po wyzwoleniu Łodzi pierwszym przewodniczącym w dzielnicy Chojny został Franciszek Lewy. Na przewodniczącą OMTUR wybrano mnie. Zastępcą został Zbigniew Szyszko, a sekretarzem Henryk Morczkowski. W marcu 1945 r. utworzył się Łódzki Zarząd OMTUR z siedzibą przy ul. Jaracza 45. Do naszych najbliższych zadań należała agitacja i werbowanie nowych członków. Chroniliśmy fabryki przed kradzieżami, wysłaliśmy młodych do Milicji Obywatelskiej i na uczelnie. Organizowaliśmy sekcje sportowe, inicjatorem był Tadeusz Stolarek.

Pierwsze powojenne święto klasy robotniczej i Maja obchodzono uroczystie. Szliśmy jak dawniej z Wodnego Rynku (pl. Zwycięstwa) na Polesie Konstantynowskie do miejsca straceń bojowników z 1905 roku.

ALICJA SOBÓTKA-PIJANKA

CO JEST W TYM BUDOWNICTWIE?

Gdy byłem młodzieńcem, śpiewałem: „niech się mury pną do góry, kiedy dłonie chętnie są”. Byłem pełen optymizmu i niepotrzebna mi była wówczas propaganda sukcesu.

Ale gdy ta przyszła, wciąż ubywało chętnych rąk do efektywnej, fizycznej pracy w budownictwie. Zanikały umiejętności fachowe murarzy, tynkarzy, dekarzy, malarzy, cieśli i posadzkarzy. Na budowach ciągle ubywało fachowców z rodowodem i z tradycjami do fizycznej fachowej pracy. Wtedy, jako aktywny działacz kilku społecznych organizacji zawodowych usiłowałem wpływać na zmianę tej nieprawidłowości. Gdy zapytałem murarzy: dlaczego porzucają fach, co stanowi przyczynę podejmowania takich decyzji? — odpowiadali: czy nie widzisz tego cyrku i tego, że przez okrągły rok na państwowej budowie kwitnie lipa?

I jakkolwiek swoje niemal całe dorosłe życie poświęciłem pra-

cy zawodowej w sferze produkcji, nadzoru i zarządzania w naszym krajowym budownictwie; choć minęło lat trzydzieści od dnia, w którym podjąłem pracę w budownictwie kontynuując tradycję po ojcu, pojęcie „niedostatku mocy przerobowych” w licznych państwowych przedsiębiorstwach budowlanych do chwili obecnej jest aktualne.

Oczywiście z tą różnicą, że planem na lata 1986—90 objęto nie tylko inwestycyjne budownictwo mieszkaniowe, lecz także remonty starych budynków mieszkalnych. Jak i z tą, że cykl remontowania starych i wznoszenia nowych wydłużył się niczym z gumy. A także z tą, że państwowe i spółdzielcze jednostki wykonawstwa robót budowlanych dziś mają cudownie wypisane instrukcje i wytyczne, mają programy i diagramy, wzory sprawozdań i raportów oraz rozróżnione do monstrialnych granic administracyjno-gospodarcze zarządy.

Obecnie jest taka różnica, że tu i ówdzie na państwowych budowach kwitnie niegospodarność, partactwo i marnotrawstwo drogocennego budżetu. Marnotrawiony jest czas, który wydłuża okres oczekiwania do odbioru nowo wznieszonego budynku czy do ukończenia remontu starego obiektu budowlanego.

Jest i taka różnica, że nareszcie powstają nieduże, lecz rzutkie i aktywne prywatne firmy budowlane a zatem wykonawstwem robót budowlanych zajmują się nie tylko organizmy gospodarcze mieniem ogólnonarodowym i grupowym, lecz także organizmy gospodarcze mieniem stanowiącym własność indywidualną. Co ciekawe, najszybciej, najlepiej i najtaniej budują i remontują dziś budynki najmniej usprzętowane i najmniej wyposażone w środki produkcji małe budowlane zakłady rzemieślnicze. W prywatnych rzemieślniczych zakładach pracy budowlano-remontowej nikt cementu nie marnuje i beztrudno nie łamie eternitu. Jest troska o racjonalne wykorzystanie wszystkich środków produkcji i o pełne wykorzystanie każdej godziny dnia roboczego. A właśnie tych czynników brakuje na budowach prowadzonych przez nieruchomości i ociąża państwowe i spółdzielcze jednostki wykonawstwa budowlanego.

Niedawno, na budowie pewnego kościoła, miałem okazję przyrzeć się nie tylko wysmakowanej architekturze. Zobaczyłem tam porządek wzorowy, jakby w oczekiwaniu na surową inspekcję. Ludzi prawie nie widać tam było. Grana cementu nie zmarnowano. Za to mury piły się do góry proste i z fugą określona w polskiej normie, świadcząc uprzejmie o codziennej trzeźwości pilnych i zdyscyplinowanych budowlanców. Nie do pójścia jak to się dzieje, że byle proboszcz czy kapelan, przysmuglony koniecznie, okazuje się lepszym organizatorem ludzkiej pracy i kierownikiem robót niż zawodowy budowniczy po studiach specjalistycznych w służbie państwowego przedsiębiorstwa budowlanego.

Jeśli pomyśleć, że w naszym kraju mamy łącznie i równocześnie prowadzonych przez państwowe firmy budowlane ponad 20 tys. placów budowy, na ogół rozgrzebanych i ze znaczącą liczbą „stojkowych” i pomnożyć te place przez czas marnotrawiony, gnijące na nich materiały, niezaangażowane w wykonawstwo robót maszyny, to czuję się obecnie — jak noworodek w uspołecznionym budownictwie — bezbronny jak noworodek u małego szloch jest pełen beznadziejnej rozpacz.

Czuję się zobowiązany postawić pytanie: dlaczego ludzie zatrudnieni w przedsiębiorstwach gospodarczych wydzieloną częścią mienia ogólnonarodowego i mieniem grupowym nie pracują tak jak w uwłaszczonych firmach budowlanych? Dlaczego w państwowych przedsiębiorstwach budowlanych są aż tak dalece rozbudowane zarządy i jednocześnie na poszczególnych placach budowy jest kiepski nadzór? Dlaczego młodzież nie uczy się zawodu murarza czy malarza — w drodze praktycznej nauki zawodu w rzemieślniczych zakładach pracy pod czujnym okiem mistrza? Dlaczego reforma tak opornie wkracza do podmiotów gospodarczych naszego krajowego budownictwa? Dlaczego w nim przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze i prywatne nie mogą ze sobą rywalizować i te pierwsze wciąż mają pozycję monopolistyczną na usługowym budowlanym rynku?

ZDZISŁAW PIWNICKI
(Warszawa)

CZY I KTO POKONA INFLACJĘ?

W XX wieku Polsce groziła już trzykrotnie inflacja. Za każdym razem tłumaczono ją różnie. Rok 1923 to bezpośredni okres po I wojnie światowej, a właściwie dwóch wojen, tj. 1914—1918 i 1919—1920, które w poważnym stopniu zniszczyły nasz kraj. Odbudowa kraju trwała długo. Propaganda lat czterdziestych i pięćdziesiątych głosiła, że była ona ślamazarna w porównaniu do odbudowy lat czterdziestych po II wojnie światowej.

Sytuacje z lat 1923 i 1950 były do siebie bardzo podobne i niemal w identyczny sposób likwidowane — wymianą waluty. W roku 1923 ustanowiono walutę stałą, wymienną za walutę obec. W roku 1950 twierdzono jedynie, że waluta polska opiera się na parzytacie srebra, co później nie sprawdziło się.

Za moich młodych lat mawiano mi i moim rówieśnikom, że miara niepodległości i niezawisłości narodu są: niepodległe państwo, armia i waluta. Pierwsze dwa czynniki utrzymały się. Pozostałe tylko pytanie: dlaczego dolar stał się w Polsce walutą obiegową, za którą dzisiaj można wszystko otrzymać?

W latach czterdziestych twierdzono, że po kilkunastu latach uczciwej pracy zażyjemy zasłużonego odpoczynku, a nasze wnuki opływać będą w dostatki. Jak dotychczas zapewnienia te nie spełniły się, a emerytów mawia się niejednokrotnie do ponownego „dobrowolnego” podjęcia pracy. Kto jest winien, że zmora inflacji dusi nas?

Przez dwadzieścia kilka lat pracowałem w zaopatrzeniu prowadząc ostatnio m. in. branżę budowlaną. Pamiętam, jak zarzucało mi, że nie wypełniałem swoich obowiązków i nie sprowadzałem tarcicy do remontów budynków. Kiedy tę tarcicę wreszcie sprowadziłem (po wielu trudach), przeceniono ją jako „bezwartościową” i sprzedano za bezcen na budowę prywatnych dachy. Sprowadzone za setki tysięcy dolarów maszyny, potrzebne do rzekomego podniesienia poziomu polskiej techniki niszczały przez zime i lato na dworcach, zabezpieczone tylko prowizorycznym pokryciem i słabymi daszkami. Po zdzwieniu zostały oddane na złom.

Te dwa przykłady mogą świadczyć o tym, że staliśmy się narodem, którego liderzy potrafią jedynie zwalczać problemy za pomocą narad, konferencji, dyskusji, odpraw itp., nie wnikać w to czy dadzą one jakiegokolwiek wynik.

Wielu ludzi straciło nadzieję, że w końcu znajdzie się człowiek, który zdławi ten zawili węzeł gordyjski rozplątając lub po prostu rozciąć.

M.K.
(Imię, nazwisko i adres znane redakcji).

„ROZRYWKI UMYŚLOWE”

Krzyżówki, szarady i inne tego typu zabawy mają od lat swoich zwolenników. Niektóre pisma prowadzą „kąciki”, uznawane przez stałych czytelników. I byłoby wspaniale gdyby nie...

Nie jest tak źle w Polsce z papierem, skoro coraz to ukazują się wydawnictwa tego typu, sprawiające wrażenie „jednorazówek”. Przykłady „Słoneczna krzyżówka” Młodzieżowego Centrum Kultury w Gdyni (16 stron — 22 zadania), „Lamigłówka” Fun-

dacji Pomocy Szkole (16 stron — 21 zadań), ale i „Krzyżówki z Miss Polonią” (8 str. — 10 zadań), lub „Mózgolapka” Związku Przemysłowego Produkcji Usługowej, Sp. z o.o. Warszawa (8 str. — 13 zadań). Ta ostatnia zresztą specjalizuje się w hasłach z historii ruchu robotniczego, z czym oczywiście wydawca żyje na co dzień...

Czy to komuś przeszkadza? Nie, ale musi się to komuś opłacać. Wróćmy do podanych przykładów: „Słoneczna” — nakład 300 tys. egz., cena 65 zł — wartość przyrzeczonych nagród — 400 tys. zł, „Lamigłówka” — nakład 300 tys., cena 70 zł, wartość nagród 400 tys. zł, „Miss Polonia” — nakład 400 tys., cena 100 zł (czyli cena sprzedaży 40 mln zł), nagrody: odwarzać wideo i 5 zestawów kosmetyków — wartości nie znam, oraz pieniądze w kwocie 240 tys. zł, „Mózgolapka” — nakład 300 tys., cena 50 zł, wartość nagród 250 tys. zł.

Rozumiem: Liczy się nie tylko koszty druku, wartość zwrotów i koszt kolportażu! Również koszt utrzymania stałych lub powołanych „ad hoc” redakcji no i honoraria autorów zadań! To ostatnie jawi mi się szczególnie po przejrzaniu Igraszek Umysłowych z „Zarzewiem”, wydanych przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie.

Wydawca przyrzeka zainteresowanym łączną kwotę 400 tys. zł za przesłanie odpowiedniej ilości prawidłowych rozwiązań do redakcji tygodnika „Zarzewie” w odpowiednim terminie. Oczywiście w drodze losowania.

Na 16 stronach zamieszczone są 33 zadania, z których 15 opracował ktoś o pseudonimie „Rymek”, 6 — „A-Mar”, 3 — „Władysław”, po 2 — „Mag-R”, „Kormoran”, „Genesis” i „Pseudonim”, a 1 „Welon”.

Godzi się w tym miejscu przeprowadzić pobieżną choćby analizę potęgi intelektualnej i feerii dowcipu zawartego w treści hasel i ich omówieniu. W szczególności w zadaniach „Rymka”. Np. w krzyżówce pod hasłem „Zakończ się łatwo” pierwszym hasłem do odgadnięcia jest „kobieta do chwili pierwszego stosunku płciowego”, a między „wycięciem w sukni”, odsłaniającym ramiona i plecy” i „kobietą utrzymującą z mężczyzną stosunki miłosne poza małżeństwem” znajduje się „mieszko z głów zwierząt rzeźnych”. Mamy również „kobiety tak mówią, gdy myślą „tak” (chodzi o „nie”), a także „kobietę pierwszy raz rodzącą”. „Kobieta, której mąż umarł” — możemy sobie darować.

W krzyżówce pod tytułem „Zbór bzdu” mamy do odgadnięcia hasła: „stróż zbóż”, „stróż rós”, „nóż zbóż”, „wzrós wód” i „aut out”. Nomen omen.

Któraś z kolejnych krzyżówek tytułuje „Rymek” „A to ci heca”. No i rzeczywiście! W „igraszkach palindromowych” spotykamy temtykę „on jej dał catusa, ona jemu wianek”, czy też „powiedziała stróżka. Ale dlaczego pomyliła łódka?”. A w „igraszkach homonimowych” „Rymek” uświadamia nam (jeśli dobrze odgadniemy), że „sam zapal nie starczy, gdy popęd jest starczy” lub „Zaden prezent miła nie jest dla mnie drogi, kiedy chcę sprowadzić ciebie na złe drogi”.

Nawet jeśli się pomyliłem i źle coś tam rozwiązałem, to nie mam wątpliwości, że zakres wyobraźni i skojarzeń „Rymka” można by przyrównać do tego faceta, badanego przez psychologa, który pytany, co mu przypominają poszczególne pokazywane przedmioty za każdym razem niezmiennie odpowiadał: „d...”!

Podziwiam, iż w takich „okazjonalnych” wydawnictwach wiążą sobie gniazdko i robią pieniądze ci, którym prac do szanujących się periodyków szaradziarskich i innych tygodników nigdy w życiu by nikt nie przyjął!

W. AFELT

PSS „SPOŁEM” WYJAŚNIA

W odpowiedzi na skargę obywatela Władysława Olejniczaka zgłoszoną telefonicznie do naszej Redakcji 23 lipca 1988 r. dotyczącą sklepu nr 1644 przy ul. Północnej 5/11, uprzejmie wyjaśniamy, że decyzją Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej z sierpnia 1987 roku, zmuszeni zostaliśmy do rozdzielnej sprzedaży mięsa i wędlin (przy dwóch stoiskach).

Nadmieniamy, że osoby uprawnione, obsługiwane są poza kolejnością zarówno przy stoisku mięsnym jak i wędliniarskim. Obywatel Olejniczak posiadając uprawnienia do zakupu poza kolejnością mógł kupić flaczki na stoisku mięsnym nie czekając w kolejce.

Prosimy o przyjęcie wyjaśnienia.

mgr HENRYK OSTROWSKI

WIĘCEJ TROSKI O ZIELEN

W odpowiedzi na notatkę z „Odgłosów” nr 21 z 21 maja 1988 roku, Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnictwa wyjaśnia co następuje: — drzewa uliczne na ulicy Zachodniej były cięte w stanie bezlistnym wiosną 1988 r., dlatego też zaistniała sytuacja, iż pozostawiono kilkanaście suchych gałęzi. Z uwagi na nawal wiosennych prac ogrodniczych i porządkowych oraz szczupłość załogi Zakładu Konserwacji Zieleni Bałuty nie można było w miesiącach maj—czerwiec usunąć ich. Aktualnie gałęzie, o których mowa, zostały usunięte. Usuwanie są także sukcesywnie z ulic dzielnicy suche drzewa.

Nadmieniamy ponadto, iż 20 maja 1988 r. odbyło się spotkanie przedstawicieli LPO z autorem listu do naszej redakcji, ustalono wówczas zakres prac i możliwy termin ich wykonania.

Odnosnie trawników przy ulicy Zachodniej, Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnictwa kontaktowało się telefonicznie z wykonawcą — Kombinatem Robót Drogowych i uzyskało zapewnienie, iż po zakończeniu prac trawniki te zostaną poddane renowacji i uprzątnięte.

inż. ANDRZEJ KRZYSTANEK

NIE TARASUJĄ JEZDNI

W odpowiedzi na nadesłany nam materiał krytyczny, autorstwa Andrzeja Makowieckiego (relacja z dyżuru telefonicznego) z 3 sierpnia 1988 r. dotyczący zatarasowania jezdni, przed stacją benzynową w pobliżu al. Włókniarzy i ul. Komfortowej, Wydział Gospodarki Komunalnej Urzędu Dzielnicy Łódź-Górna stwierdza, że po przeprowadzeniu analizy nie znajdujemy uzasadnień dla twierdzenia p. J. Ch. ponieważ pojazdy oczekujące na wjazd do stacji benzynowej nie tarasują istniejących przejazdów dla pieszych, a p. J. Ch. prawdopodobnie usiłuje przechodzić w miejscach niedozwolonych.

Jeżeli się mylimy, to prosimy o bezpośredni kontakt zainteresowanego z naszym Urzędem.

mgr inż. ANDRZEJ SULAT



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 56-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:
25 sierpnia — EUGENIUSZ IWANICKI — godz.
10—15.
1 września — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godz.
10—15.

RELACJA Z DYŻURU W DNTU 13 SIERPNIA
1988 R.

Nie nudziłam się podczas mojego dyżuru. Telefon dzwonił niemal bez przerwy, co wynikało chyba z faktu, że nasi Czytelnicy powracają z urlopów i od razu wpadają w szarą codzienność, która co i rusz dostarcza powodów do ponadnięcia w irytację.

Pan Lewicki, pracownik zakładu jedwabniczego, zaczynał rozmowę od stwierdzenia, że prawo działa nie dla wszystkich jednakowo. Przekazał mi tematy, które ostatnio bulwersują jego i kolegów z pracy. I tak: Dlaczego — pyta pan Lewicki — za srożeńie nie do pracy w moim zakładzie odbiera się przepustki tylko pracownikom fizycznym, natomiast nie odbiera się pracownikom administracji? Dlaczego nie podaje się do publicznej wiadomości nazwisk ludzi odpowiedzialnych za marnotrawstwo różnego rodzaju? Dlaczego nie słyszy się o karach, jakie powinny być na nich nałożone? Kto jest odpowiedzialny za to, że człowiek, który jest podejrzanym o popełnienie przestępstwa, bestialskiego morderstwa, może nie popełnić w trakcie przerwy w odsladywaniu wroku, spowodowanej przebiegiem lekarskim? Pan Lewicki uważa, że za przestępstwa popełniane przez dzieci karę powinni ponosić również rodzice. Dotyczyłyby również rodzice, którzy nie byli nakładane na dyrektorów i kierowników tych zakładów, które zatrudniały środowisko, placówką ma z własnej kieszeni, a nie z zakładowej kasy.

Relacje poglądy pana Lewickiego tak, jak mi je przekazał, aczkolwiek nie mogę zgodzić się ze wszystkimi. A już zupełnie grzebię pod myślą, żeby za przestępstwa dzieci odpowiadali również rodzice.

Pani Teresa K. od 17.08.1956 r. pracowała w prywatnym sklepie swojego męża. Do roku 1974 przepisy nie zezwalały na ubezpieczenie emerytalne osób zatrudnionych w prywatnym handlu, z chwilą jednak, kiedy taka możliwość zainicjowała pani Teresa K. ubezpieczyła się, placąc regularnie miesięczne składki. W dniu 17.07.1988 w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych złożyła wniosek o przyznanie jej emerytury, poparty zaświadczeniem ze Zrzeszenia Prywatnego Handlu i Usług, potwierdzającym przepracowane przez nią 20 lat. Emerytury jednak nie przyznano, mimo że osiągnęła i wiek emerytalny, i owe wymagane 20 lat pracy. ZUS nie zaliczył jej bowiem tego okresu, w którym, nie ze swojej winy, nie mogła być ubezpieczona. Wychodzi na to, że powinna pracować jeszcze p.nad 6 lat. Rozważała pani K. jest tym większe, że — jak pawiada — nikt jej w ZUS wcześniej nie poinformował, że z uzyskaniem emerytury w stosownym wieku może mieć kłopoty. Ponieważ sądzimy, że w podobnej sytuacji znajduje się nie tylko Teresa K. po uzyskaniu koniecznych wyjaśnień do sprawy jeszcze powrócimy.

Przedstawicielka Komitetu Domowego z ul. Nawrot 34 zwróciła się do nas z prośbą o interwencję w dyrekcji PGM Łódź Śródmieście, ul. Bucza 6. W listopadzie 1987 r. Zakłady Gazownicze odcieły w budynku dymy z gazu. Przyczyna była stara, groźna niebezpieczeństwem, skorodowana instalacja. Mieszkańców zapatrzone w jednomyślnie kuchni elektryczne i obciążone szybko rozpoczął roboty naprawcze. Na monitorujące pismo mieszkańców skierowane do PGM w marcu 1988 roku w kwietniu przyszła odpowiedź podpisana przez zastępcę dyrektora do spraw technicznych — inż. Janusza Grębnickiego, z której wynika, że do końca czerwca miała być gotowa odpowiednia dokumentacja potrzebna do na-

tychmiastowej realizacji robot. Kończy się sierpień i w domu przy ul. Nawrot 34 nie się nie dzieje! Wobec tego pytamy: — Jak długo jeszcze mieszkańcy mają czekać na normalne warunki życia? Czekamy nie tyle na kolejną odpowiedź, że są trudności, tylko na zawiadomienie o rozpoczęciu koniecznych robót.

Dyrektora Wydziału Komunikacji UML, mgr inż. Lecha Krupowicza pytam natomiast w imieniu pani M.Z., kiedy wreszcie zacznie działać sygnalizacja świetlna na skrzyżowaniu ulic Przybyszewskiego — Kilińskiego? Z opublikowanego przez nas listu podpisanego nazwiskiem dyr. Krupowicza wynika, że zmiana pierwszeństwa przejazdu na ośmiskierowym skrzyżowaniu spowodowana została wyłączeniem z ruchu ul. Piotrkowskiej, a zaistalowana sygnalizacja ma szybko poprawić komunikację. Prace nad sygnalizacją rozpoczęto w czerwcu. Piotrkowska tylko patrzeć zostanie do ruchu włączona, a sygnalizacja jak nie działała, tak nie działa.

Z Teofilowa zadzwonił do nas pan Józwiak, który z kolei ma pretensje do organizatorów pracy w Zakładzie Sieci Ciężkiej. Przed miesiącem pracownicy ZSC rozkopali ulicę Bielczową oraz ulicę osiedlową i na tym zakończyli swoją działalność. Wyłączono przy okazji oświetlenie, rozkopane ulice utrudniają życie mieszkańcom i tym zmotoryzowanym i nie, są zagrożeniem dla dzieci. Po co wcześniej rozkopawać ulicę, skoro później nie ma kto tam pracować? — pyta Czytelnik.

Nie wiemy, ale sądząc po rozgrzebianych ulicach w innych rejonach miasta, podejrzewamy, że jest to specyficzna, ale jednak metoda remontowania ulic. Żeby tak jeszcze poznać autora owej metody!

Pan R.S. opowiedział mi o domu przy ul. Narutowicza 40. Pięciopiętrowa kamienica podlega prywatnej administracji, której opieką nad budynkiem sprawdza się tylko i wyłącznie do ściągania z mieszkańców należnych opłat. Stary budynek od co najmniej ośmiu lat nie był remontowany, a przydałoby się wymalowanie klatek schodowych, zreperowanie zdezelowanej bramy, a przede wszystkim remont windy. W domu mieszka wielu starszych ludzi, dla których wniesienie na piętra wiaderek z węglem jest ogromnym problemem. Może prywatna administracja zainteresowałaby się bliżej problemami mieszkańców wspomnianego domu?

Zirytowany przyjechał z wczasów w Mielnie pan Jarosław Pytko. Zirytowany fatalnym połączeniem kolejowym Łódź ze Środkiem Wybrzeże. Ponieważ pociąg z Łodzi do Koszalinu PKP zawisł — jak na ironię — od maja do września, pozostaje łodzianom pociąg kolobrzecki oraz połączenie autobusowe PKS. Ze w tej sytuacji dojeżdża się na Środkiem Wybrzeże w warunkach makabrycznych, przekonując nikogo nie trzeba.

Nie negując potrzeby szeregów uprawnień poszczególnych rad narodowych, pan Pytko uważa jednak, że stosowany przez wiele województw 10 proc. dodatek turystyczny jest bezczelnym drenażem kieszonki turysty, za który to drenaż turysta niczego nie otrzymuje. Czy zostanie położony w końcu kres owym praktykom? — pyta Czytelnik. Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

Z urlopu we wsi Zwierzyniec wrócił pan Grabowski i zaraz potem wybrał się na Słoki. W Zwierzyniu, choć to wieś, ulice mają utwardzoną nawierzchnię. W Łodzi, choć

to duże miasto, także ulice, jak Sąddecka, Gązdy, Jesienna, Limbowa przypominają polne drogi. — Czy to nie wstyd? — pyta pan Grabowski.

Na pytanie — dlaczego w Zwierzyniu za tonik sprowadzany z odległej Debycy Czytelnik płać 30 zł, a w Łodzi za tonik produkowany przy ul. Gdańskiej płać 45, mogę tylko odpowiedzieć, że są to zapewne efekty reformy gospodarczej. Natomiast pytanie — dlaczego autobus linii „F” nazywa się pociąg, skoro zatrzymuje się na wszystkich — z wyjątkiem tylko jednego — przystankach obsługiwanych przez autobusy zwykłe, kieruję do MPK.

O przystanku autobusowy przy skrzyżowaniu ulicy Gagarina — Tuszyńska (w stronę Dąbrowy) w imieniu mieszkańców zachodniej części osiedla Chojny upomina się pani Dubilas, Czytelniczka, zachęca również SANEPID, aby zainteresował się stanem sanitarnym małych uliczek położonych między ulicą Rzgowską a Tuszyńską (w stronę Chojny). Cuchnące, zaśmiecone odpadkami rynsztoki, sterty śmieci na ulicach, smrodliwe kałuże — to codzienny widok. Czyżby owe ulice były zupełnie bezpieczne?

Na bzdurę w przepisach obowiązujących w działalności służby zdrowia zwraca nam uwagę pan Marek Leśniewicz. Czytelnik uległ wypadkowi i ma kontuzjowane ścięgno Achillesa. Czeką go 6 tygodni, gipsu i co najmniej 6 tygodni rehabilitacji. Pierwsze zwolnienie opiewało na 9 dni. Po następne, pan Leśniewicz — gips założony aż po udo! — wysłał żonę. Niestety, lekarz nie mógł znieść zwolnienia wydać bo zgodnie z przepisami musiał zabrać pacjenta. W kolejkę po zwolnienie czekało jeszcze kilkanaście osób z gipsem, lekarz przyznał w prywatnej rozmowie rację panu Leśniewiczowi, że ten przepis to bzdura, ale bzdura obowiązująca. Sma życie.

Somitował się pan R.Z., że z taką sprawą dzwoni do kobiety, ale szlag go trafił przed kioskami, w którym zobaczył od dawna niedostępne przesyłki. I cenne — 150 zł! Szukał — Kto nas tak opodatkował, czy to ma być towar luksusowy? — pyta Czytelnik. I jeszcze jedno. Wyprodukowano wreszcie u nas przyswoite szczepionki do zębów, takie jak od dawna zalecają stomatolodzy. I tylko znów cena — 650 zł! Czy to nie przesada?

Pod adresem „Ruchu” kierujemy spostrzeżenia pana Lewandowskiego. W okolicach ul. Zródlowej i Nowotki na 4 kioski, czynne są tylko 2. O godz. 8.30 nie można już kupić żadnej gazety.

Pan Miron Szurgot chwali „Odgłosy” za publikację fragmentów książki Arnolda Mostowicza „Złota Gwiazda i Czerwony Krzyż” (dziękujemy), ale gani jednocześnie za błędy w niemieckich cytatach w artykule L. Włodkowskiego „Miał to być pokój uratowania dla jednego pokolenia” (przepraszamy). Jednocześnie — w drodze wyjątku — przekazujemy Czytelnikom ofertę pana Szurgota. Otóż posiada on zbiór zdjęć bokserów powycinanych z prasy lat dwudziestych i trzydziestych. Może przydałyby się jakimś hobbystom? Telefon p. Szurgota 57-58-35.

I jeszcze jeden telefon proszący o uwagę. W artykule J. Wilmańskiego „Biografia wpięta w dwa krajoznazwy” jest między innymi mowa o 5 Pułku Ułanów Jazłowieckich w Stanisławowie. Pułkownik Wojciech Rączkowski prosi: był 5 Pułk Ułanów Zasławskich, stacjonujący w Ostrołęce, 14 Pułk Ułanów Jazłowieckich, stacjonujący we Lwowie, natomiast w Stanisławowie stacjonował 6 Pułk Ułanów Kaniowskich.

Przy okazji p. Rączkowski powiedział mi jak brzmi zakwalifikowana wersja „Żurawiejki” Ułanów Jazłowieckich. Cytuję: „Hej dziewczyny, spuście kiecki. Już nie może jazłowiecki”. Czytelników ciekawych, jaka była pierwotna wersja „Żurawiejki” odsyłam do stosownych lektur. Czytelników gotowych zgorszyć się ową odrobiną frywolności zachęcam, mimo wszystko, do uśmiechu.

BOGDA MADEJ

Polak, który zrobił karierę w Paryżu.

Ucz się w studio Glegolskiego



Fot. Hubert Cygan.

Nie jest w Polsce tak znany jak nad Sekwaną, choć na to zasługuje. Może dlatego, iż zanim nam, w kraju, zdążył pokazać się od najlepszej strony już go właściwie nie było. A zaczęło się tak: w r. 1961, kiedy zdobył dyplom warszawskiej szkoły baletowej, wyjechał do Moskwy, do słynnego Instytutu GITIS. Tu studiował na wydziałach choreografii i pedagogiki, po czym po powrocie związał się na krótko z warszawskim Teatrem Wielkim i szkołą baletową. W r. 1968 wyjechał do Paryża i tam zaczął się nowy etap tej ciekawej artystycznej biografii. Wielka kariera? Tak.

Porozmawiamy o niej, bo warto. Andrzej Glegolski niedawno przebywał krótko w Polsce, przygotowując siłami łódzkimi i poznańskimi jedną z trzech części wieczoru baletowego na otwarcie nowego sezonu Polskiego Teatru Tańca w Poznaniu. Już pod nową dyktando Ewy Wychowskiej. Przyjechał do kraju po 19 latach, aby rozpocząć stałą współpracę artystyczną i pedagogiczną z zespołami baletowymi Łodzi i Poznania.

Polscy koledzy wyrażają się o pana pracy z zachwytem. Ewa Wychowska i Liliana Kowalska zaliczają pana studio paryskie do najlepszych we Francji i najbardziej renomowanych, czego dowodem jest fakt, iż pobiera prywatne lekcje a pana także słynni tancerze Opery Paryskiej i Zespołu Bejarta. A przecież musiał pan niegdyś zaczynać od przysłowiowego „niczego”...

Po przyjeździe do Francji w końcu lat sześćdziesiątych zaangażowałem się do kilku zespołów jako tancerz, a następnie zacząłem pracować w studio w Paryżu założonym w firmowanym przez sławną niegdyś artystkę Ivettę Chavée. To był już r. 1971. Myślałem, że udało mi się na siebie zwrócić uwagę, oczywiście w sensie metod pracy, skoro mogłem już w dwa lata później starać się o otwarcie własnego studia, w dobrym punkcie na Montparnasse. I tam mogłem liczyć także na zainteresowanie tancerzy zawodowych. W tym samym czasie występowałem także z pewnymi propozycjami choreograficznymi. Przygotowałem przedstawienia na festiwal w Avignon, na tournée do USA i gdzie indziej. To był niezwykle pracowity okres mojego życia.

Można by rzeczywiście przypuszczać — słuchając tego co pan mówi — że wszystko „zrobiło się samo”. A przecież, żeby otworzyć własne, markowe studio tańca, trzeba mieć i klientów, i pieniądze, i dokładne rozeznanie w potrzebach rynku. I zawsze się przy tym ponosi ryzyko.

To jasne. Ale przecież miałem świadomość, że część osób przychodziła do studia pani Ivette także dla mnie. Zdobyciem przecież dobre wykształcenie, solidne podstawy klasyczne w Moskwie, do tego w jakiś sposób sprawdzone w mojej pracy na scenie. Nie bez wpływu na zainteresowanie moim studium był fakt, iż starałem się wyciągać na bieżąco wnioski z tego, co dzieje się w balecie w zespołach zachodnich.

Mówi się w polskim świecie baletowym, że Andrzej Glegolski, to duża firma jeszcze z innego powodu. Pan po prostu dobrze wie, nie tylko czego trzeba uczyć, ale i jak...

— Od samego początku stara-

łem się traktować wszystkich uczniów indywidualnie, zapewniając im jakby komfort oddzielnego kontaktu. To szalenie rozluźnia, daje przekonanie, iż formy pracy są dostosowane do poszczególnych indywidualności. Jednocześnie odchodzę od starych metod. Kiedyś uczono tańca jak w zły sposób języka obcego: najpierw gramatyka a potem cała reszta. Teraz uczy się inaczej — całych zwrotów i fraz, by jak najszybciej „zaskoczyć”. To samo stosuję w balecie, uczę całymi fragmentami, by dodać otuchy i wzmocnić motywację. Jednocześnie wtedy uzyskuje się najlepsze efekty.

— Podobno umie pan stosować właściwe formy reklamy. To ważne!

— Przyjąłem zasadę, że nie nie placu u mnie gwałdy tańca profesjonalnego i... Polacy. Jestem w tym konsekwentny.

— Czym trzeba dysponować?

— Przede wszystkim trzeba mieć lokal, a to w Paryżu kosztuje najwięcej. Tu, gdzie jestem teraz, na Placu Pigalle, wynajmuję salę z powierzchnią około 300 m kw., z wyjściem do ogrodu. Trzeba mieć także odpowiednie urządzenia, też nie tanie — lustra, dobra podłoga, zaplecze, garderoby itd. Cieszę się, że miałem wśród swoich uczniów tak dziś sławne nazwiska, jak Patrick Dupont, Elizabeth Platelle, Matilde May i inni. Konkurencja była jednak duża.

— Kiedy zmienił pan małe studio na Montparnasse, o którym mówiliśmy, na wielkie przy Placu Pigalle?

— To było w roku 1978. Mogłem podjąć taką decyzję dlatego, iż zacząłem współpracować z profesorem jazzu — Mathem Matos. Ale nie wspominałem jeszcze, iż na Placu Pigalle mam znakomitą parkiet, mogłem też otworzyć mini-bar, stworzyć w ogóle komfortowe warunki dla moich uczniów.

— Ile to kosztuje pana?

— Samo wynajęcie sali 250—300 franków za godzinę. Do naprawy nie ma.

— Kim są pana klienci?

— To ludzie w różnym wieku. Od 14 lat do... 70. Głównie profesjonalści, ale nie tylko. Czasami jest rzadziej sponibizm uczących się tańczyć. Staram się jednak ich traktować bardzo poważnie, choć na pewno inne stosuję metody w stosunku do tancerzy profesjonalnych.

— Nie mówiliśmy jeszcze o pana karierze tancerza. Gdzie pan zaczął pracować po wyjeździe z Polski?

— Przyjechałem najpierw do Marsylii i tańczyłem w zespole Eolanda Petit. Potem był już Paryż.

— Jak pan ocenia obecny stan baletu francuskiego?

— Jeśli chodzi o umiejętności — to uważam, że w tej chwili skupia najlepszych tancerzy świata. Znaczenie niżej oceniam natomiast choreografię, kształt artystyczny prezentowanych spektakli.

— Dlaczego tak dobrzy są tancerze francuscy?

— Bo we Francji jest aktualnie około 5 mln osób, które nie tylko interesują się baletem, ale też chciałyby się uczyć tańca. Najlepsi dowód, że istnieje tak wiele prywatnych szkół tańca. Jest więc z czego wybierać. Nie tylko to zresztą decyduje o poziomie tańca zawodowego. Inny niż w Polsce jest system awansu w zespołach baletowych, co sprzyja rozwojowi umiejętności. Aby młody tancerz mógł być koryfejem, musi zdawać egzamin przed publicznością. Taki egzamin zdaje się zresztą co roku, co zapobiega stagnacji. Nie jest dane raz na zawsze. Bardzo wcześnie następuje także start na profesjonalnej scenie. W Polsce trzeba się uczyć 9 lat w szkole baletowej, by wreszcie wystartować w wieku 18—19 lat. We Francji to wszystko jest znacznie krótsze — debiutuje się mając 15—16 lat.

— A dlaczego pan sam zainteresował się baletem?

— Jako dziecko byłem bardzo słaby fizycznie. Lekarz powiedział, że dla wzmocnienia powinienem ćwiczyć, zainteresował się jakąś dziedziną ruchu. I tak się zaczęło.

— A teraz...

— Teraz, we wrześniu, otwieram wielkie centrum choreograficzne w Paryżu, które nazywa się już „szkołą Glegolskiego”. Będzie prowadzone zajęcia w trzech dziedzinach: tańca klasycznego, modern, jazzu. Od przyszłego roku pomaga mi mój impresario, także Polak, Hubert Cygan. Nie powiedziałem jeszcze, że przez 4 lata prowadziłem na Sorbonie wykłady z teorii tańca.

— A co by pan chciał przypomnieć w własnej działalności organizatorsko-artystycznej?

— „Balet Glegolskiego” i „Festival Ballet de Monte Carlo”.

— Jaki był cel pana wizyty w Łodzi?

— Przygotować „Pietruszke” Igora Strawińskiego. Z nowym librettem napisanym wspólnie przeze mnie i Huberta Cygana. Wychodzi ono od pomysłu, który winien współgrać z dzisiejszymi zainteresowaniami nie tylko miłośników baletu. Rzec jest o tym, iż tytułowy bohater żyjąc w świecie marionetek, pragnie porwać je do walki o zjedzenie masek, o swobodę działania, o wolność. W związku z czym przeżywa dramatyczne doświadczenia, łącznie z wiezieniem, próbą samobójstwa itp. I choć sam nie wychodzi z tego zwycięsko, jego walka nie okazuje się daremna.

Wydałoby mi się, że takie libretto w pewien sposób podkreśla nowoczesny charakter muzyki, wciąż znakomitej, a jednocześnie o czymś więcej niż „tylko” o miłości bohatera. Staram się w kształcie choreograficznym czerpać zarówno z doświadczeń teatru antycznego, jak i teatru postępującego się środkami bliskimi grotesce. Najprawdopodobniej także podczas pobytu w Polsce we wrześniu 1988 zrealizuję jeszcze „Popołudnie Fauna”. Będzie także w Łodzi, ponieważ dyrektor Sławomir Pietras zaprosił mnie na dwutygodniowe lekcje ze swoim zespołem baletowym.

— Jak ocenia pan umiejętności tancerzy polskich?

— Szczególnie cenię Romana Komassę z Łodzi, ale świetnie mi się pracuje także z innymi. Są rzeczywiście dobrze przygotowani.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
MALGORZATA KARBOWIAK

WYPOŻYCZALNIA
PRZECZEP
BAGAZOWYCH

PIOTR MYNC
Łódź,
ul. Edwardsa 10
264-Z

HAU
HAU.

SKLEP
Z AKCESORIAMI
DLA ZWIERZĄT

smycze
obrożę
kagańce
konserwy
karmie
witaminy
kosmetyki

ŁÓDŹ,
ul.
NARUTOWICZA 39
265-Z

Wbrew pozorom, czyli sugestii zawartej w tytule, nie jest to tekst o krwawych porachunkach bałuckich bandytów z przełomu wieków ani o metodach dintojry. Jeśli ktoś na to liczył, niech raczej przeczyta coś innego. Będzie to nudny tekst, omawiający... bilans bałuckiego domu kultury.

Opublikowałem na początku czerwca 1988 roku artykuł, w którym próbowałem zastanawiać się, jaki powinien być model finansowania kultury i sztuki w drugim (i w następnych także) etapie reformy. Żeby były na nią pieniądze, żeby nie obciążała zbytnio chudej kasy Rzeczypospolitej (wbrew maksymie „Rzeczpospolita zapłaci...”), żeby wreszcie wszystkim nam to jakoś służyło, jak na ustrój sprawiedliwości przystało.

Przedstawiłem więc parę pomysłów samofinansowania niektórych placówek, zaproponowałem ograniczoną reprivatyzację czy współdzielenie niektórych instytucji kulturalnych. Wreszcie z uporem maniaka — po raz trzeci czy czwarty? — zażądałem takiego systemu progów i ulg podatkowych, który wręcz spowodowałby zainteresowanie przemysłu w finansowaniu instytucji i inicjatyw w dziedzinie sztuki i kultury.

Nie zdziwiłem się, że listów ani telefonów nie miałem. Do czasu... Oto zwróciło się do mnie kierownictwo Domu Kultury Łódź-Bałuty, w osobach pani dyrektor Marii Krynickiej i jej zastępcy, Marcina Janica. Z czym się zwróciło? Ano, z pretensjami. Ze w moim tekście tylko furt o wydawnictwach, teatrach, estradach, a o całym pionie niefortunny nazywanym „nieprofesjonalnym” — ani słowa. A oni oto kombinują, na głowie stają i w sposób niemal cudowny rozmnażają pieniądze i to prawie według moich — a zdawało się, że wydumanych! — recept!

Z nieukrywaniem sceptycyzmem zasiadłem przeto nad plachtami papieru, z których jak na dłoni wynikało, że w bałuckim DK cud finansowy rzeczywiście ma miejsce. I tu właśnie muszę przeprosić Czytelnika — będzie o liczbach i procentach, czyli bilans DDK.

W roku 1988 planowane wpływy to 33 miliony 113 tysięcy złotych z Wojewódzkiego Funduszu Rozwoju Kultury plus dochody własne, zaplanowane na 5 milionów 300 tys. zł. Wydać się, że dużo? Chwileczkę... Kiedy odliczy się wszelkie stałe opłaty typu czynsz, rachunki za energię itp., płace pracowników i inne tego rodzaju stałe a konieczne — i wciąż rosnące! — wydatki, okazuje się, że na tzw. działalność podstawową tj. im-

Są pieniądze!

Jak to się robi na Bałutach?

prezy artystycznej, działalność klubów i zespołów itp. zostaje... 7 milionów 731 tysięcy zł. Żeby nie było za dużo, to mieści się w tej sumie także wydatki, ponieważ jednorazowy, w wysokości 3,5 miliona na organizację Dni Kultury Robotniczej. Jak łatwo zatem obliczyć pozostaje 4 miliony i 231 tys. złotych. Marcin Janic przysięga na wszystko, że wystarczy to na dwa miesiące normalnej działalności! Dajmy na to, styczeń i luty. A potem? Zamknąć kram i wciąć kilkumiesięczny, bezpłatny urlop?

Ostatnie pytanie ma — oczywiście — charakter retoryczny. Toteż w DDK głowią... A co już „wyglówkowali” w 1988 roku?

Po pierwsze — coś tam wyciągnęli z nadwyżek budżetowych i rezerw głównych sponsorów, tj. Dzielnicy Rady Narodowej i Wydziału Kultury i Sztuki UMi. Dzielnica dała aż osiem milionów (głównie na działalność Harcerskiego Domu Kultury i Techniki), Wydział wysupłał milion. To wszystko nadal za mało. Toteż wg. porzekadła „umiesz liczyć? Licz na siebie” osiągnęli dochody z własnej działalności w wysokości 8,5 miliona za półrocze — przypomnijmy, że zaplanowano 5 milionów 300 tys. za rok.

To także wciąż za mało. Wystarczy porównać z wydatkami — otóż „przerób” za pierwsze półrocze wyniósł 43 i pół miliona złotych. Wyjaśnić należy, że ów „przerób” to — z grubsza, bez wdawania się w niuanse — mniej więcej to, co „obroty” w przedsiębiorstwie przemysłowym lub handlowym. Nie jest to znowu taka wielka suma, jeśli się zważy, że półrocze zamknięto imponującą liczbą 470 imprez! A przy okazji — łatwo te 43 miliony porównać z planowanymi wpływami (rocznymi!) wynoszącymi 33 miliony 400 tysięcy...

Drogi Czytelniku, jeśli przebrnąłeś już przez bilans, nie odkładaj jeszcze tego tekstu. Dalej żadnych liczb nie będzie! Dochodzimy bowiem do sedna. Otóż już w 1987 roku w bałuckim DDK doszli do wniosku, że sami rady nie dadzą, trzeba szukać sponsorów, mecenasów, współników. I znaleźli. W maju 1987 zawarli umowę z Biurem Turnieju Młodych Mistrzów Techniki. Była to — jedyna chyba — szansa na wyposażenie DDK w komputery. Takie czasy, że dzieciarnia i młodzież bawi się komputerami nawet skutecznie! Niejednokrotnie od profesjonalnych biur statystycznych. Bez komputera, bez wideo, ba! bez satelitarnej TV żadnego kompota do domu kultury nie ściągnie, że już o gramofonach kompaktowych itp. nie wspomnę.

W lutym 1988 roku następną umowę o współpracy: z Zarządem Dzielnicy ZSMP. Organizacja młodzieżowa — w myśl umowy — partycypuje w utrzymaniu klubu „Rondo” przy ulicy Li-manowskiego. ZD płaci solidarnie z Domem Kultury za imprezy, młodzież sama sobie gospodarzy w klubie. Związek ma lokal, Dom Kultury ma współnika do finansowania działalności.

Ale z samych organizacji młodzieżowych żyć się nie da. Przypomnijmy, że Biuro TMMT to również agenda ZSMP. Gdzie są „prawdziwe” pieniądze? Każdy wie — w banku. Ale nie tylko. Pieniądze „robi” przemysł... i przemysł właśnie ma spore możliwości samodzielnego gospodarowania swymi pieniędzmi. Tymczasem reforma kultury nie lubi, samorządy pracownicze też coś nie za bardzo. Załoga nie żyje sobie wydawać na świetlice? Proszę bardzo, można za tę forszę dofinansować wczasy albo przedszkole...

Wprawdzie bałucki DK, trochę na zasadzie osobistych sympatyków układów, trochę z tradycji (działają przecież w dzielnicy od trzydziestu lat!) ma różne kontakty z sąsiedzkimi zakładami. Choćby z „Artechem” (Zakłady Artykułów Technicznych); Dom zakładowi część artystyczną na Dzień Kobiet, zakład domowi odpadki drzewne, cenione przez klub majsterkowiczów.

Wszystko to jednak wiosny nie czyni. Wiosnę uczyniła kolejna, jeszcze cieplejsza umowa z dyrektorem Fabryki Pierścieni Płokowych „Fapit” z ulicy Liściastej. Umowa zawarta 7 czerwca 1988 r. zakłada stałą i efektywną współpracę bałuckiego DK z „Fapitem” i jego załogą. Oto „Fapit” niebawem zainstaluje swoim kontrahentom zestaw do odbioru telewizji satelitarnej. To nie koniec: będzie — w miarę potrzeb i możliwości — wspomagał DDK czym ma i może, choćby usługami transportowymi. A co Dom Kultury? Ano imprezy artystyczne, głównie na terenie zakładu, który ma świetlicę dostępną dla pobliskiego osiedla. A także, w lecie, w zakładowym ośrodku wczasowym. Ale to nie wszystko. Ciekawy precedens to reklama „Fapitu”, jaką konsekwentnie, we wszystkich swoich filiach będzie prowadził Bałucki Dom Kultury. I to nie tylko reklama wyrobów — głównie będzie to reklama zatrudnienia w partnerskim zakładzie, który jakieś tam kłopoty kadrowe ma, jak wiele innych firm.

I to jest woda na mój młyn! Tak to właśnie widzę — żadnej filantropii, żadnej darowizny, żadnej łaski. Normalna, partnerska wymiana usług. „Fapit” potrzebuje domu kultury, dom potrzebuje „Fapitu”. Warto tu dodać, że to nie kierownictwo DK nawiązało kontakt z fabryką — to przewidujący, nowoczesnie myślący menadżerowie z „Fapitu” wystąpili z tą inicjatywą. Stąd już tylko krok do sytuacji, o której do znużenia mówię do dotacji finansowych, wpłacanych na rzecz placówek kulturalnych przez zakłady przemysłowe. Za określone usługi wzajemne.

ANDRZEJ KAROLCZAK

1 Pod prąd

Jaką mamy młodzież?

Pamiętam, w gimnazjum kolegowałem z dwoma rówieśnikami z naszej kamienicy. Janek uczęszczał do tej samej, co ja, klasy. Staszek — u szkoły handlowej. Obaj pochodziли ze średnio zamożnych rodzin urzędniczych, które niczym szczególnym się nie wyróżniały, co mogłem naocznie stwierdzić, bywając w obu domach. Z racji sąsiedztwa przesiadywałem bowiem u siebie gozdimam, wspólnie bawiając się, ucząc i dyskutując. Byliśmy — jak mawiano — nierozłączni i wiedziliśmy o sobie prawie wszystko. Później ze zrozumiałych względów nasze drogi rozeszły się, mimo to jednak nie straciłmy się zupełnie z oczu, dzięki czemu mogłem śledzić losy kolegów i porównywać je, jako że znacznie się od siebie różniły, choć że tak może być, początkowo nic nie wskazywało. To znaczy, wskazywało, i to chyba dużo wskazywało, ale ja nie potrafiłem jeszcze tego dostrzec i dopiero po latach, patrząc na młodzież z ich perspektywy, zrozumiałem, dlaczego stało się właśnie tak, jak się stało.

Choćż żadnego z nich nie wyróżniałem, do Staszka zachodziłem częściej — przede wszystkim dlatego, że mieszkał za ledwie piętro wyżej, gdy Janek — aż trzy. A schody u nas były dosyć strome i nieprzyjemne. Ale nie tylko z tego powodu. Istotną rolę odgrywała też panująca w jego domu atmosfera, która po prostu bardziej mi odpowiadała. Najkrócej mówiąc, była to atmosfera wzajemnego zaufania rodziców i dzieci, którym pozostawiano sporo swobody, starając się wychowywać je tak, aby same wybierały dla siebie to, co jednocześnie najbardziej odpowiadało rodzinie. Jak im się to udawało, nie bardzo wiem do dzisiaj, gdyż działali dyskretnie, a ich kontrola nad zachowaniem syna i naszym, kiedyśmy się we trzech spotykali, była prawie nieodczuwalna, choć — okazywało się raz po raz — rodzice doskonale orientowali się, co robiliśmy i jakie poglądy mieliśmy w tej czy innej sprawie. Dużo mówił im niewątpliwie najstarszy z rodzeństwa Staszek, ale przecież na pewno nie wszystko. Choćby dlatego, że wiele naszych spraw starałmy się zachować przed dorosłymi w absolutnej tajemnicy. Mimo to, kiedy wychodzili na jaw, jego rodzice nigdy nie sprawiali wrażenia zaskoczonych, czy zakłopotanych, jakkolwiek nie szczędzili nam i gorzkich słów krytyki, a właściwie rozmawiali z nami tak, iż sami w końcu byliśmy skłonni patrzeć krytycznie na niektóre nasze postęпки i pomysły.

U Janika było inaczej. Ojciec raczej nie interesował się tym, co chłopak robi i wymagał od niego jedynie dobrych stopni w szkole, grzeszności oraz punktualności, zwłaszcza gdy chodziło o powroty wieczorem do domu. Za to matka — ponała wprost z ciekawości, czym to się zajmujemy i nieustannie wypytawała nas, gdzie byliśmy albo dokąd się właśnie wybieramy, z kim i po co. Jeśli uważała, że zamierzamy postąpić niewłaściwie, najpierw odradzała nam to, a potem głośno zakazywała Jankowi na przykład obejrzenia jakiegoś filmu, czy też udziału w niedzielnej wycieczce za miasto, gdy — jej zdaniem — miała trwać zbyt długo. Czyniła tak zapewne z miłości i wielkiej troski o syna, którego starała się ze wszystkich sił uchronić — jak mówiła niejednokrotnie — przed złymi wpływami i wykerować na ludzi. Ale im bardziej usiłowała mu narzucać swą matczyną wolę, tym bardziej on się przeciwko temu buntował i chciał postawić na swoim, nawet za cenę złamania danego uprzednio słowa. To jednak — muszę przyznać — zdarzało się raczej rzadko. O wiele częściej natomiast Janek ukrywał przed rodziną swoje prawdziwe zamiary i stawał ją przed faktami dokonany, co oczywiście ściągało nań burzę pretensji,

wymówek i lamentów nad jego przyszłością, o różnych karach już nie wspominając.

Co dziwniejsze, owe lamenty okazały się wcale nie bezpodstawne, gdyż Janek po maturze istotnie wpadł w nie najlepsze towarzystwo, rozpił się, rozhuł i kilkakrotnie popadł nawet w konflikt z prawem, co negatywnie odbiło się tak na jego karierze zawodowej, jak i — pożytku małżeńskim, które nie było zbyt udane. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że uzyskawszy pełnoletniość, częstokroć działał nie tyle dla swego dobra, co na złość matce, która w dalszym ciągu chciała mu urządzić życie wedle własnych wyobrażeń i przekonań o szczęściu.

Staszek z kolei, choć również nie uniknął popełnienia kilku poważnych błędów, nieustannie — że tak powiem — pisał się w górę, dorabiał i cieszył się różnym szczęściem, ceniąc je sobie nade wszystko. Zawsze cechowała go szczerość, otwartość i odpowiedzialność. No cóż, może miał po prostu więcej tak zwanego życiowego szczęścia, którego brakło, niestety, Jankowi. Jak by jednak nie było, z pewnością bardzo dużo zawdzięczał też swoim rodzicom, którzy właśnie tak, a nie inaczej go wychowali. Sam to zresztą kiedyś przyznał przy wódec, a rozwijając temat, dodał, iż widzi pewne podobieństwo między stosunkiem rodziców do dziecka, a ogólnie władzy — do młodzieży. Podobieństwo skutków — wyjaśnił przy tym, by nie było wątpliwości. I choć to może poglądy nazbyt uproszczone, trudno by mu było kategorycznie zaprzeczyć.

JÓZEF RETMAN

2

Lewym okiem

Magazyn informacyjny

Jest sobota, 11 lipca 1988 r., południe, w pierwszym programie Polskiego Radia skończył się właśnie magazyn informacyjny „Z kraju i ze świata”. Oto parę notatek z tego magazynu:

Mówi pan, relacjonujący pogodę na dziś: „na południu pogoda wyglądać będzie w ten sposób...” Sposób wyglądu pogody na południu, to niezwykle koszmarny stylizowany, jakich coraz więcej spotyka się u naszych dziennikarzy.

Kierowniczka „Pewexu”, zapytana o kostiumy kąpielowe, których nigdzie w handlu normalnym dostać nie można, odpowiada, że u niej w „Pewexie” — „aktualnie wyprzedzamy non stop”. Aktualnie, non stop, to drugi koszmarny stylizowany — tym razem nie w ustach zawodowego pracownika mowy. Kostiumy kąpielowe sprzedawane są „non stop” za dolary, za złotówki nie ma ich w ogóle nigdzie. Dlaczego nie ma, to nikt nie wie i nikt nie kwapi się z wyjaśnieniem tej sprawy.

Jako przerywnik idzie piosenka, oczywiście plażowa. Tekst jest mniej więcej taki: „W uszy wlała się woda poszedł na dno jak kłoda aż do dna się pogryzł bo ratownik nie dażył”. Dalej tekst jest bardzo śmieszny i w sumie przypomina piosenkę „W mogile ciemnej usia, susia”. Ostatecznie w oceanie idiotyzmów tekstowych ta jeszcze jedna piosenka to tylko mała kropelka.

Po piosence krótka rozmowa z dyrektorem przetwórczo owocowo-warzywną: „Nie przerobimy oferowanej nam ilości owoców i warzyw, bo nie mamy beczek, nie mamy też słojów, potrzebujemy 200.000 beczek, a mamy 4.000. Słojów trzeba będzie importować za dewizy”. Powtórzmy: w ciągu dwudziestu minut dowiedzieliśmy się, że nie ma kostiumów kąpielowych, nie ma beczek, nie ma słojów, trzy razy „nie ma”. Czy to tylko magazyn informacyjny jest tak jednostronny?

Ależ skąd! Poprzedniego dnia w krótkiej rozmowie z ministrem od spraw handlu usłyszeliśmy, że 15 do 20 proc. sklepów w miastach jest zamkniętych. Pan minister ubolewał z tego powodu. Minister ubolewający, że jego własny resort pracuje źle, to zupełna nowość, ale może się do niej przyzwyczailmy, jak przyzwyczailiśmy się już do tylu przedziwnych rzeczy. Jak się te 15 czy 20 proc. zamkniętych sklepów sprowadzi do jednej branży i jednej dzielnicy to z 20 proc. robi się 80 albo 100. Po prostu trzeba w innej części miasta czynić zakupy. Dziwne tylko, że nigdy jeszcze nie był w mojej dzielnicy zamknięty sklep monopolowy. Czy tam ludzie nigdy nie mają ułopów?

Krótko przed, a może po rozmowie z panem ministrem, była w tymże programie rozmowa z dyrektorem przedsiębiorstwa handlu detalicznego w Warszawie. Zapytany o to, jak handel przygotowany jest do rozpoczynającego się wkrótce sezonu szkolnego, pan dyrektor powiedział: nie będzie sprzętu sportowego; nie będzie fartuskowych; nie będzie spodni marmurkowych ani sztruksowych; jak wiadomo nie będzie dresów ani dla dorosłych, ani dla dzieci; nie będzie też bielejzy dziecięcej ani dostatecznej ilości dziecięcego obuwia. Skonfundowana redaktorka zapytała: — to coż wreszcie będzie, panie dyrektorze? Odpowiedź: jak wiadomo przemysł nie produkuje dostatecznych ilości. Koniec, kropka. Aha, nie będzie jeszcze plasteliny.

Powtórzyłem tu tylko wiadomości mieszczące się w 60, no może w 100 minutach jednego programu radiowego. Takie wiadomości sączą się nieustannie, płyną, chłustają na nas ze wszystkich stron. Nie ma do nich żadnych komentarzy, jest tylko bezsilne, bezradne stwierdzenie wciąż na nowo: „nie ma”, „nie możemy”, „nie będzie”, jak wiadomo.

Można by tak ciągnąć jeszcze długo, ale muszę kończyć felieton, bo nie ma papieru maszynowego. Przebitki ni. ma już od paru lat. Zamiast przebitki kopie piszemy także na papierze maszynowym lub śniadaniowym, zużywając w ten sposób trzykrotnie więcej papieru. Nie ma przebitki, teraz nie ma także papieru. Życzę państwu przyjemnego urlopu.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Spojrzenie znad szachownicy

Związek Dziadków

Nie chciałbym się przesadnie zachwalać, wyolbrzymiać własnych zasług jest mi bowiem z gruntu obce, w każdym razie zostalem dziadkiem i dlatego byłem ostatnio jakby nawet trochę mniej aktywny jako żurnalista, mając — że się tak wyrażę — nowo narodzone dziecko na głowie.

Rychło też dostrzegłem — i dziwi się nawet, że nikt wcześniej tej sprawy nie podjął — iż przesuając się w hierarchii pokoleń natrafiamy na rozmaite straszliwy i trudności, których pojedynczy dziadek pokonać nie jest w stanie. Dlatego sądzę, że niezbędne jest powołanie Stowarzyszenia Dziadków, Ligi Dziadków — a to na wzór Ligi Kobiet, do której razda babcia zapisać się może, gdy biedny dziadek zapisać się nie ma dokąd — a już najlepiej Związku Zawodowego Dziadków, który byłby za dbał, żeby nasz polski dziadek nie wszedł przypadkiem na dyady.

2.

Jest bowiem tak — o czym informuje młodsze pokolenie Czytelników, które kiedyś też posmakuje naszego losu — że najbardziej nawet zasłużony dziadek nie wie, gdzie czemu nie otrzymuje Karty Cięży, bez której to karty próba kupienia

pieluszek albo dziecięcej kaski kwitowana jest wzgardliwym śmiechem. Dziadek chce się wykazać, przegonić z panstwowego sklepu gna więc do komisju albo na bazar, tam jednak ceny przyporządkują go e zawrót głowy, mimo postępującej sklerozy pamiętamy bowiem słodkie czasy, gdy za stówę można było wypić, zakąsić i mieć jeszcze na nocny tramwaj do domu.

Pierwszym zadaniem Stowarzyszenia, Ligi, czy też Związku Dziadków byłoby tedy wywalczenie puli asygnt na pieluski, ewentualnie organizacja zbiorowych wycieczek do NRD czy gdziekolwiek indziej, oczywiście połączonych z wcześniejszym szkoleniem, co na taką wycieczkę zabrać i gdzie to coś kupić.

3.

Związek Dziadków mógłby też prowadzić kursy innego rodzaju, na przykład przewijania niemowląt, nie jest to bowiem sprawa taka całkiem prosta.

Nasuwa się wprawdzie bliskie pewności przypuszczenie, że zanim człowiek został dziadkiem, wcześniej był już ojcem, w tych pstrych i zwariowanych latach zazwyczaj bardziej interesowała nas wszelaka twórcza strona prokreacji, aniżeli jej banalne konsekwencje. Przejmność przewijania bachora pozostawialiśmy tedy żonom oraz własnym mamom czyli babciom, no i teraz najczęściej nie wiemy, z której strony się do tego zabrać.

4.

Wypadałoby na koniec wspomnieć, że dziadkowie jako grupa nacisku mogliby ho, ho, ho nie wiedzieć co zdziwiać, pod warunkiem, że się wcześniej zorganizują.

Cale życie mieszkalem na przykład w rejonie Polesia i pamiętam doskonale, że ulicą Srebrzyńską można było dojechać na osiedle Montville-Mireckiego albo też dojechać na Zdrowie. Potem Zdrowie zaczęło przeobrażać w Park Kultury i Wypoczynku i na tę okoliczność ustawiono na najpiękniejszej polanie tak zwaną karuzelę oraz zamknięto przejazd dla samochodów, żeby nikomu nie było za śmiesznie. Piesza część publiczności nadal wędrowała jednak przez tory, choć kto głupi mógł też leżeć drewnianym mostem, w optymistycznym wariancie ryzykując jedynie skrecenie nogi.

Nie ma wszelako ucieczki przed postępnem. Przejście zadrukowano na amen, do mostu dosztukowano podjazdy dla dziecięcych wózków opatrzone groźnym napisem „Uwaga, strone pochylnie” i tą prostą metodą odcięto matki z małymi dziećmi od parku, zaś starym ludziom zaufano obowiązkowo wspinaczce, gdyby przypadkowo mieli coś do załatwienia po drugiej stronie torów.

Pisał o tym „Express”, nawet w dość ostym tonie, wyliczając ilość połamanych nóg i innych obrażeń odniesionych na tym piekielnym moście, ale — o ile wiem przynajmniej — efekt był żaden, a to dlatego, że z urzędniczą machiną trudno walczyć w pojedynkę.

5.

I tu kończą się żarty, a zaczyna prawdziwe „stromie schody”. Domyślam się, że brakowało pieniędzy na dróżnika, zaś jeden z drugim pijaczek zabłąkał się pomiędzy pedagoga pociąg, trzeba więc było zlikwidować pociąg, albo park i osiedle za torami, albo przynajmniej przejście, no i wybrane to trzecie.

Związek Dziadków nie protestował, bo go jak dotąd nie ma, istnieje jednak DRN Łódź-Polesie, prawowity gospodarz tego terenu. Niechże więc radni, na których głosowali zarówno mieszkańcy Kozin, jak i osiedla im. Mireckiego, wydelegują ze swojego składu dwoje seniorów, babcie i dziadka powiedzmy, oraz młodą radną koniecznie z niemowlęciem w wózku, która to podkomisja przeweduje przez te „schody placu” w jedną i w drugą stronę, a potem porozmawiają, oczywiście jeżeli zdysznali wędrowcy jakiegokolwiek słowo zdołają jeszcze z siebie wykrzusić.

Są bowiem pewne granice przyzwoitości nawet wówczas, gdy borykamy się z rzeczywistością, a nie urojonymi trudnościami. Tym razem zostały one przekroczone i to o wiele, wiele nadpróchniały, stromych, zagrażających ludzkiemu życiu i zdrowiu stopni.

JERZY P.

Zima nadeszła surowa, choć bezśnieżna. Z początkiem miesiąca zwanego grudzień ogromna rzesza Estów (aż trzy plemiona — Pomezanie, Sasini i Galindowie) pod wodzą kuninga imieniem Dywina, zdradziecko napadła na Mazowie i spaliła gród Ciechana. Potem zaś omijając Plock i Wysoki Gród pomaszerowała na kraj Ludzi Długogłowych, którymi rządził sędziwy książę imieniem Lęczyc. Zaraz też Zyfika przysłała do Gniazda ludzi z wieścią o tych sprawach i poprosiła Piastuną, aby jej przysłała do Plocka swoją armię lubo też sam przybył osobiście i pomógł jej zamknąć Estom powrót do domu, już z łupami i niewolnikami, zdobyłymi w kraju Ludzi Długogłowych. A że miał wtedy Piastun ponad dwustu Lestków jako osobistą drużynę osiadłą w Gnieździe oraz ponad trzystu Lestków rozproszonych po wioskach i grodach wokół Gniazda, gotowych stawić się na każde jego wezwanie, a także prawie czterystu tarczowników — postanowił natychmiast rozprawić się z owymi Estami. Na wodza armii, która miała dopomóc Zyfice wyznaczył Olta Powalę, ponieważ wyrósł już na młodzieńca i miał lat szesnaście, a wychowując go Piastun bardzo Olta ukochał. Dał mu tedy płaszcz wojewody, dwustu Lestków i dwustu tarczowników, czterdzieści wozów z żywnością oraz paszą dla koni, i wysłał do Plocka, nakazując jednak, aby Olta Powalę nie podporządkował się Zyfice, lecz zachował samodzielność i działał tak, jak mu rozum wojewody działać doradzi. Mógł oczywiście Piastun ruszyć na Mazowie z całą swoją potęgą i osobiście oraz wezwać na pomoc armię Awdańców i Pałuki, nie wydawało mu się to jednak potrzebne, a także nie chciał uczynić Zyfiki aż tak pewną siebie i jego zyczliwości. Od pewnego bowiem czasu dziwne do niego dochodziły wieści — a przynosił je ludzie Spicimira — że Zyfika wciąż uzbraja i powiększa liczbę swoich sauromackich żołnierzy. Nie ma też żadnego statego kochanka, z młodziankami się zabawia, potem zaś ich potajemnie zabija, nie budząc żadnych protestów u swoich poddanych, ponieważ zawsze tak czyniły sauromackie Dziki Kobiety. Lecz nie to nakazywało Dagonowi ostrożność, bo nie go nie obchodziły zmysłowe praktyki pani na Mazowie. Ostrożność nakazywał fakt, że Zyfika wciąż jeszcze była jego żoną, choć on już miał drugą, Gedanię, będącą w czwartym miesiącu ciąży. Zyfika zdradziła komuś swoje myśli (a one zostały podchwyczone przez Spicimira i przekazane Piastunowi), że gdy urośnie w potęgę, zmusi Piastuną do uznania Kira za swego pierwotnego syna i następcę. Tak się oto sprawy miały, kiedy w porze świętowania zimowego przesilenia słonecznego, przybył do Gniazda wojownik na spienionym koniu, powiadał strażników u wrót warowni, że jest najmłodszym synem sędziwego Lęczycy i prosi o posłuchanie u Piastuna. Otrzymałszy takie zezwolenie, na chwilejących się ze zmęczenia nogach podszedł do tronu Piastuna i Gedani i tam padł przed nimi na kolana.

— Panie i Piastunie — powiedział słabym głosem. — Otoczeni jesteśmy w grodzie Lęczyc przez tysiące Estów, którzy pustoszą kraj. Gród nasz wydawał się obronny, ponieważ zewsząd otaczają go moczary. Ale silne mrozy skuli ziemię i bagna, wróg ma teraz z dwóch stron dostęp do wałów. Nie zdolamy się obronić, jeśli nie przyjdiesz nam z pomocą. Prosi cię o to mój ojciec, stary Lęczyc zwany Białym, nasz książę i pan.

Uważnie przyjrzał się Dago posłańcowi, który był najmłodszym synem Lęczycy Białego. W istocie słusznie ich nazywano Ludźmi Długogłowymi, ponieważ ich władcy i moiżni — zwyciężali Hunów, którzy u nich przetrwali — wydłuzali swoim niemowlętom głowy, nakładając na nie żelazne obręcze. I właśnie taki młodzieniec z wąsami, ale z dziwnie długą głową, kłęcząc przed tronem Piastuna.

— Jak cię zowią? — zapytał go Dago.

— Noszę imię Lęczyc Mały, gdyż jestem najmłodszym z braci. Ale bracia moi, panie, już wyginęli w walce z Estami. Ja tylko zostałem i mój ojciec, emknięty w grodzie i otoczony przez Estów.

Odezwał się stojący za tronem Herim, który był nie tylko

Wielkim Kancelerzem, ale otrzymał od Dagona tytuł Wielkiego Skarbnika.

— Zawarliście przymierze z Ludźmi Skrzydlatymi oraz księciem Karakiem i Łe-Helgundą. Czemu to do nich nie udałeś się po pomoc?

— Władca Ludzi Skrzydlatych, książę Sieradz, z braku pieniędzy musiał rozpuścić większość swych wojsk. Wojewoda w Witlandii, Jaszczolt, przyjął statki ze zbożem, wóskiem i skórą oraz innym dobrem, ale do tej pory należności nie zapłacił. Słyszałem, że Ludzie Skrzydlati mają cię, panie, prosić o wstawiennictwo u Jaszczolta, aby nie zwlekał z należnościami.

Skinął głową Dago:

— Zle czyni mój wojewoda Jaszczolt, i wkrótce wyjaśnię tę sprawę.

Lecz prawda była taka, że to Dago rozkazał Jaszczoltowi nie płacić należności za towary Ludźmi Skrzydlatym, gdyż kupowali sól nie w Gnieździe, ale u Karaka. Po to przecież

stawać do boju z waszymi wojskami, przyjmować waszych komorników i płacić stałe daniny.

— Chcesz więc być przede mną piastowany? — zapytał Dago.

— Tak, panie.

— Włóż tedy swoje dłonie w moje dłonie, a swoją głowę okryj skrajem mojego płaszcza — rozkazał uroczyście Dago.

A kiedy dopełniła się ta ceremonia, odprowadzono młodzieńca do komnaty, napojono go i nakarmiono i pozwolono wypocząć. W tym czasie Piastun nakazał wezwać do Gniazda wszystkich Lestków oraz przygotować do drogi sto wozów z żywnością dla ludzi i koni. Wieczorem zaś wezwał do komnaty Gedani — Spicimira i Herimę, i tak im powiedział:

— Zaiscie, czymś obrzydliwym jest, gdy syn zabija ojca. Ale czy nie wydaje się wam także czymś obrzydliwym, jeśli u władzy wciąż trzyma się sędziwy starzec, rozpущa wojsko,

gardy, niezdolnymi, aby władać swoim krajem.

Położyła dłoń Piastuna na swoim lekkim wzdętym brzuchu i rzekła nie wiadomo — do Piastuna czy do dziecka, które nosiła w łonie:

— Ziemia Lęczyców będzie twoja.

A potem zwróciła się już bezpośrednio do Dagona:

— Pokonasz, panie, Estów i przyprowadzisz tu setki niewolników. A w tym czasie ja zniechęcę kmielców, którzy nie płacą danin. Przysięgam ci, że ich plecy spłyną krwią, ale zastaniesz obwałowane trzecie podgrodzie i nie będzie warowni potężniejszej od Gniazda. Później zaś urodzę ci olbrzyma.

Dago zaś, choć niekiedy czuł niechęć a nawet wstręt do swej żony, skłonił się jej nisko, ponieważ pojął, że ta kobieta jest jego godną. Następnie wydał rozkaz, aby Lęczyc Mały na czele pięćdziesięciu Lestków ruszył przodem w celu rozpoznania sił przeciwnika i wdał się z Estami w walkę, starając

— Nie takie wywyższenie obliczywałeś mi, panie, gdy we dwójkę wędrowaliśmy przez moczary do Kraju Olbrzymów. Czy wiesz, że ludzie Spicimira za pieniądze Gedani równie wiernie służą jemu jak i twej żonie? Odnajdą i wymordują twoje i moje nadożnice.

— Czy to prawda, Spicimire? — ostro zabrzmiał głos Dagona.

— Tak, panie. Przekupiła ich i nie ma na to rady. I to ci jeszcze powiem, panie, że wielu co zamożniejszych Lestków, bojąc się, aby ich za rozwiązanie nie wykastrowano, zamysłają uciec od Zyfiki, która głośno pochwałą chuci.

Opuścił głowę Dago i powiedział jak gdyby do siebie:

— Zaiscie, wolność obyczajów bywa matką wszelkiej wolności. Ale surowość obyczajów jest także matką buntu. Jeszcze dziś, Herimie, wyruszysz do Poznania. Tam zbudujesz dla mnie dwadzieścia długich i lekkich łodzi do pływania po Warcie. Gedania urodzi mi olbrzyma.

śnieżnej główne siły z Piastunem i Spicimirem na czele musiały jeszcze pozostać w Gnieździe przez dwa dni, gdyż Dago zarządził, aby koła wozów zamieniono na plozy.

Tymczasem dwustu konnych i trzystu tarczowników, dowodzonych przez Olta Powalę do tarlo do Visuli w pobliżu Plocka i z pomocą oczekujących na nich wojowników sauromackich i dziesiątków łodzi oraz tratw zostało przeprawionych na drugi brzeg. Olta Powalę Najmłodszego przyjął Zyfika w sali paradowej, w drewnianym nowo zbudowanym grodzie, który jasniał świeżością belek.

— Witam ciebie, Olcie Powalo, i witam twoje wojsko — powiedziała Zyfika swymi pełnymi czerwonymi wargami. — Raduję mnie twój widok, gdyż wyrosłeś na pięknego młodzieńca. Myślę, że miałeś już jakąś niewiastę.

— O tak, panie — z przechwałką w głosie oświadczył Olta Powalę. — Rozkosz z kobietą poznałem, gdy ukończyłem lat czternaście. Potem wiele razy korzystałem z niewiast, dopóki nowa żona Piastuna, księżna Gedania, nie zabroniła mi tego aż do siedemnastego roku życia. Piastun uczynił mnie jednak wojewodą i pozwolił opuścić Gniazdo. Teraz nikt mi nie może niczego zakazać. To jednak ci wyznam szczerze, że żadna z tych niewiast nie była tak piękna jak ty, pani.

Uśmiechnęła się do niego łaskawie i rzekła:

— Sama widzę, że jesteś już mężczyzną, Olcie. A jednak Piastun nie oddał ci Kruszwic tak, jak obiecywał.

— I nie odda, pani. Na nowych ziemiach mam otrzymać władzę i ród mój będzie się rozmnażał.

— Nowe ziemie trzeba najpierw zdobyć — rzekła Zyfika.

— Tak, pani. Po to mnie ćwiczył Piastun do walki i dlatego dał mi wojsko mimo młodego wieku i małego doświadczenia.

— Już jutro wyruszymy z Plocka. Zatrzymamy się aż w Raciążu, a potem między snalonym grodem Ciechana i Raciążem zastawimy zasadzkę na powracających Estów. Żaden z nich nie może uciec żywy. A jeśli któryś zdoła przemknąć przez nasze szeregi, niech poniesie wieść o klęsce.

Zaprosiła Olta Powalę na ucztę, podała go miodem i winem, raz po raz głaskała po kolanach. Wydała się Oltowi niezwykle pożądaną, ponieważ ubrana była w obcisłą błusę welnianą, z welny zrobione spodnie, uwydatniające jej kobiece kształty, duże piersi, wypukłe pośladki, krągłe uda.

Głaszcząc Olta po kolanach i budząc w nim pożądliwość ku sobie, rozpytywała go o życie w Gnieździe:

— Powiadają — mówiła — że nowa żona Piastuna, Gedania, nie pozwalała wam żyć swobodnie i zażywać rozkoszy. Niewlastom, które korzystają z przyrodoznania swego, każą obcinać sromy, a mężczyznom przebijają gwoździem moszne. Prawda li to, czy kłamstwo?

— Prawda.

— Są tacy, którzy bojąc się kary za rozpustę, pytają mnie, czy mogą uciec z Gniazda i przyjąć ich u siebie na Mazowie. Powiedź im, Olcie, że każdego przyjmę. A jeśli ty opuścisz Piastuną, zostaniesz u mnie wielkim wodzem. Odebrane bowiem zostało wam prawo dawania i brania rozkoszy, to jest największa wolność człowieka. Czyż nie tak, Olcie Powalo?

— Tak, pani — przyznał Olta Powalę, gdyż nie cierpiał księżnej Gedani. To jednak, co mówiła Zyfika, brzmiało jak zachęta do zdrady Piastuna, a go nie więcej nie rzekł. On zaś, jak gdyby rozumiejąc, co żuje, pochwalił Piastuną:

— Wielu go opuści — powodu braku wolności, wteż on wypędzi Gedanię i mnie do Gniazda zaprosi. A także mojego syna. Zia jest Gedania i opętała czarami Piastuną, który dobrze uczynił pozwalając kupcom płynąć Visulą. Kupcy będą zastrzymywali się nie tylko w grodzie Włocławia, ale i w Plocku, z czego korzyść powstanie i dla nich i dla nas.

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glanc

zdobył Witlandię, aby teraz nierównie cięższe zapłacił za towary i rozkazywać sąsiadom jak mają żyć.

Znowu odezwał się Herim.

— Dziwnie brzmią twoje słowa, Lęczycu Mały. Twój ojciec, książę Lęczyc Biały jest władcą bardzo potężnym. Siedzisz na ziemiach mlekiem i miodem płynących. Od lat książę Gedani wielką strugę złota ku wam wysyłał. Nawet my, lud Polan, baliśmy się was i nigdy w waszą stronę żadnych najazdów nie czyniliśmy, choć tą samą co my mowa — władacie, czyli też jesteście jak gdyby Polanami. A teraz Estów się boicie?

— To wszystko z winy naszego ojca, sędziwego Lęczycy Białego. Otaczali go zawsze szacunek i miłość jego synów oraz nasze posłuszeństwo. On jednak bardzo się postarzał, zaniedbał umacniania grodów, zapomniał sztuki wojennej, nowych dowódców nie wyznaczał, wojowników do domu odsyłał, aby kmielcom ulżyć danin. Wielekroć namawiano nas, aby ojca zabić i władzę po nim powierzyć najstarszemu z braci, Lęczycowi Dużemu, ale ojcobójstwo to sprawa obrzydliwa.

Rzekł Dago:

— Prawdę mówi ten młodzieniec. Zaiscie, nie ma obrzydliwszej sprawy niż ojcobójstwo. Dlatego tak wstrętnym wydaje mi się książę Karak.

Głos zabrała i Gedania, która na drugim tronie siedziała cała w złotogłowie i w purpurowym płaszczu, ze złotą przepaską na jasnych włosach. Była bledsza niż zazwyczaj, jej ciężary brzuch uwydatniał się już nawet w obfitych szatach.

— Szlachetnie przemawiasz, młodzieńcze. Nie ma nic piękniejszego od miłości syna do ojca, a także córki do ojca. Miłowałam ja swego ojca, Księcia Gedani, szanowałam go i zawsze byłam mu posłuszna. Ale czy wiesz, co to znaczy oddać się w nasze piastowanie?

— Tak, panie. Będziemy odtąd

nie wyznacza dowódców i państwo swoje czyni bezbronny? Bo to, co jest obrzydliwe w rodzinie kmielca, bywa godne szacunku w rodzinie władców. Kto zabija na gościńcu dla mieszkającego pełnego pieniędzy, zbrodniarzem jest, odjęte powinno mu być ręce, a on sam powieszony i powiatowany. Kto zaś zabija dla umocnienia władzy — dobrze i szlachetnie czyni. Tak zrobił Konuuch Bazyli zabijając swego przyjaciela, wielkiego wodza Bardasa, a potem swego władcę i cesarza, Michała, dawcę wszelkich łask dla niego. Albowiem teraz cesarzem Rhomajów jest Bazyli i daje początek dynastii Makedońskiej. Nie okazują też posłuszeństwa swemu ojcu, Ludwikowi Teutońskiemu, jego synowie, Karloman i Ludwik Młodszy.

Rozpromieniała się twarz Gedani. Dopiero kilka miesięcy przebywała w Gnieździe, ale już mówiono, że zamiast krwi w jej żyłach płynie trucizna niezaspokojonej władzy. Nawet Spicimir jej się obawiał, tak była władca i surowa, i tak bardzo wymagająca posłuchu. Po zabójstwie własnego ojca niekiedy trapiły ją wyrzuty sumienia i miewała straszne sny. Teraz pojęła, że inna jest miara dla zwykłego człowieka, a inna dla władcy. Piastun słusznie zarządził od niej śmierć ojca. Lęczyc Mały i jego bracia okazali się ludźmi godnymi po-

się przedrzeć do oblężonego grodu swego ojca.

— My, z całą moją armią ruszymy za nim o pół dnia drogi — wyjaśnił Spicimir.

— Jeśli zaś zobaczymy, że Lęczyc Mały ginie, nie pójdziemy mu z pomocą, gdyż jak okiem sięgnąć nie będzie tu komesów ani księci.

Nie drgnął żaden mięsień na twarzy Spicimira i Herimy, choć było dla nich oczywiste, że Dago skazał na śmierć Lęczycy Małego i pięćdziesięciu swoich Lestków, aby stać się panem kraju Ludzi Długogłowych. Ale czy są inne sposoby poszerzenia własnego państwa?

— Jest sprawa szlachetną umrzeć w walce — oświadczył cicho Spicimir.

Herim padł na kolana przed Dagonem.

— A co ja mam czynić, panie? Wnioskuje, że postanowił zostawić mnie w Gnieździe razem z twoją żoną. Znasz moją słabość do niewiast. Czy chcesz mnie widzieć na moście targowym z przebitą gwoździem moszną?

Dago wzruszył ramionami:

— Ukryjesz gdzieś swoje i moje nadożnice i wstrzymasz się od dawania folg własnym żądom. Powiedziałem Gedani, że umiesz pisać. Opisz jej zaślubiny ze mną, a zyskasz jej łaskę. Kto wie, może cię uczyni Straznikiem Obyczajów? — zakpił.

Herim kurczowo chwycił dłoń Dagona:

ma. Co będzie potem, wie tylko Spicimir, ponieważ on zna słowa i rozkazy nie wypowiedziane.

To powiedziawszy poszedł do komnaty Gedani, aby się z nią pożegnać przed wyprawą wojenną, zastat u niej dwie stare kobiety, obszarpane i brudne. Znał je jako zajmujące się czarami. Kazał im odejść, a potem powiedział:

— Kogo chcesz otruć, Gedanio?

— Kira. Ja ci urodzę olbrzyma i dlatego nie może żyć dziecko twoje i Zyfiki.

Nie pochwałił jej ani nie zganił. Pomyślał tylko, że to on, Dago, jest tu jedynym dawcą życia i śmierci a ta kobieta odbiera mu owe prawo.

Powiedział:

— Zostawiam ci Gniazdo i swój skarbiec. Zbudujesz wały trzeciego podgrodzia. Postaraj się urodzić mi olbrzyma i być wierną.

— Czy myślisz, że mogłabym się zadać z innym mężczyzną? — pogardliwie wzruszyła ramionami.

— Jesteś pani zazdrosna o inne kobiety, a także okrutnie kazesz mężczyzną, który miłują inne kobiety. To wprawia w ruch złe języki. Zbyt łatwo w Gnieździe oskarżę mężczyznę lub kobietę o rozpustę i rozwiązłość. Bacz, abyś nie padła tego ofiarą, gdyż za wiarołomność każę cię władczynię śmiercią. Jeszcze dziś uśmierć wiedźmy, które u ciebie widziałem. Albowiem tak jak ty do Zyfiki, tak i ona do ciebie może wystać trucicielką.

Sklonił się nisko i odszedł. A ona zadygotała, gdyż przez chwilę pomyślała, że póty jej życia, póki nosi w sobie olbrzyma. Odrzuciła jednak zaraz tę myśl, lecz jednak wezwwała trzech żołnierzy. Spicimira i kazała im zabić dwie wiedźmy.

Następnego dnia Lęczyc Mały na czele pięćdziesięciu Lestków wyruszył na odsiecz ojcu, ale z powodu nagłej zadyk-

C.D.N